



SOBOWTÓR BOGA

**Piotr
Wesołowski**

Piotr Wesołowski

Sobowtór Boga

© Piotr Wesołowski, 2016

Wojtek i Gosia Skłodowscy są rodzicami niepełnosprawnej 16 letniej Amelki. Oddaliby wszystko, gdyby mogła wyzdrowieć.

Marzenie się spełnia, ale konsekwencje są straszne. Tajemnicza relikwia potrafi czynić cuda, lecz są nią zainteresowani nie tylko ludzie o czystych sercach.

Pewnego dnia Wojtek zostaje w pewnym sensie „wybrany”, co powoduje, że jego życie staje nagle na głowie. Zostaje obdarowany cudownymi zdolnościami, co powoduje, że pewnego dnia jest zmuszony stanąć do walki o swoich bliskich.

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

SPIS TREŚCI

[Sobowtór Boga](#)

[Lato 1193 roku, teren Polski](#)

[Październik 1938 roku, rezydencja Berghof – Alpy Salzburskie](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Prolog](#)

LATO 1193 ROKU, TEREN POLSKI

Sala tronowa była słabo oświetlona nielicznymi płomieniami zatkniętych na ścianach pochodni i blaskiem dochodzącym z ogromnego murowanego paleniska. Dwór przygotowywał się do spoczynku i wielka izba powoli pustoszała. Potężna postać zajmująca tron zdawała się być wyrzeźbiona z kamienia. Ozdobny fotel stojący na podwyższeniu sprawiał wrażenie, jakby stanowił jedność z nieruchomym, siedzącym w nim olbrzymem.

Książę Bolesław czuł się przytłoczony najnowszymi wieściami. Cekał na posłańca. Ciężar odpowiedzialności stał się ostatnimi czasy nie do wytrzymania. Czuł się na siłach chronić miasto, podległe mu wsie i poddanych, ale nałożony na niego obowiązek ciążył mu coraz bardziej, powodował ciągłe rozdrażnienie i wybuchy niczym nieuzasadnionej wściekłości. Nocami źle sypiał, prześladowały go koszmary, budził się przerażony, zlany potem i do rana nie mógł zmrużyć oczu. Przeklinał dzień, w którym zgodził się podjąć ochrony tej rzeczy. Chociaż, zastanawiał się, czy miał prawo nazywać to rzeczą i czy mógł odmówić?

– Panie! Są! – Przerwał te ponure rozmyślenia giermek, który wpadł jak wicher do sali. Książę spojrział na niego wzrokiem, od którego chłopakowi zrobiło się zimno, ale zaraz sam siebie zganiał. Czy to wina giermka, że okazał się zbyt uległy i nie potrafił odmówić swemu kuzynowi. Filip Lotaryński zawsze miał na niego duży wpływ, a tym razem omamił go obietnicą odebrania po śmierci nagrody w zamian za przysługę dla wiary i kościoła.

– Książę! – Mężczyzna, który wszedł ukłonił się nisko, lecz nie uniżenie.

– Z czym przybywasz? – Zabrzmiało to jak mruknięcie, ale posłaniec nie przejął się zbytnio złym humorem władcy. Podeszedł bliżej, a czerwony ośmiokątny krzyż na jego płaszczu zapłonął w blasku ognia.

– Możemy rozmawiać bez obawy, że ktoś podsłucha?

– Mów! Moi ludzie obstawili salę dookoła, ale są na tyle daleko, że możemy rozmawiać.

– Twój kuzyn panie pozdrawia cię – templariusz nie zwrócił uwagi na wyraz twarzy księcia, gdy wspomniał o księciu Filipie – i przysłała informację, że najdalej za miesiąc zdejmie z ciebie obowiązek opieki nad relikwią. Kończy przygotowania do wyprawy, która zawiezie ją prosto pod opiekę papieża Celestyna III. Książę Filip kazał przekazać ci panie, że papież docenia twą postługę wobec kościoła, błogostawi cię i modli się za ciebie.

– Nareszcie, – odparł – bo mam złe przecucia. Moi ludzie pilnują relikwii, ale i tak coś mi mówi, że niebezpieczeństwo jest blisko i tylko czyha na najmniejszą chwilę nieuwagi.

– Może panie, moi bracia-rycerze z zakonu powinni wspomóc twe wysiłki w ochronie pamiątki ofiary naszego Pana? Zaraz udam się do nich i wydam dyspozycje.

– Nie! Obecność Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona w mieście zrodzi niepotrzebne plotki i może zwrócić uwagę wroga na nasz gród. Niech siedzą u siebie. Jeżeli do wyprawy jest tak blisko, to damy sobie sami radę.

Po prawie godzinnej rozmowie spotkanie dobiegło końca. Gdy tylko gość wyszedł, książę westchnął ciężko, podniósł się z tronu i poszedł do swej komnaty.

– Jesteś mój panie? – Głos księżnej Jadwigi dobiegał z łoża i brzmiał nad wyraz namiętnie. – Czekałam za tobą starając się nie zasnąć.

Gdy godzinę później leżeli zmęczeni obok siebie, Bolesław spostrzegł, że Jadwiga przygląda mu się badawczo.

– Coś się stało? – Mruknął.

– Poślaniec przyniósł dobre wieści?

– Tak. Najdalej za miesiąc będziemy mieli kłopot z głową. O ile mogę tak mówić o tej relikwii i nie zgrzeszyć. A skąd wiesz?

– Kobiety wiedzą, kiedy ich mężowie nie mają zmartwień mój kochany – odparła, przeciągając się jak kotka i mrużąc zmysłowo oczy.

Niebo powoli traciło czarne zabarwienie i robiło się szare, a liczne punkty gwiazd stopniowo przygasały. Miasto jeszcze spało, otoczone równiną, na skraju której rósł dziewiczy bezkresny bór. Jedyne ognie w zasięgu wzroku płonęły nad zamkniętymi na głucho bramami grodu, gdzie pełnili straż woje księcia Bolesława. Dźwięk ich kroków na szczycie murów otaczających miasto był jedynym odgłosem zakłócającym ciszę tej pogodnej, cichej i bezwietrznej nocy. Byli czujni i wzorowo pełnili służbę, chociaż od wielu lat w okolicy nie pojawił się żaden nieprzyjaciel. Plotki głosiły, że książę ma jakiś wielki skarb, lecz nikt z nich nie wiedział, czy to prawda, ani co to może być. Bolesław Biały, pan tych ziem, był władcą łaskawym, wyrozumiałym i dbającym o swych poddanych, lecz gdy tydzień temu dowiedział się, że jeden ze strażników spał zamiast czuwać na posterunku, kazał go wychłostać. Biedak nie przeżył wymierzonej mu kary. W rany od bicia wdała się gangrena, dostał wysokiej gorączki i zmarł po dwóch dniach. Strażnicy szemrali między sobą, ale nikt nie odważył się mówić tego głośno. Przed wyprawą księcia do Ziemi Świętej coś takiego spotkałoby się najwyżej z ostrą naganą. Może więc faktycznie było jakieś ziarno prawdy w pogłoskach o przywiezionym przez niego skarbie. Plotki powodowały, że rzekome bogactwa stawały się większe, niż objętość wszystkich wozów towarzyszących książęcemu oddziałowi

Trzy lata temu książę Bolesław podjął nagle decyzję o udziale w krucjacie. Mówiono, że nakłonił go do niej jakiś daleki kuzyn ze strony matki, będący rycerzem na dworze cesarza Fryderyka I Barbarossy. Przygotowania trwały dość długo i w końcu książę ruszył w drogę w towarzystwie setki konnych, dwóch setek piechoty i taboru wozów. Wyprawa trwała ponad dwa lata i nie wróciło z niej prawie stu rycerzy. Wszyscy polegli w chwale z rąk niewiernych, a ich ciała spoczęły w Ziemi Świętej i wzdłuż szlaku, którym podróżowali. Rodziny poległych zostały hojnie obdarowane przez księcia dobrami, które przypadły im z podziału łupów, a późniejsze wzmocnienie ochrony grodu, budowa nowych murów i duży nacisk na obronność, spowodowały plotki

o zdobytych w wyprawie wielkich bogactwach. Wraz z księciem Bolesławem przybyli na te ziemie członkowie Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona. Książę oddał im w posiadanie dwie pobliskie wsie, co jak się można było spodziewać nie przysporzyło im sympatyków na dworze. Poza tym Templariusze nie wiadomo dlaczego wybudowali w granicach grodu kaplicę, której strzegli cały czas uzbrojeni, najbardziej zaufani ludzie.

Sławoj był mężczyzną w kwiecie wieku, mocno zbudowanym, ale o włosach już lekko przyprószonych siwizną. Służył księciu od wielu lat i był z nim na krucjacie. Pamiętał dawnego władcę, przeważnie uśmiechniętego i łaskawego dla poddanych, a do którego obecnie trach było podchodzić. Szedł koroną murów, rozmyślając jak to zwykle bywa o wszystkim i niczym jednocześnie. Czas na służbie trzeba było czymś zająć. Ubrany był w lekki pancerz, przy boku nosił krótki miecz idealny do walki w bezpośrednim starciu oraz kuszę przewieszoną przez plecy. Nie próbował nawet maskować wyrazu znudzenia na twarzy i z trudem powstrzymywał ziewanie. Nie lubił służby w nocy. Uważał, że o tej porze mężczyzna powinien być w łóżku przy boku kobiety. Ciemność należała do duchów i upiórów. Na samą myśl o siłach nieczystych odruchowo się przeżegnał. Co innego mieć służbę na murach lub bramie za dnia, kiedy miasto i podgrodzie zapełniały tłumy przechodniów, kupców, wędrowców i kuglarzy. Teraz spoglądał z wysokości murów na pusty trakt wiodący do bramy i na ciemne, ciche budynki grodu. Pomyślał, że niedługo mieszkańcy zaczną się budzić, bo odzywały się już pierwsze koguty. Ich pienie witało nadchodzący nowy dzień. Zatrzymał się nagle i wbił wzrok w jakiś punkt wewnątrz murów. Przetarł oczy. Wydawało mu się, że drzwi prowadzące do nowej zamkowej kaplicy otworzyły się i po chwili zamknęły. Patrzył przez dłuższą chwilę, ale nic tam się nie działo. Powinien ogłosić alarm, bo o tej porze nikt nie mógł wchodzić do świątyni, ale mogło mu się to tylko wydawać, a w takim wypadku zrobiłby z siebie pośmiewisko. Po chwili zdecydował, że na pewno mu się wydawało. Po nieprzespanej nocy wzrok mógł płatać różne figle. Potrząsnął głową i ruszył dalej

nieświadomy, że przez cały czas był obserwowany przez mężczyznę schowanego za murem otaczającym kaplicę.

Gdy tylko sylwetka strażnika znikła za ścianą kaplicy, obserwator zaskrzeczał cichutko naśladowując wronę. Od schodów prowadzących do wejścia odczołgał się mężczyzna, po chwili wstał i podbiegł do niego cicho jak cień. Ubrany był w szare, prawie czarne spodnie i bluzę tego samego koloru. Głowę miał owiniętą chustą, spod której widoczne były tylko błękitne, zimne jak stal oczy patrzące na towarzysza z wyraźnym szacunkiem.

– Masz?! – Spytał obserwator.

– Mam Mistrzu. Ale było trudno.

– A gdzie nasz brat?

– Poległ. W środku byli dwaj strażnicy. Zaskoczyli nas. Zabił jednego i zanim dobiegłem, drugi zdążył zadać mu cios mieczem. Na szczęście nie widział mnie. Uciszyłem go zanim zdążył podnieść alarm.

– Daj mi to – rozkazał.

– Tak Mistrzu. – Mężczyzna ukłonił się i sięgnął do przewieszzonego przez ramię worka. Poszperał chwilę w jego wnętrzu, chwycił jakąś rzecz i podał ją na wyciągniętej dłoni. Skłonił głowę i stał nieruchomo jakby na coś czekając.

Obserwator spojrzął na trzymany przez niego przedmiot. Poczuł, że w tej chwili spełnia się jego powołanie. Doprowadził do końca sprawę będącą celem jego życia, jego przeznaczeniem. Wielki Mistrz będzie z niego dumny. Może kiedyś zasiądzie w Wielkiej Trójce Bractwa? Niczego nie pragnął tak bardzo. Trzeba tylko wydostać się z miasta zanim kradzież się wyda i zanim odkryją trupy w kaplicy. Później muszą dotrzeć do lasu, gdzie czeka reszta oddziału i jeśli ograniczą postoje do niezbędnego minimum, pojutrze w południe powinni wrócić do siebie. Chwycił niewielki przedmiot z ręki druha, spojrzął na wyryte na nim znaki, po czym z wyraźnym zadowoleniem owinął go w chustę i włożył do sakwy przy pasie.

– Bardzo dobrze się spisałeś. Wielki Mistrz będzie z ciebie zadowolony i na pewno cię nagrodzi.

– Służba sprawie Bractwa jest dla mnie największym zaszczytem panie – odparł jego towarzysz skromnie, ale widać było, że jest uradowany pochwałą. – Na końcu czeka na nas wszystkich wielka nagroda – wyrecytował wyuczoną dawno temu formułkę.

Obaj mężczyźni skradając się wzdłuż ścian domostw ruszyli w kierunku murów miasta.

Sławoj po kilkunastu minutach szedł ponownie tą częścią muru, skąd uprzednio obserwował drzwi kaplicy. Był coraz bardziej znudzony. Ziewał w zaciśniętą dłoń. Jeszcze godzina i powinien przyjść zmiennik. Zatrzymał się mając wrażenie, że na odcinku, który przed chwilą minął coś było nie tak. Znowu ma jakieś przywidzenia? Możliwe, ale lepiej jak się cofnie i to sprawdzi. Faktycznie coś się tutaj działo. Do korony muru przywiązana była lina, która zwisała do wnętrza grodu. Teraz już musi szybko wszcząć alarm. Ktoś obcy jest w mieście i na pewno nie ma dobrych zamiarów. Już miał biec do zawieszzonego pod zadaszeniem nad bramą dzwonu, gdy jakaś ręka chwyciła go od tyłu za głowę i błyszczące ostrze przecięło mu gardło. Chciał krzyknąć, ale z ust wydobył się tylko stłumiony bulgot. Zakrztusił się krwią zalewającą płuca i po chwili ogarnęła go ciemność. Dwie ubrane na ciemno postacie wciągnęły szybko na mur linę, przerzuciły ją na drugą stronę i jak muchy zeszyły po pionowej ścianie poza miasto. Dźwięk dzwonów, który rozległ się w mieście po znalezieniu martwych strażników dobiegł do nich, gdy w pobliskim lesie wsiadali na konie. Bez zwłoki ruszyli kłusem wraz z sześćoosobowym oddziałem w drogę do Wielkiego Mistrza. Wśród drzew panowały jeszcze ciemności. Światło wczesnego poranka dopiero torowało sobie drogę przez gęstwinę gałęzi, dlatego szybko rozplynęli się w mroku.

Trop pozostawiony przez końskie kopyta był świeży i wyraźny. Doświadczeni tropiciele nie mieli więc żadnych problemów z prowadzeniem pościgu z grzbietów wierzchowców. Przed chwilą mijali miejsce, gdzie ścigany oddział zatrzymał się na odpoczynek. Sami od

chwili wyjazdu z miasta nie stanęli się ani na moment. Książę Bolesław, który prowadził oddział nie pozwalał na chwilę wytchnienia. Tak zdenerwowanego władcy nie widział jeszcze żaden z wojów. Nawet ci, z którymi był na krucjacie, podczas najcięższych potyczek nie widzieli na jego twarzy takiego wzburzenia. Oczy ich pana ciskały błyskawice, dlatego nikt nie odważył się nawet na cień sprzeciwu, czy choćby skargę na zmęczenie. Zapadał zmierzch, gdy jeden z tropicieli, stary Sambor podniósł rękę. Gest powtórzył książę i wszyscy stanęli. Sambor podjechał do swego pana, który spojrzał na niego pytająco.

– Czuć dym panie, a dokoła wszędzie las. Żadnej chaty, ani osady. To mogą być oni. Zresztą mój nos mówi mi, że ich mamy.

– Idź na zwiad, weź dwóch ludzi. Tylko szybko i zaraz wracaj. Jeżeli ich złapiemy, to rano będziemy w domu. A nagroda będzie większa, niż wszyscy możecie sobie wyobrazić.

– Tak panie. – Sambor miał bujną wyobraźnię, ale nie zastanawiał się nad obietnicą księcia, tylko skinął ręką na dwóch jeźdźców, którzy szybko się zbliżyli. Coś do nich szepnął, a oni natychmiast zeskoczyli na ziemię, z juków wyciągnęli szmaty, którymi owinęli koniom kopyta i po chwili ruszyli śladem zbiegów, kierując się wschodzącym właśnie Księżycem i coraz mocniejszym zapachem dymu z ogniska, przez który przebijał zapach pieczonego mięsa.

Czekali w milczeniu na powrót tropicieli, przez co czas włókł się niezmiernie. W końcu z pomiędzy drzew wyłoniły się trzy postacie jeźdźców. Na przedzie jechał Sambor. Zatrzymał konia przed księciem. Widać było, że jest z siebie zadowolony i bardzo zaaferowany.

– To oni panie! Ośmiu ludzi. Trop prowadzi prosto do miejsca, gdzie rozłożyli się na popas. Konie mają zmęczone, widocznie długo jechali do nas i zaraz po tym wracali. Pieką mięso nad ogniem, to przez jakiś czas nie ruszą w drogę.

– Dobrze się Sambor spisałeś. Jak ich podejść?

– Rozłożyli się panie w dolince. Ognia nie widać, ale łatwo ich zaskoczyć. Podzielimy ludzi na trzy grupy. Dwie obejdą ich dookoła, a jedna podejdzie z przodu. Zaatakujemy razem w tym samym czasie.

Tak będzie najlepiej.

– Dobrze. Zrobimy tak, jak mówisz. Owinąć koniom kopyta i w drogę. Ja prowadzę jedną grupę, ty Sambor drugą, w ty trzecią – wskazał na innego przewodnika.

– Panie?

– Tak?

– Czy mogę o coś spytać?

– Pytaj Sambor, ale szybko.

– Co oni zabrali?

Książę spojrzął na niego takim wzrokiem, że ten doświadczony i zaprawiony w boju człowiek zbladł. Po chwili jednak władca uspokoił się i odparł zdławionym głosem.

– Coś bardzo ważnego Sambor. Coś cenniejszego od wszystkich skarbów tego świata. Sam obejrzę ich rzeczy. Pod żadnym pozorem nie wolno wam niczego dotykać. Każdy, kto złamie ten rozkaz zapłaci gardłem! I nie brać mi jeńców. Wszyscy mają zginąć!

– Tak panie – odparł przewodnik, a pozostali, którzy przysłuchiwali się tej rozmowie pokiwali głowami. Wszyscy zaczęli zastanawiać się, co to za rzecz, na której księciu tak bardzo zależy. Konni bez wozów nie mogli przecież zabrać wielu kosztowności, a książę mówi o czymś cenniejszym od skarbów.

– W drogę! – Wydał polecenie książę Bolesław i ruszyli przez las w trzech grupach.

Zagłębienie, w którym obozowali uciekinierzy było otoczone krzewami i młodnikiem. Ognisko rozpalone w dole nie było widoczne nawet z bliska. Szczęśliwie dla pościgu zdradził ich zapach dymu, bo przy innym kierunku wiatru grupa konnych mogła przejechać tuż obok i niczego nie zauważyć. Książę Bolesław zrzucił zbroję i osobiście, co spotkało się ze zdziwieniem podwładnych poszedł ocenić sytuację. Ośmiu ludzi siedziało przy ogniu. Konie przywiązano na długich postronkach do pni niskich drzew na stoku zagłębienia, aby swobodnie mogły skubać trawę. Widocznym było, że raczej nie spodziewają się

zagrożenia, bo nawet nie wystawili warty. Było to karygodne niedopatrzenie i książę postanowił je wykorzystać z całą bezwzględnością. Zresztą za to, co zrobili, wszyscy zasłużyli na śmierć. Bolesław przez dłuższą chwilę przyglądał się obozującym ludziom i studiował ukształtowanie terenu. Doszedł do wniosku, że przywódcą grupy jest mężczyzna siedzący w pewnym oddaleniu od ogniska. Był ubrany trochę inaczej, w bardziej zdobną bluzę, a poza tym wydawał pozostałym polecenia. Zdecydował, że równocześnie z atakiem trzeba będzie odciąć im dostęp do koni, aby nikt nie zdołał uciec. Patrząc na zbiegów postanowił, że zginą wszyscy poza przywódcą. On powie mu wszystko. Jeśli nie dobrowolnie, to na torturach. Zacisnął zęby, aż zgrzytnęły.

Obozujący w dolinie byli dobrze wyszkolonymi wojownikami. Choć nie spodziewali się zagrożenia, to sięgnięcie po broń i ustawienie szyku obronnego zajęło im kilka sekund. Stworzyli krąg wokół ogniska i czekali, bez strachu spoglądając na nadjeżdżającą po stoku doliny konnicę. Wiedzieli, że nie mogą liczyć na litość. Zresztą nie chcieli jej. Byli pogodzeni ze swym losem, ale gotowi oddać życie jedynie w chwalebnej walce, a nie na kolanach jak żebracy. Wyraźnie widzieli już twarze atakujących i rozszerzone chrapy koni, gdy nagle zapanowała ciemność. Ognisko za ich plecami zgaśło. To przywódca grupy zarzucił na płomienie bydlęcą skórę i niezauważony przez nikogo padł na ziemię. Wśród tryskającej na wszystkie strony krwi, szczęku broni o tarcze konających kości, krzyków konających towarzyszy i przeraźliwych wrzasków napastników zaczął się czołgać w kierunku, gdzie jak zapamiętał, w niewielkiej odległości rosły krzewy i skąd było blisko do wierzchowców. O mały włos nie został stratowany, ale szczęśliwie zdołał uniknąć końskich kopyt. Ponaglał się w duchu do szybszej ucieczki. Pełził dusząc się kurzem wzbijanym w ferworze walki. Wreszcie dotarł na miejsce. Konie były zdenerwowane odgłosami bitwy i szarpały się na wodzach. Po omacku odnalazł swego wierzchowca, wskoczył na jego grzbiet i ruszył z kopyta przed siebie. Byle dalej od tego miejsca, prosto do Wielkiego Mistrza. Postanowił, że nie będzie się już zatrzymywał.

Stracił wszystkich towarzyszy, którzy sprawie Bractwa poświęcili całe swe życie. Nie zmarnuje ich ofiary i nie pozwoli sobie odebrać zdobyczy. Odruchowo sprawdził sakwę. Odetchnął z ulgą, gdy wyczuł, że skradziona relikwia jest na swoim miejscu. W kłusie pogładził rękojeść miecza i popędził konia do jeszcze większego wysiłku.

Przeszukiwanie pobojowiska w świetle rozpalonych pochodni przebiegało bardzo szybko. Jednak nikt poza księciem nie przeszukiwał trupów. Bolesław osobiście przeglądał rzeczy zabitych, a po chwili poszedł do ich koni.

– Panie, panie! – Rozległ się od strony przywiązanych wierzchowców krzyk Sambora.

– Co tam?!

– Jednego brakuje! – Powiedział przewodnik przejętym głosem unikając wzroku księcia.

– Ile ich jest?!

– Siedem panie!

– Szukać ósmego! – Wydał polecenie, a sam szybko przeliczył zwłoki leżące wokół zaduszonego ogniska. – Siedem – mruknął do siebie. – Uciekł, psubrat.

– Wszyscy na koń! – krzyknął. – Sambor znajdź trop! Nie odjechał daleko! Szybko za nim! Kto go pierwszy złapie, w nagrodę dam wieś, zbroję i konia!

Pobudzeni do działania tak niewyobrażalną nagrodą wojownicy ruszyli za Samborem z wielką werwą. Chwilę trwało, zanim stary przewodnik odnalazł na podłożu świeży trop zbiega. Miał nad nimi już pewną przewagę, ale powinni go dogonić w ciągu niedługiego czasu. Faktycznie po jakichś dwudziestu minutach w świetle księżyca mignęła przed nimi sylwetka jeźdźca. Ruszyli za nim, zmuszając konie do gonitwy ponad ich mocno już nadwyrężone siły. Sambor przesunął do przodu trzymaną do tej pory na plecach kuszę, nie zwalniając biegu szybko ją załadował, sprawdził i wypatrywał zbiega. Po krótkiej chwili zobaczył go znowu. Szybko wycelował i zwolnił strzałę, która ze świstem pomknęła

do celu. Chyba trafił, bo jeździec zachwiał się, ale zaraz wjechał w mrok i ponownie stracił go z oczu.

Mistrz poczuł ból w plecach. Pomyślał, że to koniec. Wiedział, że rana jest poważna. Był coraz słabszy, czuł ciekącą po plecach krew, oddychało mu się ciężko, widział niewyraźnie, ale na razie cel misji przestaniał mu wszystko inne. Po chwili był już pewien, że nie da rady jej ukończyć. Postanowił jednak, że nie dostaną tego z powrotem tylko, co ma zrobić ze skradzioną relikwią? Jak i gdzie ją ukryć? Coraz trudniej było mu logicznie myśleć. Zwykły zbieg okoliczności wyręczył go w tych rozważaniach. Koń przeskoczył nad jakąś niewidoczną dla niego w ciemnościach przeszkodą. Nie miał już siły, aby utrzymać się na jego grzbiecie. Gdy kopyta uderzyły w ziemię, wyleciał łukiem z siodła, ze zdziwieniem zauważając, że upadek nie był tak bolesny, jak mógł się tego spodziewać. Coś pod nim chlupnęło i poczuł, że zaczyna zagłębiać się w mokrym i lepkim podłożu. Gdzieś niedaleko przemknął pościg. Po chwili tętent kopyt oddalił się i w końcu zapadła całkowita cisza. Zorientował się, że tkwi w bagnie, najpewniej gdzieś w pobliżu był twardy grunt, lecz nie miał już siły na jego poszukiwanie. Tracił czucie w rękach i nogach, było mu zimno. Logiczne myślenie też sprawiało coraz większe trudności. Błoto wciągało go coraz bardziej. Sięgało już pod brodę, zalało nos, później oczy i po chwili zamknęło się nad nim. Przez chwilę tylko bąble powietrza wskazywały miejsce, gdzie zatonął. Gdy następnego dnia książę Bolesław wracał do grodu z wyrazem rozpaczy na twarzy na czele milczącego oddziału i przejeżdżał tuż obok, miejsce wiecznego spoczynku Mistrza nie różniło się już niczym od pozostałej części moczarów.

PAŹDZIERNIK 1938 ROKU, REZYDENCJA BERGHOF – ALPY SALZBURSKIE

Zmierzch wypełniał stopniowo cieniem doliny Alp. Jedyne olbrzymie szczyty skąpane były jeszcze w świetle zachodzącego słońca.

Gospodarz siedział w stojącym przed kominkiem fotelu, spoglądając na masyw *Untersbergu* przez ogromne, oszklone dziewięćdziesięcioma szybami okno. Zazwyczaj to goście czekali na niego, ponieważ wzorem swych romantycznych bohaterów uwielbiał wchodzić do pełnej sali niczym rzymski cesarz. Dzisiaj jednak miał spotkać się z kilkoma zaufanymi ludźmi, a tych mógł przyjąć jak równych sobie.

Wchodzącym kolejno do salonu wskazywał miejsca przy stole konferencyjnym. Sam stał w jego szczycie czekając, aż przybędą wszyscy. Popatrzył na siedzących: Hermann Goering, Martin Bormann, Albert Speer, Heinrich Himmler i Rudolf Hess. Adolf Hitler wierzył tym ludziom i wiązał z nimi nadzieje na przyszłość. Z ich pomocą chciał zbudować nowe Niemcy, kraj dla wybrańców obejmujący całą kulę ziemską.

- Witajcie przyjaciele – zagaił Hitler. – Słyszeliście już zapewne o niepowodzeniu rozmów prowadzonych w Berchtesgaden przez ministra Ribbentropa z polskim ambasadorem Lipskim?

Odpowiedziało mi skinienie pięciu głów.

- Polacy otrzymali ode mnie bardzo korzystną propozycję. Obiecaliśmy im rynki zbytu, wolny port i wschodnią część Czechosłowacji, ale bezczelnie odmówili!

Zdecydowałem wypowiedzieć im pakt o nieagresji, a w przyszłym roku rozpoczniemy z nimi wojnę! Zajmiemy ich kraj w kilka dni, bo nie będą na nią gotowi! Czytaliście materiały, jakich dostarczył nasz przyjaciel Himmler? – spojrzał na siedzącego przy stole szefa policji, który ukłonił się wszyscy widocznym zadowoleniem na twarzy.

Gdy wszyscy przytaknęli kontynuował.

- Uważam, że odnalezienie tej rzeczy jest dla naszych służb jednym z głównych celów. Po zajęciu Polski musimy zrobić wszystko, aby tą relikwią odszukać. Wiemy na pewno, że jest na terenie tego żałosnego kraju. Gdy będzie nasza, nikt nie powstrzyma zwycięskiego pochodu niemieckich wojsk i cały świat będzie z nami lub będzie pracował dla nas ku chwale III Rzeszy. Proponowaliśmy Polakom dobrowolną współpracę, ale odtrącili wyciągniętą do nich przyjazną dłoń. Teraz za to zapłacą niewolą i zniszczeniem.

Sami odbierzemy to, co mogli nam dobrowolnie oddać godząc się na współpracę, a przy okazji wykujemy na zgliszczach ich kraju naszą *Wunderwaffe*, cudowną broń Wielkich Niemiec. Nic i nikt nas nie powstrzyma. Nie możemy wejść do Polski jako sojusznicy, to wejdziemy tam jako okupanci.

Wszyscy obecni postali wiwatując głośno na cześć swego wodza.

- Przyjaciele, - przerwał okrzyki podnosząc rękę – zaczynamy przygotowania. Chcę najpóźniej jesienią 1939 roku rozpocząć prowadzącą do naszego zwycięstwa wojnę.

Wielki naród niemiecki nie będzie już nigdy chylił głowy przez żadnymi podludźmi, Słowianami, ani Żydami. Świat może należeć jedynie do rasy panów, czyli do nas.

ROZDZIAŁ I

Z westchnieniem ulgi postawiłem wózek przed drzwiami naszego mieszkania. Niby tylko dwa piętra, a zasapałem się jak siedemdziesięciolatek z zaawansowaną astmą. Moje narzekanie wywołało ogromną radość na twarzy córki. Rozpromieniła się, jakbym opowiedział świetny dowcip.

- Jezu, Mała jeszcze trochę podrośnie i nie dam rady wnieść wózka na górę – powiedziałem do Gosi dysząc jak lokomotywa parowa.

- Faktycznie, jest coraz cięższa – przyznała mi rację. - Ale i tak możemy się cieszyć, że mamy gdzie mieszkać – dodała trochę zbyt filozoficznie jak na mój gust. - I dobrze, że nie mieszkamy na czwartym piętrze. Pewnie gdzieś koło trzeciego piętra dostałbyś zawału serca. - Potrafiła niekiedy dogadać tak, że aż wchodziło w pięty, ale tym razem postanowiłem jej darować. Trudno prowadzić dyskusję nie mogąc porządnie złapać oddechu.

Mała, a tak naprawdę Amelka, była obecnie już całkiem dużą pannicą. W zeszłym miesiącu skończyła szesnaście lat. Od urodzenia chorowała na porażenie mózgowie. Nie chodziła i nie mówiła, dlatego cały czas wydawała się nam małym dzieckiem, choć jej wzrost temu przeczył. Gosia w niecały rok po ślubie zaszła w ciążę. Pamiętam, jak oczekiwaliśmy na nasze pierwsze dziecko. Poza Zespołem Łaknienia Różnych Dziwnych Rzeczy, jak nazwałem jej napadowy apetyt na jajka i dżem, albo ogórki konserwowe z połączeniu z lodami śmietankowymi, nic niepojącego się przez te dziewięć miesięcy nie działało. Pewnego dnia dostała bóli porodowych, pojechała do szpitala i zdarzył się, jak to określają szpitalne statystyki, bardzo rzadki przypadek urazu okołoporodowego. Byliśmy pewni błędu lekarza, który nadzorował poród, ale nie mogliśmy się zdecydować na złożenie zawiadomienia do prokuratury. Obawialiśmy się tych wszystkich formalności, przesłuchań,

tłumaczenia się przed jakimś urzędnikiem i przeżywania naszej tragedii na nowo.

Od tego dnia nasze życie stanęło na głowie. Zamiast oczekiwanej sielanki i radości z wychowywania dziecka mieliśmy wizyty u lekarzy różnych specjalności, wizyty kontrolne, badania, ćwiczenia i wiele innych rzeczy, o istnieniu których wcześniej nawet nie miałem pojęcia. Było trudno, ponieważ w naszym kraju rodzic, którego spotkała taka tragedia jest pozostawiony sam sobie. Nikt nie przygotowuje go jak postępować z chorym dzieckiem, jakkolwiek pomoc istnieje jedynie na papierze i brakuje dostępnej w razie potrzeby informacji o poradniach, specjalistach i rehabilitacji. Wiedzę taką trzeba zdobywać samemu. Obecnie jest łatwiej, bo funkcjonuje internet, jednak gdy Amelka była mała, o dostępie do wszystkich potrzebnych nam informacji mogliśmy jedynie pomarzyć.

Oboje z Gosią przez minione szesnaście lat poznaliśmy wiele rodzin, w których były chore dzieciaki. Widzieliśmy, że niektóre z nich robiły piorunujące wręcz postępy.

Nam jednak było dane znaleźć się w grupie rodziców, którzy pomimo zamiany prawie całego czasu w nieustającą rehabilitację i wydawania astronomicznych kwot na turnusy w prywatnych ośrodkach oraz różnoraki sprzęt, nie osiągnęli dosłownie nic. Po wielu latach mozolnej pracy zacząłem odnosić wrażenie, że pracujemy z Amelką tylko po to, żeby nie było gorzej. Szesnaście lat przyzwyczało nas do takiego stanu rzeczy, co wcale nie znaczy, że się z nim pogodziliśmy. Nagrodą za naszą pracę był uśmiech Małej, bo co jak co, ale okazywać emocje to ona naprawdę potrafi. Zadowolona przypomina anioła. Ale zły nastrój zmienia ją nie do poznania. Robi się czerwona jak burak, a krzyk jaki potrafi z siebie wydobyć jest wprost niemożliwy do opisanego. Nie znaczy to wcale, że jest wtedy mniej przez nas kochana, ale nerwy potrafi solidnie nadwyrężyć. Przyjeliśmy, że nasza córka taka po prostu jest i kropka. Każdy ma swój niepowtarzalny charakter i każdy może mieć gorszy dzień, a ona nie potrafi przecież walnąć pięścią w stół, albo wyjść

z domu, kiedy coś jej nie pasuje. Gosia jest z wykształcenia i z charakteru pielęgniarką. Przed urodzeniem Małej z własnego wyboru pracowała na oddziale wewnętrznym, który zaliczany jest przez personel medyczny do tych cięższych i spełniała się tam w stu procentach. Późniejsza chłodna kalkulacja, a zarabiałem w tym czasie prawie trzy razy tyle co ona, spowodowała, że po urlopie macierzyńskim zwolniła się z pracy i zajęła opieką nad Amelką.

Przypuszczam, że jeszcze dzisiaj gdyby w środku nocy ktoś ją obudził i zaproponował powrót na oddział, to bez wahania poleciałaby tam jak na skrzydłach.

Z mieszkaniem to faktycznie mamy szczęście. Zaraz po wojsku zamieszkałem w nim z moją babcią i po jej śmierci automatycznie stałem się głównym najemcą. Kilka lat później gmina sprzedała mi je za niewielki procent ceny rynkowej i tak zaraz po ślubie byliśmy z Małgosią szczęśliwymi posiadaczami własnego M-2 o niesamowitej powierzchni mieszkalnej, prawie czterdziestu metrów kwadratowych. Niby nic wielkiego, ale był to własny kąt, urządzone po swojemu i nikt nam się do niczego nie wtrącał.

Słuchając opowieści znajomych zmuszonych do wspólnego mieszkania z teściami, albo rodzicami, cieszyliśmy się z posiadania naszego małego gniazdka.

Był już wieczór, gdy mieliśmy w końcu czas tylko dla siebie. Amelka spała w swoim pokoju, Gosia szukała czegoś w internecie, a ja grzebałem w starym amplitunerze „Radmor”. Udało mi się ostatecznie odkupić go za grosze razem z parą całkiem niezłych kolumn głośnikowych, tyle tylko, że coś w nim nie działało. Przywołując z pamięci jakieś resztki wiedzy elektronicznej zdołałem namierzyć wadliwe elementy i właśnie zabierałem się za ich wymianę. Planowałem, że podłączę ten sprzęt do telewizora i będę miał chociaż dźwięk w przyzwoitej jakości. Miało to być coś na wzór kina domowego. Na szczęście był piątek i nie musiałem się z niczym spieszyć. Mając w perspektywie wolny dzień, mogłem dłużej posiedzieć. Gosia nie mogła zrozumieć, jak grzebanie w takich starych kłopotach może sprawiać mi przyjemność. Odpowiadałem jej wtedy, że

na tym właśnie polegają ograniczenia kobiecego umysłu. Same zajmują się pierdołami w stylu szydełkowania, robienia na drutach, czy też czytania jakichś kolorowych szmatławców, a nie potrafią zrozumieć ogromu pracy potrzebnej do reanimacji cudu przemysłu elektronicznego ery PRL-u.

- Wojtek, wiesz może co to jest dom szkieletowy? - spytała nagle.

- Co się tak nagle zainteresowałaś budownictwem? - odpowiedziałem pytaniem, krzywiąc się, bo zdekoncentrowała mnie i właśnie poparzyłem sobie palec lutownicą.

- Pytam poważnie. Znalazłam stronę internetową firmy, która stawia takie domy.

Piszą, że zajmuje im to cztery miesiące włącznie z wykończeniem, a cena za metr kwadratowy jest rewelacyjna. Tak sobie szybko przeliczyłam, że stumetrowy dom kosztowałby u nich niecałe dwieście tysięcy. Trzeba mieć tylko swoją działkę i zrobić fundamenty.

- Domy szkieletowe u nas są mało popularne, bo ludzie są przyzwyczajeni do betonowych bunkrów. Taki dom to szkielet z drewna, obity specjalną płytą i dobrze izolowany. Jeżeli na zewnątrz zrobisz normalną elewację, to nie odróżnisz go od murowanego. Całe Stany Zjednoczone to takie właśnie budynki. Podobno są bardzo ciepłe, a największy minus jest taki, że nie możesz wieszać ciężkich rzeczy na ścianach, jeżeli na etapie budowy nie zrobisz wzmocnień – przywołałem z pamięci informacje, jakie wyczytałem kiedyś w jakimś budowlanym periodyku.

- Jakbym miała dużą kuchnię, to absolutnie nie wieszałabym na ścianach szafek.

Marzy mi się stary drewniany kredens, a nie robienie wnętrza jak w bloku. Na ścianie to ładnie wyglądają wzory malowane od szablonów i obrazy.

- Co ty, chcesz dom budować?

- A w zasadzie, dlaczego nie. Myślałam na ten temat już od dłuższego czasu.

Pomyśl tylko. Za to mieszkanie, które jest przecież nasze, płacimy co

miesiąc prawie siedemset złotych, a do tego prąd i gaz. Za ogrzewanie opłaty są co miesiąc, a jesienią i tak marzniemy czekając, aż łaskawie zaczną grzać. W takim domku włączasz kaloryfery, kiedy tylko masz ochotę, a jakby wziąć kredyt na budowę, to rata pewnie będzie niewiele większa niż opłaty za to mieszkanie. No i sam dzisiaj doszedłeś do wniosku, że już niedługo nie wniesiemy Amelki na drugie piętro. I co wtedy? Mała nigdzie nie wyjdzie z domu? A poza tym młodszy już nie będziemy i siły też będzie coraz mniej. O, chodź zobacz, tutaj mają własny projekt parterowego domu, trochę ponad sto metrów.

- No nie wiem. Tak nagle z tym wyskoczyłaś – odparłem skupiając się na lutowaniu i będąc zły, że mi w tym przeszkadza.

- Na razie tylko kalkuluję. Nie wiem ile by kosztowała jakaś działka i fundamenty.

Za to mieszkanie możemy dostać około stu tysięcy. To może dwieście tysięcy kredytu by wystarczyło. No może pięćdziesiąt więcej, żeby od razu przyzwoicie umeblować i mieszkać jak ludzie.

Jak na mój gust myślała trochę zbyt szybko. Zastanawiałem się chwilę nad jej pomysłem. Tak na pierwszy rzut oka miało to sens. Na początek trzeba by rozejrzeć się za ziemią i to już taką przeznaczoną na budownictwo, żeby ograniczyć do minimum formalności i oczekiwanie na podłączenie prądu, i wody. No i trzeba znaleźć jakiś sensowny bank, który udzieliłby nam kredytu. Zdolność kredytową raczej mamy, bo zarabiam całkiem dobrze. Poza tym musiałbym skontaktować się z tą firmą, którą znalazła Gosia, a najlepiej tam jechać. W tym momencie olśniło mnie. Odłożyłem lutownicę na podstawkę i oparłem się wygodnie.

- Słuchaj, coś sobie przypomniałem. Kilka dni temu byłem z Małą na spacerze w tym parku na obrzeżach miasta i naprzeciwko przy drodze stała tablica z informacją o działkach budowlanych na sprzedaż. Jest na niej numer telefonu. Można by zadzwonić i zapytać o cenę.

- Dobrze. Słuchaj Wojtek, to może umówimy się, że tak na razie zrobimy listę rzeczy do ustalenia i jakiś czas przy tym pochodzimy. Jak wszystko będziemy już wiedzieli, to usiądziemy i wtedy dopiero coś

postanowimy. Zgoda?

- No dobrze, – odparłem z pewnym wahaniem – to jak się dzielimy tymi sprawami?

- Czekaj - wzięła do ręki zeszyt i długopis. - Teraz piszemy po kolei: ziemia, bank, firma od domów, no i ktoś, kto by nam zrobił fundamenty pod ten dom. Proponuję, żebyś ty zorientował się, co z tą działką i znalazł jakiegoś murarza. Ja biorę na siebie tą firmę i bank. Mam koleżankę, która pracuje w kredytach, to się z nią umówię. Zresztą za tydzień jedziemy z Amelką do lekarza, to po drodze możemy razem wjechać do tych ludzi od domów.

Od tej rozmowy minęły niecałe trzy tygodnie. Wyglądało na to, że wszystko toczy się jak najbardziej po naszej, a w zasadzie po Gosi myśli. Firma budująca domy szkieletowe funkcjonowała na rynku już kilka lat i miała duże doświadczenie. Właściciel przez kilka lat pracował przy ich stawianiu w Skandynawii, później przejął po ojcu tartak i zajął się tym interesem na własną rękę. W branży panował obecnie zastój, dlatego nie mieli wielu zleceń. Mogli zacząć pracę w najbliższym kwartale. Właściciel, sympatyczny pan Waldek, miał uprawnienia budowlane, dysponował gotowymi projektami domów i brał na siebie przeprowadzenie całej niezbędnej procedury. Nie musieliśmy więc samodzielnie włączyć się po urzędach. Wystarczyło go tylko pisemnie upoważnić do działania w naszym imieniu. Kredyt mogliśmy dostać i to na całkiem ciekawych warunkach, lecz tylko na osiemdziesiąt procent inwestycji. Gdyby sprzedać mieszkanie, nie było to żadnym problemem. Wyszło prawie tak, jak prognozowała Małgosia. Rata wyniosłaby trochę ponad dwieście złotych więcej niż płaciliśmy obecnie za nasze mieszkanie. Mój kochany teść miał kolegę, emerytowanego murarza, który z nudów i po znajomości podjął się zrobić nam fundamenty i za niewielką dopłatą ogrodzenie. Miał jeszcze potrzebny sprzęt i mógł w razie potrzeby zebrać jakąś ekipę do pracy. Pozostawała kwestia ziemi. Jechaliśmy właśnie obejrzeć działki w pobliżu parku. Trochę czasu to trwało, bo właściciel gruntu był za granicą. Dwa dni temu udało mi się z nim skontaktować i w końcu się umówiliśmy. Pan Waldek dał mi

wskazówki, na co zwracać uwagę przy wyborze działki, dlatego byłem do tej rozmowy znakomicie przygotowany. Tak na marginesie okazało się, że w najbliższej okolicy jest mnóstwo ziemi przeznaczonej na budownictwo mieszkalne, ale z jakiegoś powodu ta właśnie lokalizacja przypadła mi i Gosi do gustu.

Na miejsce prowadziła droga pokryta asfaltem, mogliśmy więc tam podjechać autem. Był to duży plus. Nie chciałbym wiosną i jesienią tonąć w błocie lub zapadać się w nim samochodem. Nasz Mondeo miał już swoje lata i absolutnie nie chciałbym go niszczyć na jakichś wertepach. Już wcześniej zastanawiało mnie, dlaczego mają tutaj powstawać domy. Ziemia już na pierwszy rzut oka wyglądała na bardzo urodzajną. Jej właściciel, Marian Załucki czekał już za nami. Nie byłbym sobą, gdybym od razu go o to nie spytał. Okazało się, że dostał ten teren jakiś czas temu w spadku po babci. Ponieważ nie miał zamiłowania do rolnictwa, przez kilka lat ziemię dzierżawił pod uprawy, a później postanowił na niej zarobić i przekształcił na cele budowlane. Trochę już zainwestował w ten interes, bo działki były w pełni uzbrojone. Doprowadził tam wodę i prąd. Każda miała już nawet swoją skrzynkę energetyczną. Zrobiło to na mnie dobre wrażenie, bo widać było, że dba o klienta, choć i tak przy sprzedaży te pieniądze odzyska. Brakowało tylko kanalizacji i w najbliższej przyszłości nie zanosilo się na jej budowę, ale pan Waldek polecał mi przydomowe oczyszczalnie ścieków, nie było to więc zbytnim problemem.

Amelka siedząc w wózku wygrzewała się na słońcu, bo dzień jak na tą porę roku był wyjątkowo ciepły, a my biegaliśmy po terenie z mapkami, które miał przy sobie pan Marian. Gosia zdecydowała, że dom ma być parterowy. Faktycznie tak jest lepiej, bo po jednym poziomie łatwiej będzie się przemieszczać z Amelką, no i na starość nie spadnę ze schodów. Wybrała już nawet wstępnie dwa projekty. Pasowały do nich trzy działki i akurat wszystkie były wolne. Dwie znajdowały się tuż przy drodze wylotowej z miasta, a trzecia trochę w głębi przy brzozowym lasku, ale też przy asfaltowej bocznej drodze. Skupiliśmy się na dwóch pierwszych, bo Gosia stwierdziła, że przy drzewach będzie masa

robactwa i latem nawet okna nie otworzymy.

Poczułem nagle znużenie. Stałem z Marianem Załuckim przy wózku Małej i obserwowałem moją żonę. Z tego co widziałem, akurat nakładała w wyobraźni obrys domu na wybrane przez siebie miejsca, bo stawiała co kawałek trzymając przed oczami kserokopie projektów od pana Waldka. Nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że sprawdza widok z poszczególnych okien. Cała moja żona. Mi jest naprawdę wszystko jedno, czy z okna widzę drzewo, dwa drzewa, czy sąsiedni dom. Może moje prosta męska dusza nie jest w stanie tego pojąć? W sumie, po głębszym zastanowieniu doszedłem do wniosku, że jeżeli Małgosi sprawia to przyjemność, to dlaczego mam się sprzeciwiać.

- Wojtek! Możesz tutaj podejść? - Gosia przerwała mi twórcze przemyślenia na temat widoku z okien nieistniejącego domu.

- Już idę! - Załucki chyba mnie rozumiał, bo porozumiewawczo puścił oko.

Chwyciłem wózek i ruszyłem w jej stronę. Dla osób, które nie miały styczności z osobami niepełnosprawnymi i całym towarzyszącym im sprzętem, wózek jest po prostu wózkiem.

Każdy przecież służy do siedzenia i ma koła. Nie jest to jednak prawda. Kilka lat temu dzięki pomocy jednej z prężnie działających organizacji, udało się nam kupić „flagowy okręt”, jak go nazwałem, produkowany przez pewną niemiecką firmę. Każdy szczegół jego konstrukcji był solidnie przemyślany, wykonanie stało na najwyższym poziomie i co bardzo ważne, był dwa razy lepszy od produkowanych w kraju. Na co dzień sprawdzał się znakomicie tym bardziej, że jego siedzisko po przypięciu do stelaża z kółkami pełniło funkcję domowego fotela, ale dopiero na tych wertepach pokazał, na co go stać.

Jechaliśmy więc do Gosi, Amelka wystawiała twarz do słońca szczerząc w uśmiechu zęby i zamykając oczy, a wokół było cicho i przyjemnie. Pomyślałem sobie, że fajnie będzie tutaj mieszkać, z dala od miejskiego zgiełku i w tym momencie podjąłem decyzję, że jednak podejmiemy się tej budowy. Do tej pory to moja małżonka była bardziej za tym pomysłem. A niech tak będzie. Latem będę mógł sobie grillować

na świeżym powietrzu, auto dostanie swój garaż, kupię sobie do salonu ogromny telewizor i ogólnie będzie przyjemniej, i sympatyczniej niż dotychczas.

- No i co powiesz na to miejsce? - spytała Gosia, gdy do niej dotarliśmy.

Spojrzałem dokoła. Może być, chociaż nie wiem, czym to miejsce różniło się od sąsiedniej działki.

- Mi jest wszystko jedno – odpartem. - Najważniejsze, że jest w miarę równo i ma bezpośredni dostęp do drogi.

- Mężczyźni w ogóle nie są romantyczni. - Wygłosiła jedną ze swych życiowych mądrości. - Przecież tutaj jest pięknie.

- Ale za to jacy jesteśmy praktyczni - poparł mnie Załucki. - To co, decydujecie się państwo?

- Co myślisz? - spytała mnie Gosia.

- Bierzemy. Ile ta działka ma metrów?

- Czekaj, - spojrzała na mapkę – osiemset dwadzieścia trzy metry. Idealnie na dom, garaż i trochę trawy dookoła.

- Dobrze. Panie Marianie umówmy się dzisiaj wieczorem na spisanie wstępnej umowy i wtedy dogramy szczegóły. Ile będzie za metr?

- Pięćdziesiąt złotych. Dla równego rachunku niech będzie czterdzieści tysięcy.

Pasuje?

- Pasuje – podałem mu rękę. Małgosia najwyraźniej była zadowolona z takiego obrotu sprawy, bo uśmiechała się tak szeroko, że widziałem nawet jej zęby mądrości.

Wracaliśmy spacerkiem do stojących w bocznej drodze samochodów, kiedy oboje z Gosią nagle się zatrzymaliśmy jak na komendę. Załucki spojrzał na nas zdziwionym wzrokiem. Pierwszy raz w życiu poczułem coś takiego. Staliśmy obok terenu, który początkowo w ogóle nie był przez nas brany pod uwagę ze względu na bliskość drzew, no i robaków, które według prognoz mojej żony miały nas nękać i dręczyć latem. Jakiś niemożliwy do określenia wewnętrzny głos powiedział mi, że to miejsce jest lepsze niż wybrana przez nas przed

chwilą działka.

- A co byś powiedział na postawienie domu właśnie tutaj? - usłyszałem głos mojej lepszej połowy.

- Wiesz, że dokładnie to samo sobie pomyślałem. Panie Marianie, - zwróciłem się do Załuckiego – ta działka też jest wolna?

- Tak, ale nie chcieliście budować domu przy drzewach. To o co chodzi? Jest podobna wielkością i cena będzie ta sama.

- Bierzemy jednak tą, - usłyszałem zdecydowany głos żony, po raz pierwszy tego dnia w pełni się z nią zgadzając – to nasza ostateczna decyzja.

W odpowiedzi na pytające spojrzenie Załuckiego, skinąłem potakująco głową.

Tylko wzruszył ramionami. Jemu było wszystko jedno. Najważniejsze, że chcieliśmy kupić ziemię.

Jadąc do domu oboje byliśmy zatopieni we własnych myślach. Podjęliśmy właśnie ważną decyzję. Teraz czekało nas masę spraw do załatwienia, no i znalezienie kupca na nasze mieszkanie. Trzeba by dać jakieś ogłoszenie. W markecie, który znajdował się niedaleko miejsca, gdzie w przyszłości będziemy mieszkać zrobiliśmy jeszcze drobne zakupy. Gdy odchodziliśmy od kasy Gosia zaproponowała, żebym kupił jakieś wino, to wieczorem uczcimy kupno działki. Faktycznie okazja była nie byle jaka. W końcu nie co dzień podejmuje się takie ważne decyzje. Długo studiowałem ustawione na półkach butelki, aż w końcu zniecierpliwiona sprzedawczyni zaproponowała mi jakieś włoskie półśłodkie wino, podobno bardzo dobre. Wydawała resztę, gdy mój wzrok padł na ustawiony przy stoisku lottomat.

- Poproszę jeszcze jeden zakład dużego lotka na chybił trafił – powiedziałem pod wpływem nagłego impulsu, schowałem kupon do kieszeni i wyszliśmy ze sklepu.

Wino faktycznie było niezłe. Nie jestem znawcą, ani wielbicielem takich trunków, dlatego potrafię tylko określić, że mi smakowało. Siedzieliśmy w fotelach, ława zavalona była papierzyskami, a w telewizji

jakaś kobieta żałośnie zawodziła w niezrozumiałym dla mnie języku. Podobno taka muzyka jest obecnie na fali, ale mi przypominała dźwięki, które wydaje z siebie pies, kiedy przez nieuwagę ktoś nadepnie mu na ogon albo gdy bardzo tęskni za swoim panem. Widocznie nie znam się na sztuce. Tak na marginesie, o tej wokalistce przez duże W, za rok nikt nie będzie nawet pamiętał, choć ona na pewno była przekonana, że jej sława dorówna co najmniej Whitney Houston.

- Wojtek, - Gosia wyrwała mnie z zadumy nad wielkim talentem tej pieśniarki - działkę już mamy, a który z tych dwóch projektów od pana Waldka wybierzemy? A może poszukamy czegoś innego, co? No, bo to tylko ja tym się zajmuję, a ty nie jesteś wcale zaangażowany. A przecież to ma być nasz wspólny dom.

- Powiedz od razu, czy wybrałaś już któryś z nich, bo mi jest naprawdę wszystko jedno. Ja bym tylko chciał, żeby była duża kuchnia, albo jadalnia, bo mam już dość jedzenia posiłków na fotelach przy ławie. Mógłby być też spory salon. Już widzę w nim ogromną kanapę i wielki telewizor, i oczywiście siebie z nogami na ławie i pilotem w ręce.

No i ze trzy pokoje. Jeden na naszą sypialnię w normalnym łóżkiem, drugi dla Małej, spory, żeby było też miejsce na rehabilitację, no i trzeci na wszelki wypadek.

Uśmiechnęła się. Od kilku miesięcy poruszaliśmy nieśmiało temat drugiego dziecka. Przypuszczam, że gdyby Amelka była zdrowa, to już dawno miałyby rodzeństwo i to dość liczne. Oboje zresztą mieliśmy takie plany przed ślubem, bo uwielbialiśmy dzieci.

Po jej narodzinach przestaliśmy brać taki wariant pod uwagę. Strach, że to, co się stało może mieć miejsce drugi raz był zbyt wielki. Później czas nam mijał na rehabilitacji, turnusach, pobytach w szpitalach i nie wyobrażaliśmy sobie, jak w takim zwariowanym świecie funkcjonowałyby drugie dziecko. Teraz zaczęliśmy sobie zdawać sprawę, że jesteśmy coraz starsi i jest to w zasadzie ostatni moment na taką decyzję. Może przyczyni się do niej nowe łóżko w nowej sypialni? Kto wie?

- Popatrz na ten – podsunęła mi przed nos płachtę papieru. - Ma

wszystko to, o czym mówisz. Sto trzy metry kwadratowe i garaż trzydzieści metrów. Wystarczy?

- Wystarczy. Sam garaż ma taką powierzchnię, jak prawie całe to mieszkanie. W głowach się nam poprzewraca – odparłem studiując rzut poziomy domu. - Samo wyjście do łazienki to już będzie prawdziwa wyprawa. A powiedz mi, co pan Waldek mówił o ogrzewaniu?

- Mówił, że stawiał w zeszłym roku większy dom i tam inwestor zamontował piec na ekogroszek z podajnikiem. Podobno poza tym, że jest duży, to zagląda się do niego raz na tydzień, węgiel sprzedają w workach i w kotłowni jest porządek. Ma kontakt z instalatorem i może nas umówić. Proponował, że gdy tylko dokumenty będą w komplecie zrobi spotkanie z wszystkimi wykonawcami i za jednym zamachem wszystko uzgodnimy.

Jest początek maja, zezwolenia mogą być za dwa miesiące, to święta Bożego Narodzenia mielibyśmy już w nowym domu. Fajnie, nie?

- No fajnie. Tylko boję się, że coś pójdzie nie tak, albo przeliczymy się z kosztami i na coś nie starczy. No a jak z kredytem?

- Rozmawiałam z tą koleżanką z banku. Jest szefową zespołu, który zajmuje się kredytami hipotecznymi i tutaj nie będzie żadnego problemu. Powinno się nawet udać, że wypłacą nam pieniądze w jednej transzy, tylko musimy mieć umowę wstępną sprzedaży tego mieszkania. Powinniśmy rozwiesić ogłoszenia. Ostatnio w bloku obok takie mieszkanie jak nasze poszło za dziewięćdziesiąt tysięcy, a kupiec znalazł się w kilka dni, to może nam też się tak uda.

- Dobrze, to od jutra działamy tak na poważnie. A teraz jeszcze po kieliszku, kąpiel i do łóżeczka bo jutro.

- Słuchaj Wojtek, - powiedziała nagle sącząc wino z kieliszka - dobrze widziałam, że wysyłałeś lotka?

- Tak, a co?

- Sprawdź. Może coś wygraliśmy. Mam jakieś takie dziwne przeczucie. Widziałam w sklepie fajne buty na lato, to może bym sobie kupiła.

- Kobiety – westchnąłem idąc do przedpokoju, gdzie w kieszeni

marynarki był kupon. Siadłem z nim przed telewizorem i włączyłem telegazetę. Chwilę czekałem, aż wczyta się strona z wynikami i krytycznym wzrokiem spojrzałem na trzymaną w ręce karteczkę z liczbami.

- Co, jak zwykle nic? - spytała moja lepsza połowa z przekąsem.

- Cicho! - zganilem ją, bo pierwsze trzy liczby na ekranie i kuponie się zgadzały.

Ostatnią trójkę miałem kilka lat temu i od tego czasu nie wygrałem ani grosza.

Potrząsałem głową z niedowierzaniem. Wyglądało na to, że następne trzy też były identyczne z wyświetlonymi na ekranie. Nie, to przecież niemożliwe. Podałem kupon Gosi. Ręce mi drżały.

- Gosiu, sprawdź proszę! Kurczę, chyba jesteśmy bogaci.

- Pokaż!

Studiowała kupon i ekran telewizora w skupieniu. Aż się jej zmarszczka zrobiła na czole. Nagle poderwała się z fotela i zaczęła podskakiwać na niewielkiej podłodze naszego pokoju.

- Mamy szóstkę! Mamy szóstkę!

- Uspokój się, bo obudzisz Małą!

- Ale Wojtek, przecież mamy szóstkę! Jesteśmy bogaci! Ale jaja! Jesteśmy bogaci!

- Wielkie mi co – grałem twardziela. - Po prostu nie musimy brać już kredytu na budowę. Ciekawe ile będzie tej wygranej? Może faktycznie starczy nam na dom. W telegazecie jeszcze nic nie ma. A zobacz na stronie internetowej lotto. Może już podali.

Nigdy do tej pory uruchamianie systemu w komputerze nie trwało tak długo.

Zaburczało mi w brzuchu z nerwów. Jeszcze brakuje, żebym z wrażenia dostał biegunki.

No wreszcie. Czy ten Internet musi tak wolno działać? Gosia sprawnie kliknęła na odpowiednią zakładkę i aż zrobiło mi się ciemno przed oczami. Spoglądałem na małe okienko z trzeba kolumnami i nagłówkiem „Liczba wygranych”. W górnym wierszu było słowo

„szóstka”, liczba wygranych „1” i kwota 15.738.223,75. Gdy po chwili ochłonąłem, drżącymi rękoma chwyciłem kalkulator i zacząłem liczyć.

- Wiesz Gosiu, że przy obecnych moich zarobkach i nie wydawaniu ani grosza moglibyśmy zebrać taką kwotę dopiero po ponad dwustu latach?

Spojrzałem na żonę i przez chwilę zacząłem obawiać się, że dostanie zawału. Była blada i spocona z wrażenia, ale pomału dochodziła do siebie. Rozumiem ją, bo w jednej chwili staliśmy się najprawdopodobniej najbogatszymi ludźmi w naszym mieście.

- Wojtek, co teraz będzie? – jednak nie do końca minął jej pierwszy szok, bo na jak na mój gust mówiła od rzeczy.

- Jak to, co będzie? Tak samo, tylko lepiej i bez zmartwień o finanse. Pomyśl, już nigdy nie będzie problemu na czym oszczędzać, żeby starczyły do pierwszego albo za co wyjechać na turnus z Małą.

- No a jak się ktoś dowie i nas napadną, albo zrobią nam coś złego? – zaczynała wszystko komplikować.

- No to nic nikomu nie mów, przecież nie będą ogłaszać w telewizji, że mamy taką kasę.

- Przecież to będzie widać – nie dawała za wygraną.

- Jak to będzie widać? To chcesz się tymi pieniędzmi okleić i tak chodzić po ulicy, czy co?

- Będziemy budować dom, a to przecież będzie widać. Ludzie są tak spostrzegawczy, że od razu zauważą.

- Gosiu, wymyślasz. Przecież dom i tak mieliśmy budować. Może teraz weźmiemy się za coś większego, niż planowaliśmy. Pan Waldek ma taki projekt, którego nie braliśmy pod uwagę. Dom ma ponad dwieście metrów oprócz garażu, ale to się aż tak bardzo z zewnątrz nie rzuca w oczy. Nie będziemy przecież od razu budowali Pałacu Królewskiego.

Myślała przez chwilę. W końcu twarz jej się rozjaśniła. Od razu wiedziałem, że opracowała plan działania na miarę operacji Market Garden.

- Mam plan. – Nie myliłem się co do niej. – Pieniądze idą na konto. Budujemy większy dom, ale z zewnątrz nie szalejemy. Koleżance z banku

powiem, że dostałeś gdzieś ofertę kredytu na lepszych warunkach. Mieszkanie sprzedamy tak jak planowaliśmy, żeby nie podpadło. Jedyne ewentualne szaleństwo to nowy większy samochód, żeby łatwiej przewoziło się Amelkę i wózek. No i zatrudniamy na stałe profesjonalnego rehabilitanta dla Małej.

- A te buty, o których mówiłaś kupisz, czy to też podpadnie?

Śmieliśmy się jak wariaci, aż zaczęła boleć mnie głowa i gardło. Nie spodziewałem się nigdy, że doczekam takiej chwili. A rano dzień zapowiadał się na bardzo nudny. Przed chwilą wybiła północ. Był piątek 18 maja 2012 roku, pierwszy dzień naszego nowego, bogatszego i mam nadzieję, że szczęśliwszego życia. W nocy prawie wcale nie spaliśmy.

Planom i prognozom na przyszłość nie było końca. Zawsze marzyło się nam zapewnienie Amelce takiej rehabilitacji, jaka tylko jest możliwa do osiągnięcia w naszym kochanym kraju. I aż do dzisiaj pozostawało to tylko w sferze marzeń.

Pracowałem wtedy w miejscowym Urzędzie Miasta i jako jedna z ostatnich osób na kierowniczych stanowiskach należałem do tak zwanej starej ekipy. Mówiąc językiem normalnych ludzi, kierownikiem wydziału mianował mnie dawny prezydent miasta, porządny człowiek, który nie angażował się w żadne układy. Według mnie znałem się dobrze na tej robocie, podlegli mi ludzie zbytnio na mnie nie narzekali, a atmosfera w pracy była poprawna. Wydział pracował idealnie, nie było do nas żadnych zastrzeżeń, jednak przewidywałem, że kiedyś zbiorą się nade mną czarne chmury. Obecny pryncypał, Wacław Oleksiak był farbowanym lisem, którego korzenie sięgały czasów głębokiej komuny i z tego co wiem, dawnym czynnym działaczem „przewodniej siły narodu”. Kilka lat temu przykleił się do jednego z czołowych ugrupowań politycznych i w ten sposób wyłynął na to stanowisko. Krótco po wygranych przez niego wyborach, których wynik do dzisiaj jest dla mnie wielką zagadką, spotkałem się na małej wódeczce z dawnym kumplem. Tak się jakoś zgadaliśmy i wyszło, że Wacek uczył go wiele lat temu w szkole przedmiotu pod nazwą Przynsposobienie Obronne. Rżeliśmy jak dwa konie ze śmiechu, gdy koledze przypomniał się jeden z tematów zajęć,

który Oleksiak napisał na tablicy. „Wpływ bojowych środków trujących na układ jedzeniowy człowieka” rozbawił mnie do łez i zrobił też furorę w naszym urzędzie, gdyż nie omieszkałem opowiedzieć tej historii kilku zaufanym osobom.

Tajemnicą poliszynela było, że jego protegowaną jest niejaka Karolinka pracująca w innej komórce. Była to kobieta, której wydawało się, że jest ładna, ale myliła się i to bardzo. Z jej twarzy okolonej jasnymi tapirowanymi kudłami biła taka tęsknota za inteligencją, że aż raziło. Miała problem ze zrozumieniem każdego zagadnienia bardziej skomplikowanego od zagotowania wody na herbatę, a pomimo tego pan prezydent Oleksiak uważał ją za idealnego kandydata na moje stanowisko. Tak przynajmniej ćwierkały zaprzyjaźnione i dobrze poinformowane wróbelki. Być może powodowały to jakieś jej specyficzne zalety, które w konsekwencji doprowadziły nadania jej uroczego przydomka. W tajemnicy mówiono na nią „Lodzia”, choć naprawdę nie wiem, dlaczego.

Oleksiak miał dość specyficzny sposób organizacji pracy, który tak naprawdę ją dezorganizował. Nie wierzył nikomu, przetasował ludzi w wydziałach tak, żeby nie tworzyli zgranych zespołów. Niewygodnych przesuwiał na inne stanowiska lub usuwał, zarzucając niekompetencję, nadużycia, brak zaangażowania albo działania niezgodne z jego wytycznymi. Zaangażował nawet do swych działań redaktorynię z lokalnej gazety, przy pomocy którego zamieszczał artykuły negatywnie nastawiające społeczność miasta przeciwko konkretnym osobom. W kilku przypadkach sprawy te znalazły finał w sądzie.

Gazeta zamieszczała co prawda sprostowanie i przeprosiny małym druczkiem wewnątrz numeru, płaciła jakieś śmieszne kwoty na wskazane cele społeczne, ale złe wrażenie o danej osobie pozostawało. Oleksiak przy pomocy wiernych sobie współpracowników, których umieścił lub zwerbował w każdej komórce urzędu i podległych placówkach, zbierał informacje na temat wszystkiego i wszystkich. Metody te kojarzyły mi się jednoznacznie z działaniami PRL-owskiej SB. Nie byłbym ani trochę zdziwiony, gdyby okazało się, że z nimi kiedyś współpracował.

Miałem nazbierane trochę nadgodzin, dlatego przed ósmą dałem telefonicznie znać sekretarce, że się spóźnię do pracy. Natychmiast wyruszyłem do Bydgoszczy, gdzie znajduje się najbliższy oddział Lotto. Całą drogę targały mną wątpliwości, że może to jakaś pomyłka, albo źle porównaliśmy liczby na kuponie z podanymi wynikami. Okazało się, że nieśluszenie. Wszystkie formalności związane z odbiorem wygranej, ku mojemu zaskoczeniu zajęły dosłownie kilka minut. Trochę danych z dowodu osobistego, później wypełniłem druk zlecając przelew na konto, przemiła pani życzyła mi dalszych wysokich wygranych i mogłem wracać do domu. Wpadłem w swojego rodzaju błogostan. Czułem się tak szczęśliwy, jak dawno nie byłem. A mówią, że pieniądze szczęścia nie dają. Bzdury.

Jadąc niezbyt szybko, kątem oka zarejestrowałem charakterystyczne logo na parterowym pawilonie przy drodze. Powodowany nagłym impulsem zahamowałem i zjechałem na parking. Wsiadłem z auta i stanąłem jak wryty. Za ogromną szybkością wystawową stało moje marzenie. Był to samochód, obiekt mojego pożądania, Jeep Grand Cherokee w czarnym kolorze. Miałem wrażenie, że uśmiecha się do mnie swym charakterystycznym grillem i wzywa, abym wszedł do środka. A co tam. Mam chwilę to wejść. Nie wiem, czy miałem wygląd potencjalnego kupca, ale jakiś gość z salonu natychmiast się mną zainteresował. Widząc, że gapię się tylko na czarnego potwora, coś tam opowiadał o zaletach auta, jego osiągnięciach i parametrach. W ogóle mnie to nie interesowało. Na temat tego konkretnego modelu mógłbym go pewnie sporo nauczyć.

Cena była astronomiczna, ale tego ranka nie miało to najmniejszego znaczenia. Obecnie kupno tego cudu amerykańskiej motoryzacji nie stanowiło dla mnie żadnego problemu.

Postanowiłem, że porozmawiam o tym z Gosią, a w zasadzie to postaram się ją nakłonić do kupna tego cudeńka. Gdy wychodziłem z salonu sprzedawca miał trochę zawiedzioną minę, ale obiecałem, że na pewno wrócę. Widać było, że absolutnie mi nie wierzy. Kilka lat temu

miałem samochód tej marki, w jednej z pierwszych wersji nadwoziowych i z silnikiem benzynowym o pojemności 4 litrów. Kupiłem go okazji, był naprawdę rewelacyjny, ale pojawiły się pilne wydatki na Amelkę i niestety musiałem się z nim rozstać. Czułem się wtedy, jakbym sprzedał najlepszego przyjaciela. Ten model, który właśnie oglądałem miał motor V-8 o pojemności 5,7 litra, który był nowocześniejszy niż w poprzednim modelu, palił mniej, a przy mocy ponad 360 koni mechanicznych gwarantował, że auto wjedzie dosłownie wszędzie. No i oczywiście wydostanie się z powrotem. Wsiadając do mojego „Mondka” rzuciłem jeszcze czułe spojrzenie przez szybę do wnętrza salonu.

W urzędzie pojawiłem się koło południa. Musiałem przecież jeszcze wejść do moich kobiet i pokazać Gosi potwierdzenie wygranej. Chyba też miała wrażenie, że może to być jakaś pomyłka, bo odetchnęła z widoczną ulgą. Od denominacji złotego w 1995 roku kwoty takie, jak widniejąca na tej karteczce były dla większości ludzi całkowitą abstrakcją. Wydało mi się, że nawet Amelka towarzysząca swojej mamie w kuchni wykazała pewne zainteresowanie wygraną. Spieszyłem się, żeby chociaż na kilka godzin wejść do pracy, ale jeszcze zdążyła nadmieniść, że moglibyśmy jutro pojechać do nowej galerii handlowej i kupić trochę letnich ciuchów. Nie cierpię łażenia po sklepach z odzieżą, bo uważam, że jest to najnudniejsza rzecz na świecie, ale mając w tym ukryty cel zgodziłem się natychmiast, opowiadając jej na odchodne o oglądanym w salonie Grand Cherokee i wyszedłem.

- Panie Wojtku, stary kazał przyjść do siebie, jak tylko pan się pojawi
- powiedziała szeptem sekretarka, pani Krysia, gdy tylko wszedłem podpisać listę obecności.

- A nie mówił, czego chce?

- Nie. Nic nie mówił, tylko wyglądał na złego, że pana nie ma od rana w pracy.

- Pani Krysia przez cały czas mówiła cicho, spoglądając z niepokojem na drzwi prowadzące do gabinetu Oleksiaka. Atmosfera w pracy była obecnie taka, że należało starannie wybierać osoby, z którymi rozmawiało się na tematy inne niż służbowe.

- Dobrze pani Krysiu. Niech mu pani da znać, że jestem już w pracy. Jakby łaskawie chciał mnie widzieć, będę u siebie.

Puściła do mnie oko i uśmiechnęła się porozumiewawczo. Bardzo ją lubiłem. Była to jedna z nielicznych osób, które jeszcze nie dały się zwariować. Za dwa miesiące mogła odejść na emeryturę i chyba dlatego miała już pewien dystans do tej pracy.

Zdążyłem usiąść za biurkiem, wyjąć z szuflady gotową od jakiegoś czasu teczkę z pojedynczym dokumentem i chciałem zapoznać się z najpilniejszymi sprawami, które musiałem jeszcze dzisiaj jako tako ogarnąć, gdy zadzwonił stojący na biurku telefon.

- Panie Wojtku, pan prezydent Oleksiak zaprasza pana do siebie. – Po oficjalnym tonie pani Krysi poznałem, że stary najprawdopodobniej słyszy, co do mnie mówi.

- Dziękuję pani Krysiu. Proszę powiedzieć panu prezydentowi, - aż skrzywiłem się wypowiadając ten zaszczytny tytuł w odniesieniu do Oleksiaka – że za chwilę u niego będę.

Gdy wróciłem przed drzwi gabinetu, były znowu zamknięte. Pani Krysia syknęła, żeby zwrócić na siebie uwagę i coś powiedziała. Nie zrozumiałem jej i aż się do niej nachyliłem.

- Jest u niego Lodzia i wiceprezydent – teraz zrozumiałem, co mówiła.

Zorientowałem się od razu, że coś się święci. I to coś bardzo niedobrego dla mnie. W konfrontacji z dwoma idiotami dzierżącymi najwyższe stanowiska w tym mieście i protegowaną jednego z nich, na stopie służbowej byłem praktycznie bez szans. Ale co tam.

Wziąłem głęboki wdech i zapukałem do drzwi. Nie czekając na jakiegokolwiek zaproszenie nacisnąłem klamkę i wszedłem. Oleksiak siedział za swoim biurkiem, a jego zastępca i Lodzia przy stole konferencyjnym. Wlepili we mnie wzrok, kiedy się przywitałem, ale nikt nie raczył mi odpowiedzieć. Postanowiłem nie okazywać zdenerwowania. Bez słowa odsunąłem jedno z krzeseł i usiadłem przy stole. Stary był najwyraźniej bardzo zde gustowany moją bezczelnością, bo zabarwił się lekko na czerwono, ale nic nie powiedział. Opanowanie

się zajęło mu dłuższą chwilę. W końcu raczył się odezwać.

- Panie kierowniku, dlaczego jest pan tak późno w pracy!?

- Nie rozumiem pytania panie prezydencie.

- No, przecież spóźnił się pan do pracy.

- Aż sapnął zaskoczony moją bezczelnością.

- Nieprawda. Nie spóźniłem się. – Postanowiłem trochę z nim pograć.

Zdenerwowany mógł łatwiej popełnić jakiś błąd.

- A przyszedł pan dopiero niedawno. To nie jest spóźnienie? – spojrzał triumfalnie na swych popleczników. Ci odpowiedzieli mu pełnym uwielbienia wzrokiem.

- Nie jest. – Ta gra zaczynała mnie nudzić. – Po pierwsze sekretarka wiedziała, że będę później i na pewno panu to przekazała. Po drugie to pana polecenie, żeby w miarę możliwości wybierać nadgodziny, bo wszystkim się ich trochę nazbierało. Po trzecie nawiązując do drugiego, taka możliwość dzisiaj była i z niej skorzystałem.

Zapadła cisza. Moje zachowanie było chyba dla nich niepojęte, bo aż ich zatkało.

Oleksiak prawdopodobnie obmyślał jakąś ciętą ripostę, bo na jego twarzy pojawił się jakby cień wysiłku intelektualnego. Ja w tym czasie cierpliwie czekałem na dalszy rozwój sytuacji, ze stoickim spokojem studiując krajobraz za oknem gabinetu.

- Panie Skłodowski – wykrztusił w końcu. - Skończmy z tymi bzdurami. Nie po to pana w końcu wezwałem.

Stary przechodził do konkretów. Zamieniłem się w słuch.

- Pani Karolina Więckowska skończyła wczoraj szkolenie z zarządzania zespołami ludzkimi.

- Zasobami ludzkimi – poprawiłem go, kątem oka widząc kretyński uśmiech Łodzi i zastanawiając się, jak to możliwe, że cokolwiek ukończyła.

- Pan tego szkolenia nie ma – dyplomatycznie udał, że nie słyszy. - Dlatego pana stanowisko zostanie od poniedziałku przekazane pani Karolinie. Po to właśnie pana wezwałem. Tak prymitywnego

uzasadnienia decyzji personalnej można się było spodziewać tylko po Oleksiaku. Kończąc ten krasomówczy popis początkowo patrzył na mnie wzrokiem zwycięzcy, lecz po chwili na jego twarzy pojawiło się rozczarowanie, że nie robię się blady, nie krzyczę, mdleję, czy coś w tym stylu. Zamiast tego uśmiechnąłem się tylko uprzejmie i spytałem.

- Jeżeli dobrze pana rozumiem, to właśnie zdjął mnie pan ze stanowiska kierownika wydziału, czy tak?

- Tak, panie Skłodowski. Właśnie tak. Czy ma pan jakieś sprzeciwy? Co?

- O tak. Mam ich wiele. Tych sprzeciwów, jak pan to nazwał. No i mam kilka pytań.

- Jakich?

- Na przykład, co mam robić po zdjęciu mnie ze stanowiska?

- Będzie pan inspektorem w tym samym wydziale.

- A ile mniej będę zarabiał?

- Trochę mniej panie Skłodowski, ale niewiele mniej. Brakuje panu tego szkolenia, które ma pani Karolina, a od poniedziałku jest moje zarządzenie, że wszyscy kierownicy mają je mieć. Dlatego właśnie pan nie może tego stanowiska dłużej zajmować.

- Tu cię mam – pomyślałem. – Sprytnie to rozegrałeś, ale takie numery to nie ze mną.

- Z wdzięcznością pomyślałem o opatrności, która wczoraj pozwoliła mi zostać człowiekiem zupełnie niezależnym. Tak naprawdę, nawet gdybym stracił teraz pracę, to niczego by w mojej sytuacji finansowej nie zmieniło. Byliśmy z Gosią ustawieni do końca życia.

- Wie pan co panie Oleksiak? - sam byłem zaskoczony spokojem, z jakim to mówiłem. - Ja nie przyjmuję pana decyzji do wiadomości. Proszę dostarczyć mi ją na piśmie. Mam prawo do odwołania i na pewno z takiej możliwości skorzystam. Proszę być pewnym, że wykorzystam wszelkie środki odwołania, z drogą sądową włącznie. Później, jak już się okaże, że postąpił pan bezprawnie, to może zwolnię się z pracy i znajdę sobie lepszą, gdzie przełożeni są chociaż na równym poziomie ze mną. Zobaczą, jaki będę miał wtedy kaprys. A teraz państwo wybaczą. Właśnie

poczułem się niezbyt dobrze.

Przypuszczam, że jestem chory i muszę iść do lekarza. I to chyba tak bardzo chory, że będę trochę na zwolnieniu. A na razie żegnaj państwa.

Podniosłem się z krzesła i wyszedłem z gabinetu. Na odchodne wyjąłem z teczki i położyłem przed Oleksiakiem pojedynczą kartkę. Była to kserokopia zaświadczenia o ukończeniu kursu z zakresu zarządzania zasobami ludzkimi. Dobrze jest jednak żyć w zgodzie z sekretarką przełożonego. Dzięki temu ukończyłem szkolenie jeszcze przed protegowanymi Oleksiaka. Nawet nie było tak drogo. Wszyscy trzej mieli gęby jakby zobaczyli kosmitę, a Lodzia tak rozdziawiła usta, że prawie było widać, co jadła na śniadanie. Pani Krysia stała przy swoim biurku. Od razu poznałem po jej minie, że podstuchiwała. Uniósła w górę oba kciuki i bezgłośnie zaklaskała w dłonie. Pomachałem jej ręką i wyszedłem.

Tak zaskoczony jak w tej chwili, od wczoraj nie byłem. Okazało się, że na piątkowy obiad Gosia zamówiła do domu moją ulubioną pizzę frutti di mare z podwójnymi dodatkami. Zjadłem całą i wyglądałem jakbym był co najmniej w szóstym miesiącu ciąży.

Nawet Amelka, która na co dzień musiała zadowolić się rozdrabnianym jedzeniem z obawy przed zadławieniem, skubnęła trochę ode mnie. Smakowało jej, od razu widać, że to moja córka. Gosia z wypiekami na twarzy słuchała, gdy relacjonowałem jej rozmowę z Oleksiakiem. Doszliśmy do wniosku, że mogę sobie pozwolić, aby zrobić mu na złość. Na wieczór zarejestrowałem się do znanego miejscowego psychiatry. Byłem w końcu wykończony nerwowo przez mojego szefa, a w takim stanie absolutnie nie mogłem pracować. Najważniejsze w tym wszystkim było jednak to, że na zwolnieniu od lekarza tej specjalności chory może chodzić, a wręcz jest to wskazane, co też zostało zaznaczone w odpowiedniej kratce druku ZUS ZLA.

Wieczór upłynął nam na dalszym studiowaniu mapek i planów. Postanowiliśmy umówić się z panem Waldkiem na przyszły tydzień i z kopyta ruszyć z naszą budową. Z pewnymi oporami wynikającymi jak to

zwykle u Gosi z ostrożności, przeforsowałem kupno nowego samochodu. Oczywiście miał to być oglądany rano czarny jak smoła Jeep Grand Cherokee. Kiedy argumentowałem, że częste wyjazdy na budowę będą zbyt wielkim wyzwaniem dla naszego wiekowego już Mondeo, skwitowała to tylko uśmiechem. Uwielbiam tą kobietę.

ROZDZIAŁ II

Kończyłem golenie i miałem właśnie wychodzić z łazienki, gdy przez drzwi usłyszałem, że dzwoni mój telefon. Nie można go było pomylić z żadnym innym, bo nigdy się nie spotkałem, żeby ktoś inny miał jako dzwonek ustawiony utwór zespołu TSA „Heavy Metal World”.

- Wojtek! Twój telefon dzwoni! – oznajmiła przez zamknięte drzwi Gosia.

- Słyszę! Możesz odebrać!?

Dzwonek zamilkł. Dobiegał do mnie głos rozmawiającej z kimś żony i po chwili usłyszałem.

- Dobrze, panie Kazimierzu. Niech pan tam czeka. Wojtek za moment do pana przyjedzie.

Drzwi się otworzyły. Gosia była najwyraźniej czymś bardzo przejęta.

- Co się stało? - spytałem.

- Dzwonił pan Kazimierz z budowy. Mówił, że odkopał na naszej działce jakieś kości. Właśnie robią dziurę w ziemi pod fundamenty i coś takiego tam znaleźli.

- No i co z tego? Przecież nie odkopał chyba zwłok z nożem w plecach?

- Chyba nie – uśmiechnęła się. - Mówił tylko, że ma w wykopie jakieś stare kości.

O nożu nie wspominał. Powiedział, że do czasu twojego przyjazdu nic nie będzie robił.

Westchnąłem głośno. Pan Kaziu był specyficznym człowiekiem, uprzejmym, sumiennym i nad wyraz uczciwym, ale w niektórych kwestiach miał swoje zasady, które potrafiły nieźle wyprowadzić z równowagi. Teść mnie zresztą przed tym uprzedzał.

Wypiłem szybko kawę, którą podała mi Gosia, ubrałem się i poszedłem na parking.

Przyznaję, że na punkcie nowego auta trochę mi odbiło. Kupiłem abonament na parking strzeżonym i zawsze idąc tam, najpierw obchodziłem samochód dookoła sprawdzając, czy wszystko z nim w porządku. Nie mogłem się już doczekać przeprowadzki i momentu, gdy będę mógł wstawić swoje cudo do garażu. Po wejściu do kabiny zapadłem się w skórzany fotel, chwilę wdychałem piękny zapach nowości, jaki unosił się wewnątrz, po czym uruchomiłem silnik i w nabożnym skupieniu słuchałem jego dźwięku niczym najpiękniejszej na świecie melodii. Widlasta ósemka pracowała jak zegarek, a wciskanie pedału przyspieszenia bez włączania biegu powodowało, że silnik wydawał z siebie agresywny pomruk. Uwielbiałem ten samochód. Chyba jest prawdą to, co mówi Gosia, że faceci na zawsze pozostają dziećmi, a na starość to im nawet włosy z powrotem zanikają na głowach. Nawet jeśli ma rację, to co za tego. Ja na takie zarzuty zawsze odpowiadam, że my chociaż potrafimy cieszyć się z drobiazgów i sztucznie nie komplikujemy sobie życia.

Dojeżdżając na budowę już z daleka widziałem, że pan Kazimierz i jego ekipa stoją nad wykopem pod fundamenty. Tak jak powiedział Gosi przez telefon, absolutnie nic nie robili. Trzymali w rękach jakieś kubki, miałem nadzieję, że z bezalkoholową zawartością i papierosy.

- Dzień dobry – przywitałem się podając każdemu z osobna rękę. -
Co się stało panie Kaziu?

- Dzień dobry – odparł. - Jakieś gnaty ludzkie ma pan tutaj zakopane. Robota nam szła jak z płatka, a tu nagle taka niespodzianka. Jak mi to chłopaki pokazali, to o mało zawału nie dostałem.

- A skąd pan wie, że ludzkie? Może to od jakiegoś zwierzaka. Tak na pierwszy rzut oka czasami ciężko odróżnić.

- Panie Wojtku, przecież to widać od razu. Pan idzie za mną. - Zszedłem za nim po drabinie w głąb dołu. Ziemia była sucha, ale i tak miałem wrażenie, jakbym wchodził do mokrego zimnego grobowca. - O tutaj, pan patrzy.

Odgarnął szpadlem sporą grudę. Okazało się, że to ludzka czaszka

częściowo oblepiona ziemią. Nie jestem fachowcem, ale już na pierwszy rzut widać było, że jest stara.

Kość była poźółkła, bez śladu tkanek i brakowało żuchwy. Puste oczodoły patrzyły na mnie jakby z niemym wyrzutem, a przecież to nie ja ją odkopałem. Pan Kazimierz przeżegnał się zabobonnie.

- Panie Kaziu, co się robi w takich przypadkach? – spytałem, bo pierwszy raz znalazłem się w takiej sytuacji.

- Nie wiem. Trochę robiłem na różnych budowach, ale czegoś takiego nigdy nie znalazłem.

- To może komuś to zgłosić, co?

- Panie Wojtku, kiedyś taki jeden opowiadał mi, że podobno gdzieś na budowie znaleźli jakieś kości i zgłosili na komisariat. Zaraz pojawiła się policja, coś tam badali, robili zdjęcia, a później przyjechali archeolodzy, kopali i kopali, a budowa przez to przeciągła się o ponad pół roku dłużej. To może jednak pan niczego nie zgłasza, bo z tego tylko kłopoty będą.

- Jezu, panie Kaziu, to co ja mam zrobić? Przecież jak zaczną tutaj kopać, to z budowy domu w tym roku nici. A my na Gwiazdkę chcemy już być u siebie.

- Tak pewnie by było. Ja panu coś powiem panie Wojtku. Ja tego nie ruszę i nie będę nic robił dopóki te kości stąd nie znikną. Może gadam głupoty, ale nie chcę, żeby na stare lata coś mnie kusiło, albo straszyciło po nocach. Nie będę też wylewał na nie betonu, bo to nie po chrześcijańsku. My jedziemy stąd, a pan może weźmie kogoś, kto się nie boi, wykopie je i znowu gdzieś zakopie. Najlepiej na cmentarzu. Tam nieboszczykowi będzie dobrze, bo to poświęcona ziemia. A powiem panu, że jakby te kości tu zostały, to może później nocami straszyci, albo i coś gorszego - znowu się przeżegnał. – Niby nieboszczyk, ale nigdy nie wiadomo. Różne rzeczy się czyta w gazetach. Kiedyś pisali w takiej jednej, że jak raz zakłócić spokój zmarłego, to już koniec. Nieraz nawet ksiądz nie pomoże.

Nie jestem specjalnie bojaźliwy, ale gdy to mówił ciarki przeszły mi po plecach i poczułem się trochę nieswojo. Co ja mam zrobić? Przecież

nie zablokuję budowy tylko dlatego, że na mojej działce są kości człowieka zmarłego diabli wiedzą jak dawno. Może zastrzelili tu kogoś w czasie wojny? Takich egzekucji było chyba dużo i w wielu wypadkach nikt o nich nie wiedział.

Wyszliśmy z wykopu. Pan Kaziu pożegnał mnie i odjechał ze swoją ekipą. Na odchodne powiedział, że mam dać znać, jak zrobię tutaj porządek, to od razu wezmą się do roboty. Patrzyłem za jego samochodem, aż zniknął za zakrętem. Zostałem sam z dużym kłopotem, o ile można tak powiedzieć o szkielecie człowieka, który kiedyś żył, śmiał się, kogoś kochał i był kochany. Wróciłem do dziury i zacząłem oglądać jej ściany.

Pomyślałem, że gdyby te kości były tutaj od niedawna, to w ziemi musiałbym widzieć jakieś ślady kopania. Tutaj jednak wszystko było tak jak powinno. Poszczególne warstwy układały się równiutko jak w torcie urodzinowym. Nigdzie żadnych zakłóceń w ich przebiegu. Po dłuższym zastanowieniu postanowiłem, co mam dalej robić. Powinienem dać sobie radę bez niczyjej pomocy.

Było już późne popołudnie, gdy wróciłem na budowę. Do zaplanowanej pracy przygotowałem się bardzo solidnie. Zabrałem z domu ubranie robocze, stare długie buty wojskowe i grube foliowe worki. Wjechałem autem na teren działki, zamknąłem bramę na kłódkę i poszedłem do tymczasowego magazynu narzędzi zorganizowanego w starym blaszanym garażu. Szybko przebrałem się w przywiezione ubranie i zszedłem do wykopu.

Zabrałem z sobą szpadel, saperkę, worki na kości i grube robocze rękawice. Byłem gotowy do pracy. Tylko od czego zacząć?

Gosia, gdy wszystko jej opowiedziałem i zdradziłem swoje plany na popołudnie, początkowo była do nich nastawiona bardzo sceptycznie. Jednak, gdy przedstawiłem jej mój tok myślowy i prawdopodobny scenariusz, gdy gdzieś to zgłosimy, zgodziła się ze mną. Pod groźbą poważnej awantury miałem mieć przy sobie telefon. To na wypadek gdyby, jak to przewidywała, wykop się zawalił i byłbym zasypany. Byłem więc wyposażony w telefon i bezprzewodową słuchawkę w uchu. Zresztą

na tym nie koniec. Za godzinę miał dotrzeć do mnie teść jako ewentualne ubezpieczenie. Od rana był gdzieś na badaniach. Gosia mówiła, że lekarzowi nie podobały się jakieś jego wyniki. Tata Marian, jak go nazywałem, był kochanym człowiekiem. Gosia miała wszystkie cechy charakteru po nim. Całe szczęście, że nie po teściowej, bo wtedy nasze małżeństwo, o ile doszłoby do skutku, zakończyłoby się najpóźniej po dwóch dniach. Trochę zmartwiłem się tymi jego wynikami. Jak przyjedzie muszę go spytać o co chodzi. Jeżeli to coś poważnego, to przecież mamy pieniądze na każde, nawet najdroższe leczenie.

Zabrałem się do pracy. Jako pierwsza czaszka. Oskrobałem ją z ziemi saperką. Była nieuszkodzona. Włożyłem ją do worka i zacząłem przekopywać ten fragment dna dołu, gdzie została znaleziona. Już po kilku ruchach spadła pojawiły się dalsze znaleziska: długie kości, żebra i fragmenty kręgosłupa. Przyjrzałem się dokładnie przedmiotowi, który początkowo zakwalifikowałem jako kość. Był jednak zbyt długi i zbyt cienki. Zacząłem go skrobać i po chwili okazało się, że to metal pokryty grubą warstwą rdzy. Ten kształt coś mi przypominał. Był podobny do starego miecza, czy też szabli. Nie, może bardziej do miecza, bo szabla powinna być wygięta, a ten przedmiot był prosty. To chyba jednak faktycznie jest stary szkielet. Może to jakiś rycerz? Jeśli tak, to powinny być gdzieś obok jakieś blachy ze zbroi, albo może klejnoty. Fajnie by było mieć coś tak starego jako pamiątkę. Miecz to na pewno sobie zostawię i później mu się dokładnie przyjrę. Może da radę jakoś go odnowić. Mógłbym go później zawiesić nad kominkiem. Ziemia była dosyć miękka i kopanie szło mi całkiem sprawnie. Pogłębiłem tą część wykopu o ponad półtora metra i stwierdziłem, że żadnych więcej kości już nie ma. Wszystkie, które znalazłem odkładałem na bok i teraz zabierałem się za ich pakowanie w worki. Niesamowite ile tego mieści się w człowieku. Po chwili miałem koniec pracy. Postanowiłem jeszcze zasypać zrobioną przez siebie dziurę, żeby pan Kaziu na mnie nie marudził. Hałda na dnie wykopu była całkiem spora, ale zabrałem się ochoczo do pracy. Zauważyłem, że przez cały czas pomimo powagi chwili, w końcu robiłem coś jakby ekshumację, byłem w znakomitym

nastroju. Niekiedy przy tego typu czynnościach odczuwałem moją rwę kulszową, ale dzisiaj absolutnie nic mnie nie bolało. Ziemi ubywało, a dół stopniowo się zapełniał. Co jakiś czas wchodziłem do niego i nogami ubijałem wsypaną glebę. W pewnej chwili łopata o coś zgrzytnęła. Gdyby nie znaleziony miecz, pewnie uznałbym to za kamień i wrzucił do dziury, ale postanowiłem sprawdzić znalezisko. Ubrany w rękawice dłońmi chwyciłem przedmiot. Był dość ciężki i oblepiony ziemią. Otarłem go z grubsza i pomyślałem, że to cegła. Był jednak szary i jak mi się wydawało pokryty jakby wyżłobionymi znakami.

Odłożyłem znalezisko na bok, już bez niespodzianek zakończyłem pracę i wyszedłem ze skarbami na światło dzienne. Przysiadłem obok kranu i puściłem wodę z węża. Najpierw przyjrzałem się temu żelastwu. Oplukałem je i byłem już pewien, że to bardzo mocno skorodowany miecz. Wyraźnie można było wyróżnić głownię i resztki rękojeści oddzielone taszką i jelcem. Pomyślałem, że najprawdopodobniej z jego renowacji nic nie wyjdzie, ale postanowiłem pomimo wszystko go zachować. Bardzo zainteresowało mnie drugie znalezisko. Oplukałem je wodą pocierając jednocześnie pędzlem znalezionym z szpargałach pana Kazia. Trwało dość długo zanim usunąłem cały nawarstwiony piach i ziemię. Moim oczom ukazał się kamienny prostopadłościan, wielkości może połowy cegły.

Na jego ścianach wyryte były jakieś litery. Zmrużyłem oczy wpatrując się w te znaki. Na każdej ze ścianek były one identyczne i upodobały go do dużej kostki do gry. Dziwne, pomyślałem. Litery układały się w kwadrat. Z tego co pamiętałem, taki układ nazywany jest kwadratem magicznym, bo bez względu na kierunek czytania otrzymuje się takie same słowa. Układ znaków na sześcianie nie miał dla mnie sensu i nie kojarzyły się z żadnym znanym mi językiem. Studiowałem układ liter:

S A T O R
A R E P O
T E N E T
O P E R A
R O T A S

S A T O R A R E

P O T E N E T O

P E R A R O T A S

ale na nic sensownego nie wpadłem. Byłem podekscytowany tym odkryciem i czułem się trochę nieswojo. Nigdy nie miałem w rękach niczego tak zagadkowego i szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałem, co o tym znalezisku sądzić. Snułem domysły, że może jest to fragment jakiejś zabytkowej ozdoby lub czegoś podobnego, albo jakiś magiczny gadżet ze średniowiecza. Nie miałem żadnej wiedzy o tamtych czasach, no może poza wyniesioną z powieści Henryka Sienkiewicza. Co by to nie było, podjąłem decyzję, że przyda się choćby w roli oryginalnego przycisku do papierów na biurku. Szczerze mówiąc znalezione przy kościach przedmioty bardzo uspokoiły moje sumienie. Szczególnie

resztki miecza świadczyły, że na pewno nie są to szczątki kogoś, kto zmarł niedawno.

Przyjrzałem się dokładniej znalezisku i mrużąc oczy. Na ściankach tego kamiennego prostopadłościanu widniała jakby szczelina biegnąca dookoła i zaklejona jakąś substancją. Zaintrygowany zacząłem w tym miejscu dłubać śrubokrętem. Była to jakaś twarda żywica o lekko brązowym zabarwieniu, która chyba łączyła dwie części tego przedmiotu. Pracowałem w pocie czoła, aż w końcu udało mi się ją z grubsza usunąć.

Powstała w tym miejscu szczelina, w którą mogłem wsunąć końcówkę płaskiego wkrętaka.

Dwie części trzymały się mocno. Kilka minut podważałem z każdej strony, aż w końcu spoiwo puściło, a kamienny prostopadłościan rozpołowił się. Poczułem w tym momencie taką ekscytację, jakiej nigdy wcześniej nie doznałem. Nie potrafię nawet tego uczucia opisać słowami. Było ono jakby połączeniem niesamowitego szczęścia, wielkiej radości, nagłej nadwrażliwości wszystkich zmysłów i niemal fizycznego podniecenia. Czułem się, jakby w tym momencie nie było dla mnie rzeczy niemożliwych do wykonania, jakbym miał nadludzką siłę, a przy tym potrafił zrozumieć i pojąć każde, nawet najbardziej skomplikowane zagadnienie.

Nie wiem jak długo to trwało. W każdym razie po jakimś czasie zacząłem wracać do rzeczywistości i nagle zatęskniłem za doznaniem, które właśnie mijało. Ten żal jednak po chwili również minął. Zaskoczony popatrzyłem wokół siebie, przypominając sobie po co tutaj przyjechałem i to, co robiłem wcześniej. W rękach trzymałem, jak się w tej chwili okazało kamienne pudełko i jego pokrywę. Rozdzieliły się tuż pod rzędem liter tworzących na każdej ze ścian wyraz „SATOR”. Zaintrygowało mnie to, co znajdowało się wewnątrz.

Wyglądało jak kawałek starego, poczerniałego z lekka drewna. Wyjąłem je z pudełka i obejrzałem dokładnie. Był to niewielki klocek o gładkich, równych ściankach. Byłem rozczarowany. Bardziej ucieszyłby mnie jakiś przedmiot, może niekoniecznie wartościowy, ale mogący uchodzić za zabytkowy. Coś, czym można by się pochwalić przed

znajomymi. Oglądając ten kawałek drewna zauważyłem, że jedna ze ścianek różni się od pozostałych. Na wyraźnie widoczny rysunek słoju nakładały się poprzeczne, grubsze i jakby nawarstwione ciemne linie. Przypominały zacieki, które tworzą się na płaszczyźnie po rozlaniu jakiejś cieczy. Krzyżowały się ze słojami drewna tworząc delikatną kratkę. Gdy oglądałem ten klocek odniosłem wrażenie, że jest wyraźnie ciepły.

Po chwili jednak to wrażenie ustąpiło. Zacząłem się obawiać, czy praca fizyczna, od której zdążyłem się odzwyczaić pracując w biurze, przypadkiem mi nie zaszkodziła. Najpierw jakaś dziwna ekscytacja, a teraz znowu to ciepło. Schowałem drewno do pudełka, zamknąłem pokrywkę i postanowiłem się przebrać. Worki z kośćmi włożyłem do bagażnika mojego cudu motoryzacji, a obok umieściłem zapakowane w innym worku znalezione w ziemi skarby. Byłem już gotowy do odjazdu, gdy przed bramę zajechało granatowe Cinquecento, na pokładzie którego dumnie zasiadał tata Marian. Otwierając kłódkę od razu zauważyłem, że coś jest nie tak. Mój teść, na co dzień tryskający dobrym humorem, był dzisiaj wręcz ponury i jakiś nieswój.

- Cześć Wojtek, co się tutaj stało, że sam kopiesz? Gosia do mnie dzwoniła, że ten stary piernik Kaziu coś znalazł w ziemi.

- Cześć tato. Tak, pan Kaziu znalazł w wykopie pod fundament ludzkie kości i powiedział, że nic nie będzie robił, dopóki ich nie usunę.

- A co on taki zabobonny. Jakby był grabarzem, to nie zarobiłby nawet na suchy chleb. To w czym mam ci pomóc? - wyraźnie widziałem, że stara się zachowywać normalnie, ale nie wychodziło mu to zbyt dobrze.

- W niczym tato. Dałem sobie radę sam. Właśnie przed chwilą skończyłem i miałem wracać do domu. Znasz Gosię. Kiedy powiedziałem co będę tutaj robił, to od razu widziała, jak leżę przysypany ziemią w wykopie. Chciała tylko, żebyś mnie trochę przypilnował.

- No i faktycznie coś wykopałeś, czy Kazimierz miał zwidy? A nie popijali sobie tutaj przypadkiem przy pracy?

- Tak, wykopałem stare ludzkie kości. A wiesz, że był przy nich jakiś

zardzewiały miecz? Początkowo nie wiedziałem co o tym myśleć, ale teraz przypuszczam, że to mógł być jakiś rycerz, albo dawny wojownik. Przecież obecnie nikt nie paraduje z mieczami, a filmu historycznego tutaj nigdy nie kręcili.

- Mówisz, że znalazłeś miecz. To faktycznie muszą być bardzo stare. Co z nimi zrobiłeś?

- Spakowałem w worki i mam je w bagażniku. Pojadę wieczorem na cmentarz i zakopię gdzieś na uboczu. Głupio się przyznać, ale pan Kaziu mnie nakręcił, że może tutaj straszyć jeżeli zbudujemy dom na miejscu czyjegoś spoczynku i na wszelki wypadek wolę zrobić właśnie tak.

Teść tylko pokiwał głową. Naprawdę było coś nie tak, bo innym razem nie odpuściłby sobie, żeby się ze mnie ponabijać. A przynajmniej zrobiłby taką minę, że poczerwieniałbym ze wstydu.

- Coś się stało? - spytałem.

- E tam, nic takiego.

- No powiedz, przecież widzę, że coś cię gryzie. Na pewno dzisiaj nie jesteś taki jak zwykle. Coś się stało.

- Powiem ci, - bąknął po chwili zastanowienia - tylko nie mów o tym Gosi. Jakiś czas temu trafiłem do neurologa, bo niekiedy miałem zawroty głowy i źle widziałem.

Chyba miał jakieś podejrzenia, bo wysłał mnie na rezonans magnetyczny, na którym wyszło coś podejrzanego. Wróciłem właśnie od kolejnego specjalisty. Trafiłem do normalnego człowieka, takiego z którym szło pogadać i który nie opowiadał mi bajek.

Liczę, że nie zostało mi więcej niż pół roku, może maksymalnie rok życia. Mam guza mózgu i to w miejscu niemożliwym do zoperowania.

Cały mój dotychczasowy dobry humor diabli wzięli. Ulotnił się w jednej chwili.

Moi rodzice od dobrych paru lat nie żyli po tym, jak jadąc na wycieczkę samochodem spotkali na swej drodze kierowcę wracającego z wesela. Po zatrzymaniu miał jeszcze prawie dwa promile. Mojego teścia traktowałem jak ojca. On też kiedyś przyznał, że bardzo ucieszył się, gdy braliśmy ślub z Gosią, bo zawsze chciał mieć syna. Wychodziło na to, że

odejdzie kolejna osoba, na której naprawdę mi zależało. Zrobiło mi się go żal. Życie nigdy taty Mariana nie oszczędzało. W jego rodzinnym domu panowała bieda, więc zaraz po podstawówce musiał iść do pracy. Szkołę zawodową ukończył wieczorowo i zaraz później powołano go do wojska. Kiedyś po kilku głębszych przechwalał się, że był snajperem, na co odparłem, że pewnie wydawał kalesony z magazynu. Skwitował to tajemniczym uśmiechem. Po wojsku przez długi pracował na dwóch etatach, żeby pomóc chorym rodzicom. Ożenił się dość późno z Marią Jelonek, kobietą, która chyba nigdy tak naprawdę go nie kochała, ale panicznie bała się stanu określanego przez siebie jako staropanieństwo. W środowisku, z którego pochodziła, brak męża był wielką ujmą dla kobiety. Na każdym kroku dawała mu do zrozumienia, że wszystkie jej znajome mają lepszych i bardziej zaradnych mężów. Teść był spawaczem, nigdy nie zarabiał kokosów, ale też nie żyli w ubóstwie. Nie pił, wracał w porę do domu i jak mógł starał się, żeby jego żona, która nigdy nie zhańbiła się żadną pracą, była zadowolona z życia. Później urodziło się jego Słoneczko, jak określał Gosię i stał się najszcześliwszym człowiekiem na świecie.

W zasadzie to on opiekował się córką, gdy był w domu i to on ją wychował. Przeżył wielką tragedię, kiedy okazało się, że jego wnuczka jest chora, ale cały czas był twardy.

Teraz widać było, że zaczyna się załamywać. Z oczu płynęły mu łzy. Przytuliłem go z całej siły słysząc, jak ten duży i z pozoru silny mężczyzna łka jak dziecko. Chwilę trwało zanim się uspokoił.

- Przepraszam cię – powiedział.
- Za co mnie tato przepraszasz?
- Że tak się mażę jak baba.
- No co ty. Ja słysząc taką diagnozę totalnie bym się rozkleił.
- Tak, tylko co powie Marysia?
- A co ma powiedzieć?
- No przecież może być tak, że nie będę miał siły pójść do pracy.

Wiesz ile będę miał od niej do słuchania?

- Olej ją – sam byłem zaskoczony tym, co powiedziałem. - Niech sama weźmie się za jakąś robotę, a tobie da spokój. Dostyc się w życiu napracowałeś. Masz emeryturę i jeszcze musisz dorabiać, a ona siedzi w domu i wiecznie ma jakieś pretensje. Przejrzyj w końcu na oczy. Niech to jej wreszcie zacznie na czymś zależeć. Możesz podać jakąś sytuację, kiedy była z czegoś zadowolona? – Milczenie. – No sam widzisz. Jest zgorzkniała i widzi tylko czubek własnego nosa.

Zastanawiał się chwilę nad tym, co powiedziałem.

- Masz rację Wojtek – powiedział cicho. – Tylko, że ja tak nie umiem.

- Słuchaj tato. Jak wszystko pójdzie po naszej myśli, to do końca roku dom będzie gotowy. Możesz przyjść mieszkać do nas. Miejsca wystarczy, a na pewno będzie ci lepiej niż z tą twoją cudowną żoną. Zaopiekujemy się tobą, cokolwiek będzie się działo.

Znowu w oczach zakręciły mu się łzy. Patrzył na mnie wzrokiem, od którego serce topniało mi jakby było z wosku i powiedział.

- Dziękuję ci synku.

Ponownie go przytuliłem i pomyślałem, że bardzo bym chciał, żeby był zdrowy i żył jak najdłużej.

Przyjechaliśmy na parking przy cmentarzu, gdy już zmierzchało. Teść był w jakby nieco lepszym humorze, bo chwilami nawet się uśmiechał. Dla niepoznaki zabraliśmy z sobą grabie i konewkę tak, że dla postronnego obserwatora mogło wyglądać jakbyśmy szli robić trochę spóźnione porządki na grobach. Obeszliśmy wolnym krokiem cały teren i na starej części wypatrzyliśmy zapuszczony grobowiec z otwartym wejściem.

Najprawdopodobniej przeznaczony był do likwidacji, bo ułożone były przy nim jakieś belki i płyty nagrobne. Rozejrzałem się ukradkiem i obaj parsknęliśmy śmiechem. Ja i tata Marian nadawaliśmy przeważnie na tych samych falach. Moja kochana żona określała to w bardziej dosadny sposób mówiąc, że mamy identycznie zrąbane łby. Wpatrując się w ten grobowiec poczułem się jak doktor Frankenstein, który wyruszył na cmentarz w poszukiwaniu zwłok do swoich dziwacznych

eksperymentów. Mogę dać głowę, że teść pomyślał dokładnie tak samo. Wewnątrz unosił się zapach mokrej ziemi. Po bokach wymurowane były półki na trumny, obecnie puste, a ściana naprzeciwko wejścia popękała i częściowo osunęła. Do środka przez otwór wpadła hałda piachu. Mieliśmy szczęście.

Było to idealne miejsce na pochówek. Mogliśmy tutaj spokojnie pracować. Na zewnątrz ktoś mógłby nas zauważyć, a poza tym pewnie nie dalibyśmy rady tak tego miejsca zamaskować, żeby nie było widoczne. Wykopanie otworu w stercie ziemi, w miarę naturalne ułożenie kości i takie wyrównanie hałdy, że wyglądała jak uprzednio, zajęło nam niecały kwadrans. Jeszcze raz w świetle latarki obejrzeliliśmy dokładnie wnętrze. Nie zauważyliśmy niczego, co by zwracało uwagę na wykonaną przez nas pracę.

Najprawdopodobniej, jeśli przy rozbiórce grobowca ktoś odkryje te szczątki pomyśli, że należą do kogoś, kto był tu pochowany.

- Wojtek, może odmówmy jakąś modlitwę? – teść odezwał się tak nagle, że się przestraszyłem.

- Jaką?

- Nie wiem, ale moim zdaniem to wszystko jedno. Ważna jest intencja. Pomodlimy się za spokój duszy tego człowieka i poprosimy o jego zbawienie. Myślę, że tak będzie najwłaściwiej.

Przytaknąłem i w skupieniu zacząłem odmawiać modlitwę w intencji człowieka, którego szczątki dzisiaj wykopałem i o którym nic nie wiedziałem. Razem z teściem drgnęliśmy, bo w tej chwili dobiegło do nas jakby westchnienie ulgi, które dobiegło od strony, gdzie zakopaliśmy kości.

- Też to słyszałeś? - spytał tata Marian.

- Tak, słyszałem. To brzmiało, jakby ktoś poczuł wielką ulgę.

- Lepiej już chodźmy – teść wyraźnie spanikował.

W pośpiechu wyszliśmy z grobowca. Cmentarz był pusty. Spakowaliśmy narzędzia i puste worki do bagażnika. Uruchomiłem silnik i ruszyliśmy wolno w kierunku domu.

- Wiesz co Wojtek? Ten dzień jest jakiś dziwny – tata Marian

odezwał się po chwili milczenia.

- Co masz na myśli?

- Rano czułem się bardzo podle. Bolała mnie głowa, a po drodze do lekarza myślałem, że tam nie dojadę. Po badaniach było jeszcze gorzej. Siedziałem chyba godzinę w samochodzie przerażony diagnozą. Gdy spotkaliśmy się na budowie i trochę się wygadałem, poczułem wielką ulgę i do tej chwili czuję się świetnie. Kiedy w grobowcu usłyszałem to westchnienie, pierwsza myśl była taka, że z moją głową jest już bardzo źle.

Ale ty też to słyszałeś, prawda?

- Słyszałem. Dzisiaj wydarzyło się wiele innych dziwnych rzeczy, ale opowiem ci o tym innym razem. Odwiozę cię teraz do domu, wracam do Gosi i Amelki i zaraz idę spać, bo jestem wykończony.

- No i zadzwoń do Kazia, bo ta stara pierdoła jutro nic nie zrobi. Będzie się bał duchów na budowie. Zachowuje się jak ten pies z bajki, który wszędzie widzi zjawy. Jak on się nazywa?

- Scoobi Doo.

- A właśnie, Skubi Łu.

Roześmiał się z tego, co powiedział. To znowu był mój stary, poczciwy i kochany tata Marian. Jego dobry humor udzielił mi się i przez większość drogi do domu rechotaliśmy jak dwie stare ropuchy.

Spać poszedłem grubo po północy. Prawie nie widziałem się z Amelką, bo ten dzień był naprawdę zwariowany. I tego dnia pierwszy raz zламаłem słowo dane teściowi.

Powiedziałem Gosi o jego chorobie. Obiecała mi na wszystkie świętości, że nie zdradzi się z niczym. Rachunek za telefon pewnie przyjdzie astronomiczny, bo oboje spędziliśmy wiele godzin na rozmowach ze znajomymi z całej Polski i w końcu trafiłem. Paweł Nowakowski poznany kilka lat temu na turnusie rehabilitacyjnym polecił mi profesora Kwiatkowskiego z Warszawy, który zoperował guza mózgu u jego syna. Ten przypadek też miał być beznadziejny, a chłopak po operacji szybko doszedł do siebie i choć cały czas potrzebował rehabilitacji, to do dzisiaj wspaniale funkcjonował. Obiecał, że z samego

rana skontaktuje się z Kwiatkowskim i postara się umówić teścia na wizytę.

Zasnąłem w momencie, w którym położyłem głowę na poduszkę. Miałem dziwne sny, w których widziałem jakichś jeźdźców galopujących konno przez las, jakiś pościg w ciemnościach, później śnił mi się teść i Amelka, którzy siedzieli razem na tarasie jakiegoś domu. O dziwo moja córeczka była zupełnie zdrowa i z ożywieniem dyskutowała o czymś ze swoim dziadkiem, który wpatrywał się w nią jak w obraz. Obudziłem się zupełnie skołowany, ale wypoczęty i rześki.

Gosia od rana zrobiła sobie wychodne do fryzjera. Ja tego nie zauważyłem, ale twierdziła, że wygląda jak czupiradło. Tuż po dziewiątej zadzwonił pan Kaziu i potwierdził, że z ekipą jest już na budowie. Próbował tłumaczyć mi ile potrzebuje bloczków betonowych, cementu i żwiru i dokładnie wyjaśniał przeznaczenie tych materiałów. Trochę się chyba obraził, gdy powiedziałem, że ma po prostu jechać do hurtowni i zamówić wszystko co potrzebne, a ja później zapłacę. Hurtownię prowadziła moja koleżanka ze szkoły podstawowej i jeśli tylko była pewna, że towar jest dla mnie, wydawała go bez problemu. Zaraz potem obudziła się Amelka. Położyłem się chwilę obok niej, co sprawiło jej widoczną przyjemność i mocno przytuliłem. Miałem tylko trzy osoby, które kochałem i na których naprawdę mi zależało: Gosię, tatę Mariana i tą kruszynę.

Pozwoliłem sobie na chwilę refleksji myśląc, jak idealnie byłoby na tym świecie, kiedy już zamieszkamy w nowym domu, gdybym mógł się jeszcze cieszyć zdrowiem teścia i Małej, chociaż w jej przypadku to zupełnie niemożliwe. Amelka przyglądała mi się badawczo swymi ślicznymi niebieskimi oczami i jakby czytając w moich myślach promiennie się uśmiechnęła. Ubierając ją i podnosząc z łóżka znowu byłem zdziwiony, jaka jest duża i ciężka. Ale w końcu miała już szesnaście lat, to nie mogła wyglądać i ważyć jak niemowlak. Na śniadanie zrobiłem kaszkę na mleku z dodatkiem świeżych truskawek, którą wciągnęła jak odkurzacz. Mała miała dość specyficzne upodobanie do potraw.

Najbardziej preferowała wszystko, co miało zdecydowany smak, a poza tym kaszkę we wszelkich możliwych wariantach. Rozdrabniacz do owoców był więc najczęściej używanym sprzętem w naszej kuchni.

Mieliśmy jeszcze godzinę do przyjścia rehabilitanta. Postanowiłem, że w tym czasie włączę Amelce jakąś muzykę, a sam doprowadzę mieszkanie do stanu wizualnie możliwego do zaakceptowania. Już dawno zauważyłem, że takie małe mieszkanie jak nasze, są szczególnie podatne na powstawanie bałaganu. Wystarczyło położyć kilka rzeczy nie na swoim miejscu i już miałem wrażenie, jakby przeszedł tam huragan. Mała siedziała w swoim fotelu słuchając „Dziadka do orzechów” Czajkowskiego, a ja w tym czasie złożyłem jej łóżko, startłem meble i zdążyłem nawet odkurzyć podłogi. Ledwie się wyrobiłem. Gdy chowałem odkurzacz pojawił się Maciej Kowalski, którego zaraz po wygraniu pieniędzy podkupiliśmy sporym wynagrodzeniem z cieszącej się dobrą renomą przychodni rehabilitacyjnej. Maciej miał spore doświadczenie w pracy z dziećmi, był przemiłym facetem, a najważniejsze, że Mała za nim przepadała. Na razie męczył się na niewielkiej podłodze pokoju, ale już uzgodniliśmy, że w nowym domu będzie miał do dyspozycji całe trzydzieści metrów kwadratowych i sam zrobi zakup wszystkich niezbędnych mu do pracy sprzętów i wyposażenia. Po chwili oboje zajęli się sobą.

Usłyszałem charakterystyczny utwór. To rozdzwonił się mój telefon. Spojrzałem na wyświetlacz widząc nieznaną numer.

- Słucham.

- Dzień dobry panie Wojtku – usłyszałem kobiecy głos.

- Dzień dobry. Z kim rozmawiam? - spytałem, bo nie potrafiłem dopasować głosu do osoby.

- Nie poznaje pan? Przepraszam. Krystyna Walczak.

- A, witam pani Krysiu – dopiero teraz rozpoznałem sekretarkę Oleksiaka. - Stało się coś, że pani dzwoni?

- Nic się nie stało, proszę być spokojnym. Dzwonię, żeby przypomnieć o swoim istnieniu, bo pan już chyba o mnie zapomniał. Miał pan wpaść przy okazji na kawę i ploteczki.

- Wiem, że miałem, ale jakoś nie mogę znaleźć czasu – przypomniałem sobie dane jej słowo, kiedy zanosłem zwolnienie lekarskie. - Przepraszam pani Krysiu.

- Nic się nie stało. A tak na poważnie, to dzwonię, żeby zaprosić pana z żoną na małą bibkę, którą robię za tydzień w piątek. Odchodzę na emeryturę i chciałabym się na koniec z kilkoma osobami spotkać. Trochę powspominamy, potańczymy, coś wypijemy i powinno być miło. Przyjdzie pan?

- Postaram się pani Krysiu. Jeszcze tylko uzgodnię to z żoną. No i musimy znaleźć kogoś, kto zostanie z Amelką. Umówmy się, że najpóźniej jutro do pani oddzwonię.

- No to świetnie. Zależy mi, żebyście oboje przyszli.

- Postaramy się. A niech mi pani powie, co słyhać w pracy? Od dnia, kiedy Oleksiak próbował mnie zamienić na Łodzię nie wchodziłem do urzędu, ani z nikim się nie widziałem.

- Powiem panu, że atmosfera jest coraz gorsza. Większość ludzi wspomina, jak dobrze pracowało się za czasów poprzedniego prezydenta. Dochodzi już nawet do tego, że przydupasy zaczynają narzekać na starego. Ja chciałabym jeszcze trochę popracować, ale w obecnej sytuacji szkoda mojego zdrowia i nerwów. A pan jeszcze długo będzie na zwolnieniu?

- Chyba nie. Powiem pani, pani Krysiu, że w najbliższym czasie chyba odejdę z pracy. Mam ciekawą propozycję w prywatnej firmie poza miastem – skłamałem pamiętając, co wcześniej uzgadnialiśmy z Gosią. Gdybym się zwolnił i nigdzie nie pracował, na pewno dałoby to ludziom sporo do myślenia. Od naszej wygranej w totka minęło ponad dwa miesiące, a miasto nadal huczało od przypuszczeń kto zgarnął szóstkę.

Ostatnia wersja, jaką słyszałem mówiła, że najpewniej był to ktoś z poza miasta.

- Co pan powie. Ale w sumie to się nie dziwię. Nikt z głową na karku nie chce pracować z kimś takim jak Oleksiak. A jeżeli już o nim mówimy, to może pan sobie wyobrazić jaki chodził struty, że jakimś cudem zrobił pan to szkolenie, na które wysłał Łodzię i swoich protegowanych.

Normalnie myślałam, że pęknę ze śmiechu.

- Dziękuję, że wtedy mnie pani o tym uprzedziła.

- Nie ma za co panie Wojtku. Naprawdę nie ma za co. No dobrze, muszę już kończyć. Mam nadzieję, że pogadamy, kiedy się spotkamy w przyszłym tygodniu. Do widzenia.

- Do widzenia pani Krysiu. Jeszcze raz dziękuję za zaproszenie.

Zakończyłem połączenie i miałem iść do kuchni, żeby sparzyć kawę, gdy telefon znowu się odezwał. Dzwonił Paweł Nowakowski. Odebrałem pośpiesznie.

- Cześć Pawle. Powiedz, że masz dobre wiadomości.

- Jasne, że mam. Profesor przyjmie teścia w środę w szpitalu, gdzie pracuje, ale musiałby przyjechać do Warszawy we wtorek i wieczorem iść do jego gabinetu na pierwszą wizytę. Badania, które są potrzebne może zrobić tylko na swoim oddziale.

- Super. Ma jakieś specjalne wymagania, albo są wyniki do zrobienia przed tą wizytą?

- Nie. Ma tylko zabrać wszystkie, które robił do tej pory. No i oczywiście siebie

- Paweł roześmiał się do słuchawki.

- Podaj mi namiary na profesora i na którą ma u niego być - przytrzymałem telefon ramieniem i notowałem na kartce podawane przez niego informacje. - Dobrze, mam wszystko. To mówisz, że warto do niego jechać?

- Słuchaj, Kwiatkowski operował mojego Szymona i do dzisiaj jest wszystko w porządku. Zresztą nie słyszałem na jego temat żadnej złej opinii, a z wieloma osobami, które leczył miałem kontakt. Radzi sobie nawet z przypadkami, które inni lekarze określają jako beznadziejne.

- No to super. Dziękuję Pawełku za pomoc. Teść się bardzo ucieszy.

- Nie ma sprawy Wojtek, od czego są koledzy. Jak będziecie już po wszystkim, to się odezwij jak poszło.

- Na pewno. Jeszcze raz dziękuję, no i trzymaj się.

Zadzwoń od razu do Gosi. Rozmowę zakłócały nam jakieś hałasujące w tle urządzenia, pewnie suszarki albo inne tajemnicze

sprzęty służące do przerabiania kobiet na bóstwo. Uzgodniliśmy, że pojedę z tatą Marianem we wtorek do Warszawy, na noc zakwaterujemy się w hotelu i wrócimy następnego dnia.

Było już wczesne popołudnie, gdy siedzieliśmy po raz drugi z teściem w gabinecie.

Profesor Lucjan Kwiatkowski był mężczyzną dobrze po pięćdziesiątce, szczupłym, zadbanym, a co najważniejsze kulturalnym i szalenie konkretnym. Gdy do niego wchodziliśmy teść był bardzo blady. Przypuszczam, że był przygotowany na ogłoszenie przez niego ostatecznego wyroku i to bardzo niekorzystnego dla siebie. Profesor rzeczywiście wyglądał na bardzo zaaferowanego. Opuścił okulary na czubek nosa i nic nie mówiąc nerwowo przeglądał leżącą przed nim stertę wydruków, zdjęć i dokumentów.

- Panie Marianie, - teść przetknął głośno ślinę – przeglądam te wyniki i szczerze mówiąc nic nie rozumiem. Z czymś takim nie spotkałem się w całej swojej praktyce lekarskiej.

- Czyli jest tak jak myślałem? To co, mam sobie kupić ładny garnitur do trumny i spisać testament?

- Przecież niczego takiego nie powiedziałem - profesor spojrzał badawczo na teścia znad okularów.

- No przecież powiedział pan przed chwilą, że czegoś takiego pan jeszcze nie widział.

- No bo nie widziałem. Gdybym nie miał przed sobą pana poprzednich wyników, a przede wszystkim rezonansu magnetycznego, to pomyślałbym, że robicie sobie ze mnie żarty panowie.

- Teraz to ja niczego nie rozumiem – teść, o ile to możliwe zrobił się jeszcze bardziej blady.

- Zwrócił pan pewnie uwagę, że badanie na naszym rezonansie trwało dość długo.

- Tak, ale pomyślałem, że może robicie je dokładniej niż w naszym szpitalu, albo coś w tym stylu.

- Robiliśmy je o wiele dokładniej niż było trzeba, bo widzi pan

odkryliśmy coś, hm ... bardzo dziwnego.

- Co takiego odkryliście?! Niech mi pan w końcu powie, bo zaraz zemdleję z nerwów.

- Dobrze. Już mówię. Okazało się, że ten spory guz, który wykryto u pana w trakcie pierwszego badania, a który jak wykazało przeprowadzone kilka dni temu badanie rezonansem bardzo się powiększył, po prostu zniknął.

- Co zrobił? - teść aż się podniósł z krzesła.

- Zniknął panie Marianie. Nie ma go, a obraz pańskiego mózgu wygląda tak, jakby nigdy go tam nie było. Podsumowując, jest pan zupełnie zdrowy. Jeżeli więc nadal chce pan umierać, to musi pan sobie znaleźć inną przyczynę. No i jest jeszcze jedna dziwna rzecz, ale to akurat się zdarza.

- Co takiego? – spytał tata Marian z wyrazem twarzy skazańca, który na sekundy przed wykonaniem wyroku śmierci uzyskał niespodziewane ułaskawienie.

- Pana wszystkie wyniki, mam tutaj na myśli na przykład morfologię, cholesterol i próby wątrobowe, z dość niepokojących stały się takie, jak u dwudziestoletniego, wysportowanego abstynenta.

- Co to wszystko znaczy? – teść przyzwyczajając się już chyba pomału do myśli, że jednak nie pójdzie w najbliższym czasie pukać do bram niebios, bo nabierał powoli naturalnego zabarwienia.

- Od wielu lat nie mówiłem tak do żadnego pacjenta, ale panu muszę to właśnie powiedzieć. Nie wiem panie Marianie. Po prostu nie wiem. To co się stało, jest z punktu widzenia współczesnej medycyny absolutnie niemożliwe.

- A jednak się stało? – nie dawał za wygraną.

- Nie wiem jak to nazwać. Jedyne słowo, jakie przychodzi mi na myśl to cud. A jeżeli tak właśnie jest, to tam na górze, - profesor wskazał palcem sufit – ktoś bardzo pana lubi. Myślę, że jedyne co nam pozostaje, to przyjąć fakty takimi jakie są, a panu cieszyć się zdrowiem.

- Sądzi pan profesorze, że to już tak na stałe ten guz zniknął?

- Po raz kolejny muszę powiedzieć, że nie wiem. Proponuję, aby

wykonał pan powiedzmy za pół roku kontrolne badanie rezonansem magnetycznym, a wcześniej jeśli pojawią się jakiegokolwiek niepokojące objawy. Może pan przyjechać tutaj lub zrobić je u siebie. I to w zasadzie wszystko, co mam panu do powiedzenia. Aha, mam jeszcze do pana prośbę związaną z pana chorobą.

- Tak?

- Przypadek jest na tyle unikalny, że chciałbym opisać go w literaturze medycznej.

Musiabym w tym celu użyć pańskich wyników i opisu przebiegu choroby. Dane umożliwiające pana identyfikację oczywiście zostaną pominięte. Co pan na to?

- Proszę bardzo. Po raz pierwszy ktoś o mnie napisze w gazecie. Jasne, że się zgadzam. – Teść był znowu sobą. Aż miło było na niego popatrzeć.

Droga powrotna do domu upływała w radosnej atmosferze. Tata Marian prawie nie dopuszczał mnie do głosu. Gdyby nie to, że jego głos był dość niski mógłbym powiedzieć, że całą drogę szczebiotał jak panienka. Zresztą wcale się nie dziwię. Cały czas byłem trochę zszokowany tym, co usłyszeliśmy u profesora Kwiatkowskiego, a przecież cała ta historia nie dotyczyła mnie bezpośrednio. Teść wczoraj jechał w przeciwnym kierunku będąc na pewno przekonany, że usłyszy to samo co u poprzedniego lekarza. Swoją drogą to rzeczywiście musiał być ewenement z tym zagadkowym zniknięciem guza, skoro taka sława jak profesor była zainteresowania pisaniem artykułu na ten temat. Minęliśmy właśnie Nowy Dwór Mazowiecki, kiedy nagle zamilkł.

- Co się stało? – spytałem zaskoczony nagłą ciszą, jaka zapanowała w kabinie.

- Nic – odparł. – Myślę sobie tylko, że jesteśmy ostatnie świnie. Gosia siedzi w domu i na pewno, jak ją znam martwi się co z jej ukochanym tatusiem, a my sobie jedziemy i gadamy o pierdołach. Może byś do niej zadzwonił. Jak będzie o coś pytała, to ty jej lepiej wytłumaczysz.

- Nie ma sprawy. Już dzwoniemy.

Telefon miałem już skomunikowany z samochodem i miałem właśnie wybrać numer do Gosi, kiedy na wyświetlaczu środkowej konsoli pojawiła się informacja o przychodzącym połączeniu właśnie od niej.

- Cześć Gosiu, właśnie mieliśmy do ciebie dzwonić.

- Cześć. I co ciekawego u was słychać? Co u taty? – spytała niezobowiązująco, ale jakimś takim dziwnie radosnym głosem.

- Nie musisz się czaić się córka. Jestem zupełnie zdrowy – wtrącił się teść. Zdążył już pojąć zasady działania nowoczesnej techniki, bo kiedy po raz pierwszy rozmawiał z mojego samochodu używając trybu głośnomówiącego, to tak się schylał do deski rozdzielczej, że pomazał mi nosem wyświetlacz.

- Co powiedziałaś tato? Bo chyba nie dostyszałam.

- Słuchaj, profesor zrobił mi jeszcze jedno badanie na rezonansie magnetycznym u siebie w szpitalu. Pamiętasz, przedwczoraj oglądałaś dwa poprzednie wyniki. Na tym ostatnim guz był dużo większy niż wcześniej.

- Tak, pamiętam.

- No widzisz. Okazało się dzisiaj, że go już tam nie ma. Zniknął, jakby go tam nigdy nie było.

- Tak się cieszę. Super! A wiadomo co się stało? Profesor chyba wszystko dokładnie wam wytłumaczył?

- Nie wiadomo i profesor też nie wie. Powiedział, że coś takiego widzi pierwszy raz i to chyba cud, bo inaczej tego nie potrafi wytłumaczyć.

- Niesamowite.

- A wiesz córciu, że on opisze mnie w jakiejś gazecie?

- W jakiej znowu gazecie?

- Nie słuchaj taty, - postanowiłem się wtrącić – nie będzie opisywał jego, tylko konkretny przypadek chorobowy i nie w gazecie, tylko w jakimś specjalistycznym czasopiśmie medycznym.

- Naprawdę nic nie potrafił powiedzieć, jak to się stało, że ten guz zniknął?

- Nie. Było dokładnie tak jak tata mówił. Powiedział, że z takim

przypadkiem się nie spotkał, a nawet o takim nigdy nie słyszał.

- Widzicie, jaki jestem wyjątkowy. - Teść aż się wyprężył w fotelu. Jeszcze chwila, a zrobi dziurę w dachu.

- Widzimy, widzimy - odparła Gosia. - Mama już wie?

- Nie wie. I nie chcę, żebyś jej o tym mówiła. Od wczoraj nie zainteresowała się moim zdrowiem, a kiedy do niej dzwoniłem, to nie odebrała telefonu. Mam ją w ..., hm..., no sama wiesz gdzie ją mam.

- Jak chcesz tato. Wojtek, powiedz mi, czy w tej chwili jedziecie?

- No przecież wracamy do domu. To tak trochę nie bardzo, żebyśmy nie jechali.

- To proszę, żebyś zatrzymał samochód, bo mam ci coś naprawdę bardzo ważnego do powiedzenia.

- No to mów, kobieto. Przecież mogę cię słuchać prowadząc samochód. Ręce mam wolne.

- Wojtek, to nie jest nic złego, a wręcz przeciwnie, ale naprawdę proszę, żebyś się zatrzymał. W przeciwnym razie nie powiem nic. Nie chcę, żebyś spowodował wypadek.

Mówię serio.

Mijaliśmy właśnie tablicę informującą, że za trzysta metrów będzie stacja benzynowa. Po chwili wjechałem na jej teren i zaparkowałem samochód przy budynku.

- Stoimy. Możesz mówić.

- Wojtek, dzisiaj jest naprawdę dzień cudów. Wiesz co się dzisiaj stało u nas w domu?

- Gosiu, proszę cię, mów. Chcemy jak najszybciej być w domu. Tata dzisiaj stawia piwo i oglądamy wieczorem mecz.

- Słuchaj, chodzi o Amelkę.

- Co się stało?!

- Amelka jak tylko się obudziła to sama usiadła w łóżku. Powiedziała „cześć mamó” i spytała gdzie jesteś, bo od wczoraj cię nie widziała, a poza tym robisz lepszą ode mnie kaszkę na śniadanie.

ROZDZIAŁ III

- Dzień dobry kochani – przywitała nas serdecznie pani Krysia. Rozejrzałem się po sali. Miała dość specyficzne pojęcie małej bibki, bo bywałem na mniej wystawnych weselach. Ciekawe jak w wydaniu pani Krysi wygląda duża bibka.

Większość obecnych osób znałem choć z widzenia, bo pracowały w różnych wydziałach urzędu.

Część z nich przywitała mnie uśmiechem, ale reszta udawała zajętych jakimiś bardzo ważnymi sprawami. Tak właśnie w prosty sposób można było odróżnić klakierów Oleksiaka od normalnych ludzi. Smutne, że ci drudzy byli w zdecydowanej mniejszości. O jego obecności na bankiecie pani Krysia uprzedziła mnie już wcześniej. Tłumaczyła, że nie wypadało go nie zaprosić. W tym momencie było mi to absolutnie obojętne.

Postanowiliśmy z Gosią świetnie się bawić, a jeżeli przy okazji uda się nam trochę go zdenerwować, to tym lepiej. Trochę wbrew temu, co wcześniej postanowiliśmy, zdecydowaliśmy, że zrobimy pani Krysi jakiś super prezent nie zważając na ewentualne komentarze. Była co prawda osobą samotną, ale mogła mieć jakieś plany, dlatego spytałem, czy za miesiąc ma dwa tygodnie wolnego i na przykład może gdzieś wyjechać.

Nie wiem, czy coś podejrzewała, ale po chwili wahania odparła, że tak.

- Proszę kochana pani Krysiu – podałem jej kosz z kwiatami wielkości sporego snopka słomy.

- A to drobny prezent na szczęśliwy początek emerytury – Gosia podała pani Krysi sporą kopertę.

- A cóż to takiego? - pani Krysia wyglądała na autentycznie zaskoczoną.

- Mąż słyszał kiedyś, że chciałyby pani odwiedzić kilka miejsc na

świecie. To jest wycieczka dla pani. Dwutygodniowy pobyt w słonecznej Tajlandii włącznie z przelotem w obie strony, atrakcjami i zakwaterowaniem – powiedziała to specjalnie dosyć głośno. Poza zadowoleniem pani Krysi, która aż straciła dech z wrażenia ucieszył mnie wyraz twarzy Oleksiaka. Wyglądał, jakby wypił duszkiem szklankę octu.

- Jejku, naprawdę!? Przecież to takie koszty i w ogóle.

- Pani Krysiu, - odparłem – przyjaciele są dla nas bezcenni. Niech pani sobie trochę odpocznie i zregeneruje siły po latach pracy w szkodliwych warunkach. Trafiliśmy chociaż z tą Tajlandią?

- Panie Wojtku kochany, od wielu lat marzyłam żeby tam jechać. Dziękuję wam bardzo.

Widząc, że zaraz się rozplacze ucałowałem ją w oba policzki i powiedziałem na ucho, że teraz gdzieś usiądziemy, a później porozmawiamy. Skinęła głową i wskazała nam miejsca. Siedzieliśmy obok jakichś znajomych pani Krysi niezwiązanych z pracą.

Musiałem przyznać, że postąpiła bardzo dyplomatycznie. Każdy podwładny Oleksiaka, który rozmawiałby ze mną zbyt długo, na pewno naraziłby się na represje z jego strony.

Trafiliśmy zresztą w bardzo sympatyczne towarzystwo, w którym nikt nie musiał zachowywać się sztucznie. Moja Gosia wprost tryskała dobrym humorem, a oboje sprawialiśmy wrażenie bardzo szczęśliwych i zadowolonych z życia. Każdy wybuch śmiechu w naszej części stołu powodował grymas nieprawdopodobnego cierpienia na twarzy pana prezydenta. Może jestem małostkowy, ale bardzo poprawiało mi to samopoczucie.

Było już dość późno, kiedy po szaleńczych tańcach wyszliśmy przed lokal, aby trochę ochłonać. Stali tam na paląc papierosy moi znajomi z pracy. Przywitali się i rozmawialiśmy chwilę, gdy nagle zamilkli ze sztucznie obojętnym wyrazem twarzy.

Jeszcze go nie widząc byłem pewien, że nadciąga w naszym kierunku Oleksiak. Po minie poznałem, że ma trochę wypite i będzie szukał zaczepki.

- Panie Skłodowski widzę, że ciężka choroba nie przeszkadza

chodzić na imprezy alkoholowe – zaczął w swoim stylu. Gosia chciała coś powiedzieć, ale ścisnąłem ją za rękę. To była moja rozgrywka.

- Panie Oleksiak, - aż poczerwieniał słysząc, że odpowiadam mu tym samym tonem – widzi pan, jakoś mi to nie przeszkadza. Lekarz uznał, że mogę wychodzić z domu, a nawet jest to wskazane. Poza tym zalecił mi jak najwięcej rozrywek.

- To jakiś dziwny ten lekarz!

- Wie pan co, dam panu jego nazwisko i adres. Niech pan idzie i sam mu to powie, bo ja niczego dziwnego u tego lekarza nie zauważyłem.

- Nie trzeba. Ja nie muszę korzystać z takich lekarzy od czubków. W odróżnieniu od niektórych, - tutaj spojrzał na mnie wymownie – mam zdrową głowę.

Moja Gosia wyraźnie rwała się do ataku niczym wkurzony doberman, ale wzrokiem pokazałem, że ma być cicho. Pozwoliłem, aby przez chwilę Oleksiak myślał, że jest górą i wypaliłem.

- Ten lekarz od czubków, jak pan go nazywa po pierwsze jest o niebo lepiej wykształcony od niektórych, - spojrzałem na niego znacząco – a po drugie kiedyś powiedział mi bardzo ciekawą rzecz. Mianowicie, że żaden czubek przenigdy się nie przyzna, że jest chory na głowę.

Aż się zagotował. Ciśnienie pewnie skoczyło mu do takiej wartości jak w oponie samochodowej. Ja postanowiłem zachować stoicki spokój.

- Panie Skłodowski, - wysyczał – jest pan bezczelny. Przypominam, że jestem pana przełożonym.

- Dlatego biorę z pana przykład panie Oleksiak. Zachowuję się wobec pana dokładnie tak, jak pan w stosunku do mnie. To bardzo miłe, nie uważa pan?

Zdębiał i na chwilę zapomniał języka w gębie. Pewnie myślał, że zacznę się z nim kłócić, a wtedy poczułby się jak ryba w wodzie. W awanturach i złośliwościach był arcy mistrzem.

- Zapewne zastanawiał się pan, - postanowił zmienić taktykę - dlaczego nie chciałem pana na stanowisku kierowniczym w urzędzie? Powiem panu. Bo nie lubię pracować z takimi, którzy mi się sprzeciwiają.

- Wie pan co, panie Oleksiak. Ta rozmowa do niczego nie prowadzi,

a tylko nudzi mnie i moją żonę. Poza tym nie jest pan żadnym partnerem do dyskusji. Tak się składa, że będzie pan musiał mnie na tym stanowisku dalej znosić, bo nie ma żadnych przesłanek, żeby mnie z niego zdjąć. Dobrze pan o tym wie. No chyba, że będę miał kaprys i sam odejdę. Ale nad tym dopiero się zastanawiam. A co do tych, z którymi pan lubi pracować, to uważam ich za zwykłych wazelinarzy. Gdyby nie stanowisko, które jakimś cudem pan zajmuje, nikt z nich nie podałby panu nawet ręki. Gdyby był pan naprawdę cwany, mądrości nie wymagam, to pozwoliłby pan ludziom robić to, co do nich należy. Uważam, że te wszystkie gierki tylko dezorganizują pracę.

Grupa palaczy, którzy stali w pobliżu nie wytrzymała nerwowo, bo słysząc rozwój tej konwersacji oddalili się w pośpiechu. Oleksiak chyba nie bardzo wiedział co dalej powiedzieć, bo zerknął na nich i powiedział.

- Widzisz Skłodowski, jak koledzy cię zostawiają. Mają ciebie głęboko w dupie.

Ale odniósł totalną porażkę, bo na plac boju postanowiła w końcu wkroczyć moja żona. Jak to w jej stylu, wypaliła z grubej rury.

- Wie pan co, panie ..., jak pan tam się nazywasz. Mój mąż to chociaż ma kolegów, a o tobie mówią, że za młodu matka wiązała ci kielbasę na szyi, to chociaż psy na podwórku się z tobą bawiły.

- To zwykłe chamstwo tak do mnie mówić, ty, ty – Znowu zrobił się bordowy i spojrzał groźnie na Gosię. Źle trafił, bo patrzyła mu prosto w oczy z wyraźnym wyzwaniem. Ja czekałem na jeszcze jedno słowo i byłem gotowy dać mu w gębę. Zerknął na mnie i chyba się zreflektował, bo po chwili opuścił wzrok. Zaraz jednak pokazał swoje prawdziwe ja.

- Skłodowski, wracaj do pracy to cię zgnoję! Będziesz prędzej w urzędzie kible czyścił, niż zostaniesz na stanowisku! Moja w tym głowa.

Chciałem mu powiedzieć, żeby poszedł do wszystkich diabłów, ale Gosia mnie uprzedziła.

- Spadaj stąd bucu, bo zaraz sam będziesz kible czyścił. Pamiętaj, że jesteś sam, a my we dwójkę. Zaraz dostaniesz w swój niewyparzony pysk, nakryjesz się kopytami i jeszcze powiem, że nas napadłeś. A poza tym nie denerwuj się tak, bo ci układ jedzeniowy wysiadzie i najnormalniej w

świecie sfajtasz się w spodnie. Chcesz coś jeszcze powiedzieć?!

Nie chciał, bo odwrócił się plecami i zaczął odchodzić wolnym krokiem. Zapewne zastanawiał się, skąd wiemy o gafie, którą walnął wiele lat temu. Wróciliśmy do lokalu, żeby pożegnać się z panią Krysią, bo był już najwyższy na powrót do domu. Teść z Amelką na pewno zdążyli już pewnie całkowicie zdemolować mieszkanie.

Na tym etapie budowy nasz przyszły dom nie prezentował się zbyt ciekawie.

Standardowy murowaniec od razu ma swój ostateczny kształt. Później dochodzi jakiś ozdobny tynk, ale forma domu jest niezmienna. Nasz składał się z wielu pionowych belek, dlatego został nazwany Lasem Sherwood. Ochrzciała go tak Amelka, która według wszystkich diagnoz i opinii rzekomo mądrych, i wykształconych lekarzy, psychologów oraz pedagogów funkcjonowała na poziomie głębokiego upośledzenia umysłowego. Jakiś czas temu oglądaliśmy razem Robin Hooda. Okazało się, że doskonale ten film pamięta, bardzo się jej podobał i w najbliższym czasie planuje zobaczyć go jeszcze raz. Określenie Las Sherwood zapożyczyła z tego właśnie filmu.

Od pamiętnej środy, kiedy to wracałem z teściem z Warszawy, jej stan zmienił się tak bardzo, że nikt, kto nie znał jej wcześniej nie uwierzyłby, że była kiedyś tak bardzo chora. Jeżeli to, co się w tym dniu wydarzyło było cudem, to naprawdę nie wiem czym zaskarбилиśmy sobie aż takie względy u najwyższej instancji. Dobrze, że Gosia kazała mi zatrzymać samochód, zanim powiedziała o Małej, bo faktycznie mógłbym z wrażenia spowodować wypadek. Kiedy już skończyła nam o niej opowiadać ja siedziałem ponad kwadrans w bezruchu zbyt zaszokowany, aby cokolwiek powiedzieć. Natomiast tata Marian zrobił takie przedstawienie, że obsługa stacji wezwała na wszelki wypadek policję.

Wyskoczył niczym kozica z samochodu i zaczął jakiś dziki taniec z okrzykami. Myślę, że nawet północnoamerykańscy Indianie szykując się na wojnę byli mniej ekspresyjni.

Dobrze, że te wyniki mu się poprawiły, bo cudem ocalony od guza

mózgu, skonałby na pewno na tej stacji benzynowej na zawał serca. Personel zapewne widząc jego popisy wziął go za jakiegoś wariata i chyba wezwał Policję, bo po paru minutach pojawił się radiowóz. Policjanci przez parę minut nie mogli się z nim dogadać. To był trzeci cud tego dnia. Ja na ich miejscu, widząc jednego gościa siedzącego z wybałuszonymi oczami w samochodzie i drugiego biegnącego dookoła z obłędem na twarzy, i wznoszącego niezrozumiałe okrzyki, na wszelki wypadek bym ich pozamykał, a dopiero później próbował rozmawiać. Ci byli młodzi, ale cierpliwi i rozgarnięci. Gdy nas wysłuchali i zrozumieli o co chodzi, co było nie lada wyczynem, pogratulowali, życzyli dużo zdrowia i kazali jechać ostrożnie do domu. Ależ ta droga nam się dłużyła. Po dwóch tygodniach dostałem pocztą trzy pamiątkowe zdjęcia z fotoradarów. Jeden z nich zanotował przekroczenie dopuszczalnej prędkości o prawie sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Na miejscu zaparkowałem prawie w klatce schodowej i pobiegliśmy niczym dwa konie wyścigowe na drugie piętro. Tata Marian prawie wyważył drzwi, bo swoją subtelną rączką nie trafił w klamkę. Wpadliśmy do mieszkania przewracając Gosię, która właśnie chciała nam otworzyć i stanęliśmy jak wryci wpatrując się w Amelkę. Siedziała właśnie na kanapie i oglądała jakąś kreskówkę. Jedną ręką wpychała w siebie chrupki kukurydziane, a palcem wskazującym drugiej z zapałem dłubała w nosie. Nigdy nie zapomnę tej sceny.

Amelka, która przez szesnaście lat swojego dotychczasowego życia nie potrafiła nawet wytrzeć sobie buzi bez czyjejś pomocy i nie wypowiedziała żadnego słowa, słysząc zamieszanie przy drzwiach odwróciła się, spojrzała na nas spokojnie swymi błękitnymi oczami, uśmiechnęła się i kazała być ciszej, bo przecież właśnie ogląda bajkę.

Poryczeliśmy się jak bobry. Z piwa i meczu tego dnia nic nie było. Siedzieliśmy wokół Małej prawie do pierwszej w nocy i zachwycaliśmy się każdym wypowiedzianym przez nią słowem.

Było piątkowe późne popołudnie. Budowlańcy skończyli dzisiaj pracę wcześniej.

Siedzieliśmy we czwórkę na tarasie naszego przyszłego domu, to

znaczy tak naprawdę siedziałem tylko ja i tata Marian. Amelka nadrabiała szesnaście lat bezruchu. Sprawiała wrażenie jakby chciała odrobić zaległości w ciągu tygodnia. Chodziła jeszcze trochę niezgrabnie, ale bez pomocy kul i kategorycznie sprzeciwiała się, aby ktokolwiek próbował, albo nawet miał zamiar jej pomagać. Trzeba jej oddać, że była bardzo ambitna.

Teraz akurat zwiedzała wszystkie kąty budynku i już w swej bujnej wyobraźni urządzała pokoje. Podążał za nią „człowiek cień”, czyli moja żona we własnej i nad wyraz czujnej osobie. Właśnie usłyszeliśmy ich rozmowę dobiegającą z głębi domu.

- Mówię ci mammo, nie chodź za mną!

- Ależ Amelko... .

- Co Amelko!

- A jak się przewrócisz?

- To będę sobie leżała. Mammo, przecież dalej niż na podłogę nie polecę.

- Możesz sobie coś zrobić.

- Co na przykład?

- No nie wiem

- Sama widzisz. Boisz się, ale nie wiesz nawet czego. Kobieta w twoim wieku powinna już umieć bardziej sprecyzować swoje obawy. - Rozpoznałem cytaty z periodyku o psychologii.

- Już ja wiem czego się boję. Możesz coś sobie na przykład ... złamać.

- No to wsadzą mnie w gips. Mammo naprawdę mam dosyć siedzenia w bezruchu, a ty powinnaś mieć dosyć chodzenia dookoła mnie. Ja muszę być zupełnie samodzielna.

- Jak możesz tak mówić?

- Przecież mówię zupełnie normalnie.

- Nie o to mi chodzi. Jestem twoją matką i moim obowiązkiem jest o ciebie dbać.

- I jeszcze dodaj, że ja jestem twoją córką i moim obowiązkiem jest cię słuchać.

- Amelka wiesz, że nie to miałam na myśli. Szesnaście lat byłaś chora i teraz, gdyby ci się cokolwiek stało, to ja bym tego nie przeżyła.

- Mamo. Nie graj mi na uczuciach. Ja doskonale pamiętam jak byłam chora.

Pamiętam jak ty i tata martwiliście się o mnie. Jak nieraz płakaliście i martwiliście się o moją przyszłość. Bardzo wam jestem za to wdzięczna, ale teraz kiedy już mogę, to chcę sama zrobić wszystko, żeby ta moja przyszłość była jak najlepsza. Muszę ostro brać się za siebie. Mam dużo do nadrobienia. Na razie będę dużo ćwiczyć. Już uzgodniłam z panem Maciejem cały program na najbliższe miesiące. W przyszłym roku na wiosnę chciałabym jechać po raz pierwszy w góry. Tata kiedyś mówił, że dużo chodził po górach i ja też chcę.

Na początek w Karkonosze. Aha, nie wiem czy tata ci to mówił, ale już się zgodził. Chcę zapisać się na karate.

Gdzieś z głębi Lasu Sherwood spojrzały na mnie z wyrzutem zielone oczy należące do mojej małżonki. Co ja poradzę na to, że nie potrafię Małej niczego odmówić. Taki wzrok prawdopodobnie miał legendarny Bazyliszek.

- No i mam mnóstwo do nadrobienia w szkole – kontynuowała Amelka. – Nawet z tymi podstawowymi sprawami są duże kłopoty. Sama widziałaś, że znam litery, a już z ich pisaniem mam duże problemy. Pan Maciej mówił, że popracujemy też nad koordynacją ruchową i sprawnością dłoni.

- No właśnie. Ja bym wołała, żebyś skupiła się na nauce. To ci się przyda w życiu.

Nie musisz przecież być sportowcem.

- Mamo, ja chcę, żeby za jakiś czas w ogóle nie było widać, że byłam kiedyś chora.

A tak właściwie, to bym jeszcze chciała grać na skrzypcach albo fortepianie i iść na kurs tańca. No i na studia też bym chciała pójść. Może na medycynę, co?

Obaj z teściem parsknęliśmy śmiechem widząc minę Gosi, kiedy słuchała o planach naszej latorośli. Kilka dni temu doszliśmy do

wniosku, że nie mieliśmy czasu, żeby się przestawić na zdrową Amelkę. Była tak głodna świata, nowych doznań oraz wiedzy i tak pełna energii, że po prostu za nią nie nadążaliśmy. Spała niewiele. Chłoneła wiedzę jak gąbka. Zażyczyła sobie do pokoju komputer i do późna w nocy buszowała po internecie.

Dużo czytała. Tą umiejętność opanowała do perfekcji, bo dzięki czytaniu globalnemu, polegającemu na postrzeganiu poszczególnych słów jako całości, a nie na dzieleniu ich na poszczególne litery dosłownie połykała kolejne książki. Zachowywała się jak więzień, który po wielu latach zamknięcia w celi wychodzi na wolność i zachwyca go każdy szczegół otaczającego świata. Okazało się dopiero teraz, że w rzeczywistości właśnie tak było. Mała dokładnie pamiętała całe swoje dotychczasowe życie, no może z wyjątkiem wczesnego dzieciństwa. W istocie była więc niejako więźniem swego ciała, które w żaden sposób nie chciało jej słuchać, a poza tym uszkodzenie części mózgu powodowało problemy z logicznym myśleniem, przy jednoczesnej pełnej świadomości takiego stanu rzeczy. Kiedy uświadomiłem sobie pełnię jej cierpienia przez te lata pomyślałem, że musi być bardzo silna, skoro tak często potrafiła być bardzo pogodna i zadowolona. Próbowaliśmy opisać mi jak się wtedy czuła. Nie miałem żadnych doświadczeń, które pozwoliłyby mi się do tego odnieść, ale przypuszczam, że mogło to być coś podobnego do stanu po wypiciu zbyt dużej ilości alkoholu, kiedy jeszcze człowiek potrafi w miarę logicznie myśleć, ale ciało i język za nim nie nadążają. Było to jednak tylko moje wyobrażenie na ten temat i z całą pewnością niezbyt trafne.

Wiele czasu spędziliśmy ostatnio na dyskusjach, w które włączyliśmy też Macieja Kowalskiego. Oczywiście dotyczyły one stanu zdrowia Amelki. Maciej twierdził, że to co się stało jest rzeczą praktycznie niemożliwą. Jeśli przez szesnaście lat uszkodzone obszary w jej mózgu się nie zregenerowały, to teraz było to absolutnie wykluczone. Tymczasem wydawała się ona obecnie zupełnie zdrowa. Wymagała jedynie, żeby popracować nad jej motoryką i ogólną koordynacją ruchową. Maciej szacował, że za około pół roku nie będzie już Małej

potrzebny, bo nadrobią wszystkie zaległości, a dalej będzie już mogła pracować sama.

- No ślicznie, – powiedziała Gosia podchodząc do stolika, przy którym siedziałem z teściem – ja się zerwę chodząc za Amelką, a wy siedzicie i jeszcze się ze mnie nabijacie.

- Ależ córeczko, - odparł tata Marian – my się z ciebie nie nabijamy. My się cieszymy, że nasza Amelka jest zdrowa.

- Ona razem z wami wykończy mnie nerwowo – odparła Gosia. - Ja umieram ze strachu, Amelka ma to w głębokim poważaniu, a wy rechoczenie jak dwie stare ropuchy utwierdzając ją w przekonaniu, że to bardzo zabawne. Okręciła was sobie wokół palca.

Z tym ostatnim stwierdzeniem musiałem się zgodzić w stu procentach. Nie byłem w stanie niczego Małej odmówić.

- Daj jej trochę swobody – kontynuował teść przytulając Małą, która wskoczyła mu na kolana. - I usiądź córeczko trochę z nami. Kawa już prawie zupełnie wystygła.

Z pewnymi oporami usiadła przy stoliku. Niedawno wszedł na niego cień, upał jakby trochę odpuścił i zrobiło się całkiem przyjemnie. Popatrzyłem na moją rodzinę.

Byliśmy tutaj w komplecie, bardzo zadowoleni z życia, a niedawne problemy zaczynaliśmy już pomału puszczać w niepamięć.

- Aż się wierzyć nie chce, - Gosia jakby czytała mi w myślach – jak wiele w ostatnim czasie się pozmieniało. Jeszcze niedawno ta smarkula nie chodziła i nie mówiła, a dzisiaj nie mogę za nią nadążyć i gęba jej się nie zamyka. Ty tato pomału przygotowywałeś się na tamten świat, a teraz też jesteś okazem zdrowia. No i jeszcze wpadliśmy na pomysł z budową domu. Jakby mi ktoś pół roku powiedział o tym wszystkim, to bym mu nie uwierzyła.

- Faktycznie - podjął teść. - Nie, żeby miał coś przeciwko, ale nie zastanawiało was, że zostaliśmy obdarowani wielką ilością szczęścia? Rozumiem, jeżeli ktoś wróci do zdrowia. To się zdarza. Ale dwa wydawałoby się beznadziejne przypadki, w bliskiej rodzinie i w tym samym czasie? Przecież to niemożliwe. Jakby ktoś, jakiś cudotwórca nas

dotknął i uzdrowił. A przecież u nikogo takiego nie byliśmy z Amelką.

Mała uważnie słuchała dziadka i natychmiast zaprotestowała, aby nie nazywał jej beznadziejnym przypadkiem. Naburmuszyła się i poszła na obchód działki. Teść był nią oczarowany do tego stopnia, że nie protestowałby nawet gdyby nazwała go głupim.

Oczywiście Gosia już była gotowa do startu w ślad za nią, ale opamiętała się i została z nami. Jej oczy śledziły jednak bez przerwy Amelkę niczym artyleryjski system kierowania ogniem.

- Oj tato, - powiedziała nie spuszczać wzroku z Amelki – to też już kiedyś przerabialiśmy. Byliśmy u kilkunastu rzekomo cudownych uzdrowicieli i żaden z nich nic nie zdziałał. Według mnie to zwykli oszuści. Najzwyczajniej w świecie żerują na nieszczęściu innych ludzi.

- Fakt. – Przyznałem jej rację. – Kiedyś na próbę zabraliśmy ze sobą do takiego cudotwórcy syna znajomej, który jest głuchy na jedno ucho i ma chore nerki. Diagnoza tego szamana była taka, jakby badał kogoś zupełnie innego. Wtedy daliśmy sobie spokój.

Z Amelką mogli nas czarować, bo jej choroba nawet dla zupełnego laika była widoczna jak na dłoni.

- No to jak wytłumaczysz nasze uzdrowienie?

Gosia spojrzała na mnie pytająco. Zrozumiałem o co jej chodzi i skinąłem głową.

- Tato, jest jeszcze coś, co wydarzyło się tamtym czasie, a o czym jeszcze ci nie powiedzieliśmy. Jesteś pierwszą osobą, której o tym mówimy.

- Co się takiego stało, dziecko?

- W tym dniu, kiedy byliśmy oglądać tą działkę trafiliśmy szóstkę w totka.

- Ile?

- Ponad piętnaście milionów.

- Jezu! Gratuluję i naprawdę się cieszę. Patrzcie, wiele razy zastanawiałem się, kto zgarnął te pieniądze, a to moje dzieci. A czemu nic nie mówiliście?

- Bałam się, że jakieś czubki będą nas zaczepiać, albo zapragną nas

napaść. Wiesz, jakie mamy czasy.

- Tak po namyśle, to macie zupełną rację. Chyba jako rodzina jednak mamy tam na górze u kogoś specjalne względy. To w takim razie Wojtek czemu kombinujesz z tym zwolnieniem, a nie idziesz w cholerę z pracy?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, żeby nie podpadło, że mamy pieniądze. Chcę z tym trochę poczekać i odejść pod pozorem, że znalazłem coś innego. Po drugie, żeby zrobić Oleksiakowi na złość. Dopóki jestem na zwolnieniu, nie może dać mojego stołka tej swojej Łodzi. Ale to już niedługo. Rozpuściłem plotkę o pracy poza miastem, którą mam podjąć, dlatego gdy odejdę z urzędu, będzie to wyglądało bardzo naturalnie.

- Wiesz tato, że miałam wątpliwą przyjemność poznania tego osobnika. Na tej pożegnalnej imprezie u pani Krysi próbował zaczepiać Wojtka. Kiedyś myślałam, że przesadza mówiąc o Oleksiaku. Teraz wiem, że nie mówił wszystkiego. Ten gość to totalny pacan.

Wracała do nas Amelka i Gosia dała znać, żebyśmy zmienili temat. Pociągnąłem łyk kawy z kubka i zamyśliłem się. Teść miał rację. To wszystko naprawdę wyglądało bardzo dziwnie. Nasunęło mi się nawet pewne wytłumaczenie ostatnich wydarzeń, ale było zbyt nieprawdopodobne aby mogło być prawdziwe.

Ten etap mojego życia był już zamknięty. Wracałem z urzędu, gdzie w sekretariacie oficjalnie złożyłem wypowiedzenie umowy o pracę. Wpadłem do moich już teraz byłych pracowników, uprzątnąłem biurko i to by było na tyle. Przed powrotem do domu miałem jeszcze do wykonania misję specjalną. Gosia zamówiła w jednej z hurtowni elektrycznych za miastem jakieś lampy do nowego domu i trzeba było je odebrać. Z centrum było tam niecałe piętnaście kilometrów. Na drodze ruch był niewielki, dlatego dojechałem na miejsce w kilkanaście minut. Kartony już na mnie czekały. Kiedy zobaczyłem ten stos, zwątpiłem czy zdołam je pomieścić w przestronnym wnętrzu Jeepa. Cudem wszystkie weszły, ale fotele też były zajęte. Zapłaciłem i ruszyłem w drogę do domu.

Do rogatek miasta było może kilkaset metrów, gdy we wstecznym

lusterku zobaczyłem zbliżające się z ogromną prędkością światło. Wskazówka na moim liczniku dochodziła do 110 km/h. Motocykl poruszał się na pewno dużo szybciej. Kiedy rozpoczął manewr wyprzedzania mojego samochodu byłem już pewien co się dalej stanie. Z przeciwka jechała ciężarówka. Do naszego wyminięcia pozostało może trzysta metrów, kiedy wyłonił się zza niej jakiś samochód osobowy. Nie potrafię określić, który z nich rozpoczął wcześniej wyprzedzanie. Może nawet oboje zrobili to jednocześnie. W każdym razie, gdy motocyklista zorientował się, że pędzi wprost na maskę tamtego pojazdu nie miał już czasu na manewr inny, niż ucieczka na swój pas ruchu. Przemknął tuż przed maską mojego samochodu. Rozpocząłem ostre hamowanie i zacząłem zjeżdżać na bok, żeby zrobić mu miejsce i samemu usunąć się z drogi tamtemu wariatowi. Motocyklista wykonał manewr zbyt gwałtownie, w rezultacie czego zjechał na pobocze, zarzuciło go na miękkim podłożu i ze sporą prędkością uderzył bokiem w drzewo. Jego piękny przed chwilą ścigacz owinął się wokół pnia, części poleciały we wszystkich kierunkach, a on sam łukiem wyleciał w górę i upadł do rowu jakieś kilkanaście metrów dalej. Całe to zdarzenie widziałem jak na zwolnionym filmie. Zastanawiające, jakie w takich momentach krążą po głowie myśli. Właśnie doszedłem do wniosku, że lecący człowiek wygląda zabawnie. Kierowca tego samochodu, który zjechał drogę motocykliście, podobnie jak ja zatrzymał się. Kiedy doszło do uderzenia w drzewo usłyszałem pisk opon. Tamten samochód ruszył, przyspieszył gwałtownie i odjechał. Uśmiechnąłem się ponuro. Takiej pamięci do numerów jak ja nie miał nikt w całym urzędzie. Wiedziałem, że jego numeru rejestracyjnego nie zapomnę i nie muszę go zapisywać.

Włączyłem światła awaryjne, zjechałem na pobocze tuż przy rozbitym motocyklu i wyskoczyłem z kabiny. Dobiegłem sprintem do mężczyzny leżącego w rowie. Nie jestem lekarzem, ale na pierwszy rzut oka widać było, że jest z nim źle. Ochronny kombinezon w kilku miejscach był podarty, a przez dziury było widać pościeraną i krwawiącą skórę.

Szczególnie rana na klatce piersiowej wyglądała dość paskudnie.

Skóra była rozdarta jakby zainkasował w to miejsce cios siekierą. Kask przypominał wgniecione jajko, szyba rozpadła się na kawałki i widać było, że motocyklista krwawi z nosa i ust. Twarz miał bladą jak papier. Prawa ręka była wygięta w nienaturalny sposób i podwinięta pod spód.

Prawa noga najprawdopodobniej była też złamana, bo kolano wygięło się w odwrotną stronę. Całym jego ciałem wstrząsały drgawki. Dotknąłem szyi szukając pulsu i chyba coś wyczułem. Popatrzyłem na twarz tego młodego mężczyzny. To był jeszcze dzieciak, który dopiero zaczynał dorosłe życie. Szkoda go, przecież wszystko dopiero przed nim, a teraz najprawdopodobniej czeka go długie leczenie, o ile nie kalectwo, albo śmierć. Słyszałem jak stojący obok mnie mężczyzna rozmawia z pogotowiem ratunkowym mówiąc, żeby się spieszyli. Opisywał obrażenia, podawał swoje dane, ale to docierało do mnie jak przez mgłę. Pierwszy raz widziałem takie zdarzenie i tak ciężko rannego człowieka. Leżący motocyklista westchnął. Może jednak nie jest z nim tak źle skoro serce mu bije i sam oddycha. Najbardziej niepokoiło mnie to wgniecenie kasku. Wyglądało na to, że uderzenie w głowę było potężne.

Karetka była na miejscu dosłownie po chwili. Wskoczył z niej lekarz i dwóch ratowników. Odgonili nas od leżącego i zajęli się badaniem. W tej chwili usłyszałem „Heavy Metal World” dobiegające z mojej kieszeni. Na wyświetlaczu pulsował napis „Gosia”.

- Co tam Słonko?

- Wszystko u ciebie w porządku?

- Tak, a czemu pytasz?

- Widziałam z okna, jak w kierunku gdzie jechałeś startowała karetka i radiowóz policyjny.

- To do wypadku. Byłem świadkiem i teraz czekam, co będzie dalej. Jest ranny motocyklista w rowie.

- A z tobą wszystko w porządku?

- Tak. Słuchaj, jak tylko podam policjantom swoje dane, to wrócę.

- A po co im twoje dane?

- Widziałem jak samochód, który zajechał drogę motocykliście uciekł z miejsca wypadku. Pamiętam numer rejestracyjny. Poczekaj chwilę -

dodałem słysząc, jak lekarz o coś pyta.

- Kto z panów był przy tym motocykliście?

- Ja i ten pan – odparłem, wskazując jednocześnie mężczyznę, który telefonował wcześniej na pogotowie. – A co się stało?

- Nic, tylko panowie tak opisaliście jego obrażenia, że omal sami nie rozbiliśmy się po drodze jadąc tutaj, a temu panu praktycznie nic nie jest.

Zdębiałem widząc, że motocyklista już bez kasku na głowie wstał na obie nogi, wyszedł najzupełniej normalnie na jezdnię i postępując się prawą, zupełnie sprawną ręką podnosił do ust zapalonego papierosa. Podeszedłem do niego. Jedynymi śladami wskazującymi, że uczestniczył w wypadku była krew na twarzy i rozdarcia kombinezonu.

Spojrzałem na jego klatkę piersiową i pomyślałem, że wariuję albo mam omamy wzrokowe, bo groźnie wyglądająca rana znikła bez śladu.

Podeszedł ten drugi mężczyzna. On też miał minę, jakby przed chwilą zobaczył co najmniej potwora z Loch Ness.

- Mówię wam, że dzieje się coś dziwnego – powiedziałem do taty Mariana i Gosi stojąc na drabinie. Zakładałem właśnie przywiezione z hurtowni lampy, ale ta z pozoru prosta czynność jakoś mi dzisiaj nie wychodziła.

- Przesadzasz – sceptycznym tonem odparła Gosia. Dość dziwne stęknienie, jakie wydał z siebie teść oznaczało, że nie bardzo wie, po której stronie się opowiedzieć.

- Nie przesadzam Gosiu. Wygrana w totka, cudowne uzdrowienie taty z wydawało się beznadziejnej choroby, to samo z Amelką i teraz ten motocyklista. To wszystko nie jest normalne. Mówię ci, facet miał na moje oko śmiertelne obrażenia. A na pewno złamaną rękę, nogę i paskudną ranę na piersiach. Kiedy wstał i wyszedł z tego rowu, to poczułem się jakbym oglądał w realu film o zombie. Oni też niby nie żyją, a chodzą.

- Jezu, Wojtek czy ty przypadkiem nie byłeś dzisiaj za długo na słońcu? Teraz opowiadasz, że ten facet to był zombie? Tato, czy ty to słyszysz? On widział zombie na motocyklu. – Najwyraźniej się ze mnie

nabijała.

Aż zszedłem z drabiny i odłożyłem narzędzia. Przeginała na całego. Niby to się panicznie bojąc weszła za teścia. Postanowiłem ją ignorować.

- Powtarzam ci jeszcze raz, że miał złamania i ranę, a kiedy wyszedł na drogę, był już zupełnie zdrowy. Ten drugi świadek też to widział. Rozmawiałem z nim, bo podejrzewałem, że fiksuję, ale on to potwierdził. A przecież rany i złamania nie goją się w kilka minut.

- To może ten cudowny uzdrowiciel był w pobliżu – Gosia zaczynała mnie już męczyć. – Śledzi cię od jakiegoś czasu i jak tylko jesteś w pobliżu jakiejś chorej osoby, to on wkracza do akcji i leczy. Takie połączenie niewidzialnego szpiega, Kaszpirowskiego i doktor Quinn. To może być nawet ktoś ze służb specjalnych.

- Wiesz co, nie chce mi się z tobą gadać – zacytowałem Bogusława Lindę.

- Bo co, brakuje ci argumentów w dyskusji?

- Nie brakuje, ale co może pojąć swym prostym rozumkiem blondynka – zareagowała natychmiast, ale zdołałem uchylić się przed nadlatującym w moją stronę starym zaschniętym pędzlem.

- Dobra dzieciaki, dajcie już spokój, bo coś sobie zrobicie i będzie tragedia – teść postanowił wkroczyć do akcji.

- No i co z tego, - Gosia nie dawała za wygraną – przecież zaraz wkroczy do akcji tajemniczy uzdrowiciel. Wyłoni się z mgły, nas wyleczy, a później zamieni się w zombie i odjedzie na motocyklu.

- Gosia, daj spokój! – Zabrzmiało to dość ostro.

Spojrzała na teścia i chyba w końcu do niej dotarło, że przesadza.

- Przepraszam – burknęła obrażonym tonem. – No dobrze, kończcie zawieszanie tych lamp, bo robi się późno. Jutro montujemy meble, a w weekend przeprowadzka to musimy być wypoczęci.

Zostały mi do zawieszenia trzy lampy, dwa kinkiety i montaż jednej stojącej. Teść twierdził, że na drabinie kręci mu się w głowie, więc nagnałem go do montażu gniazdek i włączników. Posłuchał, ale coś tam marudził. Chyba nie bardzo miał dzisiaj ochotę na jakąkolwiek pracę. Ale

gdy tylko Amelka powiedziała, że potrzebuje gniazdko w swoim nowym pokoju, bo bateria jej pomatu pada w laptopie i nie ma gdzie podłączyć zasilacza, to pognął do niej w podskokach.

Powiesiłem ostatni kinkiet i składałem drabinę, kiedy usłyszałem jak tata Marian klnie jak szewc w sąsiednim pokoju.

- Co się stało tato? – spytałem.

- W zasadzie nic poza tym, że upaprałem ścianę krwią. Chodź, bo wbiłem sobie wkrętak w dłoń.

Gosia już tam była. Może jestem złośliwy, ale pewnie bardziej martwiła się brudną ścianą, niż ręką własnego ojca. Faktycznie rozharatał ją dość mocno. Krew leciała jak z zarzynanego świniaka. Chwyciłem go za nadgarstek i zaprowadziłem do okna, żeby lepiej obejrzyć ranę.

- Dość paskudnie to wygląda – oceniłem. – Trzeba chociaż przemyć wodą utlenioną i zabandażować. Poczekaj, pójdę do samochodu po apteczkę, to cię opatrzę. A jakby dalej tak krwawiło, to pojedziemy do szpitala, żeby to zszyli.

Auto stało blisko domu, więc po chwili wróciłem z apteczką w ręce. Wszedłem do pomieszczenia, gdzie została Gosia z teściem. Oboje patrzyli na mnie jak na kosmitę. Aż odruchowo poprawiłem włosy.

- No co? – spytałem.

- Chyba mamy naszego uzdrowiciela – powiedział tata Marian.

- Ty też zaczynasz?

- Popatrz – powiedział unosząc przed moje oczy rękę, którą miałem mu właśnie opatrywać. Po ranie nie było śladu.

- Powiedzcie mi co to wszystko znaczy, bo czuję, że zaraz odwiozą mnie do czubków - powiedziałem wpatrując się w dłoń teścia. - Co się tutaj dzieje?

- Przecież to oczywiste – odparła Gosia z uśmiechem.

- To ty?

- Wojtek, czy ty nie potrafisz kojarzyć faktów? Przecież to chodzi o ciebie.

- Niemożliwe! Przecież to jakaś bzdura. Skąd niby u mnie takie

zdolności? Kosmici mnie porwali i napromieniowali? A może to byli rycerze Jedi i teraz władam mocą?

Teść przyglądał mi się w skupieniu i wyraźnie nad czymś zastanawiał. Po chwili na twarzy pojawił mu się uśmiech.

- Słuchajcie dzieciaki, wiem jak to sprawdzić. - Mówiąc to zmrużył oczy i dźgnął się w lewą dłoń wkrętakiem. Nie zrobił wielkiej rany, ale krew pokazała się natychmiast.

- Tak na logikę to ktoś z naszej trójki potrafi takie cuda. Jeżeli to ja, to za chwilę rana zniknie. Jeśli nie, to po kolei dotkniecie mojej ręki i poczekamy, czy coś się stanie.

Wpatrywaliśmy się z krwawiącą dłoń z taką uwagą, jakby od tego zależało nasze życie. Nic się nie działo.

- Dobrze, to nie ja – powiedział to z widoczną ulgą. - Gosia złap mnie za rękę i chwilę potrzymaj – zdecydował teść. Posłusznie chwyciła go za nadgarstek, znowu przez chwilę patrzyliśmy i nic.

- Teraz twoja kolej – powiedziała do mnie Gosia.

- Nie będę bawił się z wami w jakieś pseudo medyczne eksperymenty – odparłem.

Miałem dosyć ich dziwacznych pomysłów. Niby czemu to miałem być ja. Moje życie ostatnimi czasy poukładało się tak, że lepiej nie mogłem sobie wyobrazić i teraz miałbym być jakim dziwaczny uzdrowicielem?

- Wojtek, co ci zależy. Przecież musimy to wiedzieć – przekonywała mnie Gosia.

- Nie! Nie chcę! Zresztą to nie mogę być ja, bo niby dlaczego?

- Jeżeli to nie ty, to co ci zależy. Złap tatę za rękę i po krzyku.

Z pewnym ociąganiem złapałem tatę Mariana za nadgarstek lewej ręki. Uniósłem ją do światła. Ale ulga. Rana dalej była na swoim miejscu i nic się nie działo. Puściłem go z ulgą.

- No widzicie. Mówiłem, że opowiadacie bzdury – powiedziałem do Gosi patrząc jej prosto w oczy.

- Zięciu, nie bądź taki skromny – usłyszałem w tym momencie głos teścia. - Spójrz na moją rękę.

Spojrzałem i zobaczyłem najbardziej dziwne zjawisko, z którym dotychczas się zetknąłem. Brzegi rany jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczęły robić się blade.

W ciągu kilku sekund pokryła ją nowa skóra i po chwili to miejsce niczym się nie wyróżniało. Jakby teść nigdy się w to miejsce nie skaleczył. Nie było nawet blizny.

Był już prawie wieczór, kiedy w końcu mogliśmy spokojnie usiąść. Nigdy nie przypuszczałem, że w naszym małym mieszkanku może znajdować się tak ogromna ilość różnego rodzaju przedmiotów. I tak dobrze, że nie zabieraliśmy do nowego domu mebli, bo bez pomocy nie dalibyśmy sobie rady. W przyszłym tygodniu mieliśmy sfinalizować sprzedaż mieszkania. Jego zakupem zainteresowane było młode małżeństwo. Kiedy zaproponowaliśmy, że możemy zostawić im gratis nasze meble, lodówkę i pralkę, byli wprost zachwyceni.

Od dłuższego czasu podejmowaliśmy próby, aby włączyć do naszego życia Gosi matkę. Obecnie bowiem w skład rodziny wchodziła tylko nasza trójka i teść. Teściowa nie wiadomo czemu była obrażona na cały świat i przeważnie siedziała w domu. Wcześniej, kiedy Amelka była chora, znała tylko dziadka. Teściowa miała ją na rękach chyba jeden raz, a w ogóle traktowała wnuczkę jak powietrze. Być może w jej chorym mniemaniu Mała nie pasowała do stworzonego przez nią obrazu idealnego świata. Powiedziała kiedyś Gosi, że na nasze dziecko szkoda wydawać taką masę pieniędzy, a gdy dowiedziała się, jakie są koszty specjalistycznego turnusu rehabilitacyjnego w prywatnym ośrodku, obraziła się na takie, jak to nazwała marnotrawstwo. Pomimo wcześniejszych grzechów postanowiliśmy dać jej jeszcze jedną szansę. Gosia poszła do niej z Amelką, ale wytrzymała tylko godzinę ciągłego narzekania i obrażania o byle co. Skończyło się karczemną awanturą. Teść wziął sobie chyba do serca moje wcześniejsze rady, bo kilka dni później przyjechał do nas i spytał, czy propozycja, aby zamieszkał z nami jest aktualna, czy też złożyłem mu ją tylko dlatego, że był chory. Amelka czekała z wypiekami na buzi co mu odpowiemy, a kiedy oznajmiliśmy z Gosią, że niczego bardziej nie pragniemy okrzykiem radości nie było

końca. Skwitowałem, nie bez pewnej zazdrości, że najlepiej gdyby zamieszkali z jednym pokojem.

Tak więc cała nasza, obecnie czteroosobowa rodzina miała swój nowy, piękny i przytulny dom. Teść pojechał jeszcze po swoje rzeczy. Wrócił dosłownie po chwili przywożąc trochę odzieży. Mówił, że nie zabrał nic więcej, bo jego pani wpadła w histerię.

Postanowiliśmy jutro od rana spakować się do samochodu i pojechać do centrum handlowego na wielkie zakupy. Teść oczywiście się sprzeciwiał mówiąc, że nie będzie na naszym utrzymaniu i poczeka za emeryturą, ale uległ w końcu z wielkimi oporami. Nasza przyszłość zapowiadała się w różowym kolorze. Ja nie byłem już związany z żadnym pracodawcą. Amelka jeszcze w tym roku miała kształcenie indywidualne, ale od następnego semestru mieliśmy dla niej miejsce w Gimnazjum Integracyjnym, do którego egzaminy zdała śpiewająco. Trzeba ją będzie co prawda dowozić codziennie prawie dwadzieścia kilometrów, ale mogłem to robić na zmianę z tatą Marianem, który oczywiście był tym pomysłem zachwycony i przekonywał, że bierze to na siebie. Moja Gosia postanowiła zrobić to, co marzyło się jej od wielu lat i podjęła zaoczne studia pielęgniarskie. Poza tym dała się w końcu namówić na kurs prawa jazdy.

Siedzieliśmy w salonie na nowiutkiej skórzanej kanapie, przed którą ustawiliśmy ogromną dębową ławę kupioną na wyprzedaży w sklepie internetowym. Gosia jest jednak niesamowita. Przez ostatnią godzinę nie pozwalała nam wchodzić do kuchni i właśnie w tej chwili przyszła do nas niosąc tacę z kawą i świeżo upieczonym ciastem. Centralną ścianę zajmował ogromny płaski telewizor. Postanowiliśmy obejrzeć film, a oczywiście Amelka zdecydowała, że będzie nam towarzyszyć.

- Wojtek, - zaczął teść tonem, z którego wywnioskowałem, że będzie coś ode mnie chciał – miałbym do ciebie małą prośbę. Ale nie będziesz na mnie zły?

- Tak w ciemno nic nie obiecuję – postanowiłem udawać twardziela, chociaż tak naprawdę nie byłem mu w stanie niczego odmówić.

- Zgódź się. To zajmie ci tylko parę minut i w zasadzie nic nie musisz

robić. Chodzi o pomoc w jednej sprawie mojemu koledze.

Od razu zorientowałem się o co chodzi. Przez ostatnie dwa dni dużo myślałem o moich nowych zdolnościach. Nie bardzo potrafiłem się w tej sytuacji znaleźć, ale postanowiłem rozpatrzyć na chłodno wszystkie konsekwencje posiadania takiego daru. W piątkowy wieczór, kiedy teść przeprowadził eksperyment ze zranioną ręką byłem zły, chociaż nawet nie bardzo wiedziałem na co. Później pomyślałem, że jakoś będę musiał z tym pogodzić, bo w zasadzie takie umiejętności nie wpływały negatywnie na żaden aspekt mojego życia, a w sumie to nawet fajnie było umieć coś, czego nie potrafili inni. Kolejnym etapem była świadomość, że mogę w razie potrzeby komuś pomóc i to nawet w przypadku, gdy medycyna rozkładała ręce. Na koniec doszedłem do wniosku, że byłoby nie w porządku ograniczyć się tylko do pomocy moim bliskim. Dlatego zaszokowałem teścia nieświadomego ewolucji, jaką przeszedłem pytając go wprost.

- Na co jest chory?

- To chodzi o jego wnuka. Latem skoczył z pomostu do płytkiej wody i uszkodził sobie kręgosłup. Chłopak ma dwadzieścia lat i przed sobą perspektywę całego życia bez możliwości poruszenia choćby jednym palcem. Zgodzisz się Wojtuś?

- Tato, przecież nawet nie wspomniałem, że się nie zgodzę. Jasne, że tak. Jeżeli tylko dam radę, to temu chłopakowi trzeba pomóc.

- Co powiedziałeś? – teść najwyraźniej nie dowierzał własnym uszom.

- Że trzeba mu pomóc. A dlaczego się tak dziwisz?

- Kurczę, Wojtek. Ja cały dzień się czaję, jak ci to powiedzieć, żebyś się nie zdenerwował, a ty się tak po prostu zgadzasz. Gdybym wiedział, to bym spytał już rano.

Gosia patrzyła na mnie z uznaniem. Chyba też nie była pewna, co odpowiem tacie Marianowi. Postanowiłem sobie trochę z teścia zażartować.

- Mam tylko jeden warunek.

- Jaki?

- Jak pojedziemy na zakupy, to nie będziesz się z nami kłócił, że czegoś nie chcesz albo, że oddasz nam pieniądze z emerytury. Zgoda?

- No zgoda – odparł z wyraźnym ociąganiem. – To po drodze pojedziemy do tego chłopaka. Zaraz dam znać koledze, że będziemy jutro.

- Mam nadzieję, że nie robiłeś mu zbyt wielkiej nadziei? Przecież nie wiemy, czy dam radę cokolwiek zrobić.

- Tak, wiem. Nic mu nie obiecywałem, tylko tak spotkaliśmy się przypadkiem.

Spytał, co z moją wnuczką, bo słyszał, że nagle i w niewytłumaczalny sposób wyzdrowiała. Popłakał się, że z jego wnukiem jest źle i tak jakoś wyszło, że mu powiedziałem o tobie, ale nie kazałem nikomu powtarzać. W sumie to już obiecałem, że się zgodzisz. – Zrobił minę, jakby czekał na reprimendę.

- No przecież nic się nie stało tato. To by było zwykłe draństwo, móc komuś pomóc, a tego nie zrobić.

Znałem tych ludzi z widzenia. Kobieta pod pięćdziesiątkę, drobna blondynka, chyba samotna i jej syn, którego widywałem niekiedy na ulicy. Pełen energii młody mężczyzna. Tyle tylko, że pełen energii kiedyś. Dzisiaj aż serce się krajało na widok Krystiana. Leżał biedak na boku w łóżku szpitalnym. Nie mógł poruszać kończynami, mówił szeptem, a oczy miał tak smutne, jakby właśnie z pełną świadomością umierał.

- Panie Wojtku, da pan radę coś pomóc Krystianowi? – Nadzieja w głosie jego matki była tak ogromna, że jeśli nic z tego nie wyjdzie, to chyba nigdy nie spojrzę jej w oczy.

- Pani ma na imię Mariola, tak?

- Tak panie Wojtku.

- Pani Mariolko, powiem szczerze. Nie wiem. Ale mam nadzieję, że tak. Nie wiem ile ta gaduła zdążyła już opowiedzieć – spojrzałem na tatę Mariana, który zrobił minę niewiniątka – ale najprawdopodobniej zdołałem w jakiś sposób pomóc właśnie jemu, swojej córce i pewnemu mężczyźnie, który odniósł poważne obrażenia w wypadku drogowym. Ta sytuacja jest dla mnie całkiem nowa, dlatego mówię, że nie wiem.

- Tak, rozumiem. Pana teść wszystko to mówił mojemu ojcu, ale niech pan chociaż spróbuje. – Spojrzała z takim bólem na Krystiana, że nawet mi zaczęły kręcić się w oczach łzy. Postanowiłem jak najszybciej stąd wyjść, żeby się nie rozkleić. Powiem parę słów teściowi trochę później. Cholerna gaduła.

Podszedłem do leżącego w łóżku Krystiana i chwyciłem go za obie dłonie.

Postanowiłem też, że dotknę chorego miejsca. Nie bardzo wiedząc, gdzie ma uszkodzony rdzeń kręgowy, po prostu włożyłem mu dłoń pod piżamę i przesunąłem nią wzdłuż całego kręgosłupa. Chłopak patrzył na mnie zamglonymi oczami, w których widziałem niemą prośbę o pomoc.

- To wszystko – powiedziałem odchodząc od łóżka.

- I co dalej? - spytała pani Mariola, która wpatrywała się we mnie z taką nadzieją, że aż mi się zrobiło głupio.

- Jeżeli pomogłem, to niedługo powinno zacząć się coś dziać. Nie wiem, kiedy wyzdrowiał teść. Mojej córce zajęło to kilka dni, a motocyklista wstał po kilku minutach.

Nie wiem, pani Mariolko. Ale mam prośbę. Proszę dać mi znać, czy coś się zmieniło.

- Oby tak, panie Wojtku. Lekarze nie dają Krystianowi żadnych szans na powrót do zdrowia. Jest pan naszą ostatnią nadzieją.

Uścisnąłem jej rękę, a tata Marian ucałował w czoło i wyszliśmy. Ja byłem szczęśliwcem, który miał już zdrową córkę, ale nie zdążyłem jeszcze zapomnieć jak to jest, kiedy zaczynasz sobie zdawać sprawę, że twoje dziecko nigdy nie będzie chodzić, nigdy się nie przytuli, nie dotknie, nie będzie się z tobą bawić, ani nie robi żadnej z tych rzeczy, które u zdrowego dzieciaka są zupełnie normalne i rodzic nawet nie zwraca na nie uwagi.

Mnie obecnie cieszyło nawet to, gdy dla zabawy Mała podłożyła mi nogę, albo oblała wodą. W sumie to nam było chyba łatwiej niż pani Marioli. My przed chorobą nie widzieliśmy Amelki normalnie funkcjonującej, natomiast pani Mariola miała zdrowego, chodzącego

syna, którego rozwój przebiegał zupełnie normalnie, a niepełnosprawność spadła na nich w jednym momencie, jak grom z jasnego nieba. Jeżeli te moje czary coś pomogą, będę bardzo szczęśliwy.

Jechaliśmy do galerii handlowej. Postanowiłem wziąć teścia na przetrzymanie i nie komentowałem jego gadulstwa. Zgodnie z moimi przewidywaniami po kilku minutach pękł i zaczął się tłumaczyć, że w sumie to nie chciał nic powiedzieć, ale ten jego znajomy był taki przejęty i że byli już u jakiegoś bioenergoterapeuty, narobili sobie nadziei, i nic z tego nie wyszło, a chciał, żeby mnie do tego Krystiana dopuścili, bo go szkoda. Słuchałem z kamienną miną tego monologu, a w duchu pękałem ze śmiechu. Z tylnego fotela, gdzie siedziała Gosia i Amelka dochodziły do mnie odgłosy, jakby ktoś się dusił, ale chciał to zrobić bardzo cicho. W końcu oboje wybuchliśmy głośnym śmiechem, a teść zaczął udawać obrażonego. Udobruchał się dopiero, gdy powiedziałem, że naprawdę się na niego nie gniewam.

Zakupy zajęły nam większość dnia. Teść potrzebował w zasadzie wszystkiego.

Począwszy od bielizny, a skończywszy na butach i kurtce na zimę. Fajną rzeczą było to, że jeśli coś się tacie podobało i pasowało, to kupowaliśmy tą rzecz nie zważając na koszty. Ze znajdującego się w tym kompleksie marketu wziąłem w końcu kosz zakupowy na kółkach, bo ciężko było już te wszystkie paczki i kartony nosić. Moja kochana małżonka nie była by sobą, gdyby przy okazji nie kupiła dla siebie i Amelki jakichś niezwykle potrzebnych jej butów, sukienek, spódniczek, spodni i innych fatałaszków. W pewnym momencie Gosia trąciła mnie w bok i wskazała przed siebie. Nasz tata Marian stał jak słup w miną wyrażającą najwyższe uwielbienie i wpatrywał się w metaliczno-szare, błyszczące cudo stojące na podwyższeniu przy jednym z wejść. Był to najnowszy Passat Alltrack na pięknych osiemnastocalowych kołach. Pomyślałem, że jeszcze chwila, a jego żuchwa uderzy o podłogę. Widząc, że mu się przyglądam poszedł, jak gdyby nigdy nic w kierunku wyjścia ze spuszczoną głową. Jeździł cały czas swoim Cinquecento, ale parę razy prowadził mojego Grand Cherokee i widziałem, że na swoje auto

spoglądał coraz bardziej niechętnie. Nie dziwię się, bo do lepszego samochodu łatwo jest przywyknąć, ale przesiadka z powrotem do gorszego nie jest łatwa. Muszę pogadać z Gosią. Jeżeli tata ma wozić Amelkę do szkoły, to musiałby mieć jakiś normalny samochód.

ROZDZIAŁ IV

- Szach i mat! – Amelka aż poderwała się z krzesła. Niemożliwe! Ta mała istotka ograła mnie w szachy. I to dwa razy pod rząd.

- Oszukiwałaś! – powiedziałem, nie mając lepszych argumentów.

- Wcale nie. Nie umiesz przegrywać! – Mała była wyraźnie rozbawiona. Wtórowała jej Gosia.

To niesprawiedliwe. Nauczyłem ją grać kilka tygodni temu i już jest lepsza ode mnie. A może faktycznie oszukuje?

Tata robił coś na zewnątrz domu. Miałem się właśnie podnieść i wyjść zobaczyć, czy przypadkiem nie potrzebuje jakiejś pomocy, kiedy usłyszałem dzwonek. Najwyraźniej ktoś był przy furtce. Usłyszałem pospieszne tuptanie Amelki i po chwili jej głos.

- Tato, ktoś do ciebie.

Poszedłem w kierunku drzwi i zdębiałem.

- Dzień dobry panie Wojtku. – Za drzwiami zobaczyłem wyszczerzone w uśmiechu zęby, wyżej roześmiane oczy, a jeszcze wyżej blond czuprynę. Wszystko to składało się na twarz pani Marioli. Za jej plecami stał ktoś jeszcze.

- Krystian! To naprawdę ty? – nie dowierzałem własnym oczom.

- Tak, to ja – odparł młodzieniec patrząc na mnie z uwielbieniem.

- To on – potwierdziła pani Mariolka rzucając mi się na szyję i całując po policzkach. Zza moich pleców dobiegło znaczące chrząknięcie.

- Przepraszam bardzo, – pani Mariolka puściła mnie trochę zmieszana i rzuciła się na Gosię – ale jestem taka szczęśliwa, że nie wiem jak mam państwu dziękować.

- Czy to ten chłopak, u którego mąż był wczoraj z tatą?

- Tak, ten sam.

- Wejdźcie do środka, nie będziemy rozmawiać przed drzwiami.

Siedliśmy przy stole w jadalni. Gosia poszła zaparzyć kawę, a ja z

teściem, który wrócił w międzyczasie do domu przyglądaliśmy się naszym gościom.

- Panie Wojtku, - pani Mariola wpatrywała się we mnie jak w obraz - jest pan cudotwórcą.

- Co też pani mówi. Zrobiłem co mogłem i cieszę się, że coś z tego wyszło.

- Niech pan nie będzie taki skromny. Nikt nie dawał Krystianowi najmniejszych szans na życie inne niż tylko w pozycji leżącej. Na temat uszkodzenia rdzenia kręgowego przeczytałam wszystko, co można znaleźć w internecie i wiem, że sprawa jest na sto procent beznadziejna. Gdzieś w znalazłam tylko wzmiankę, że może kiedyś będzie można leczyć takie urazy przy pomocy komórek macierzystych, ale to na razie odległa przyszłość.

Tymczasem pan tylko dotknął mojego syna i dzień później już chodzi, jakby nigdy nie miał tego nieszczęsnego wypadku. Jest pan cudotwórcą i basta.

- Jeżeli tak, to nic na to nie poradzę - postanowiłem nie brać tego na poważnie, bo wpatrzone we mnie z uwielbieniem oczy pani Marioli trochę mnie deprimowały, a poza tym Gosia zaczynała spoglądać na nią z niechęcią. Nie czułem się w tej sytuacji zbyt komfortowo. Chyba wolałbym dowiedzieć się o uzdrowieniu Krystiana od teścia. - A proszę mi powiedzieć, jak to było z Krystianem? Byliśmy u was około dziesiątej.

- Chyba pół godziny po waszym wyjściu Krystian zaczął się skarżyć na mrowienie rąk i nóg. Cały czas byłem przy nim. Kilka minut później poruszył palcami, a dalej to już poszło jak z płotka. Około godziny piętnastej wstał, zrobił chwiejnie kilka kroków, a wieczorem już prawie normalnie chodził. A spociał się przy tym, mówię wam, jakby przebiegł maraton. Dzisiaj rano wstał z łóżka jak gdyby nigdy nic. Całą noc przy nim przesiedziałam. Krystian wiercił się przez sen i przewracał z boku na bok, a ja płakałam ze szczęścia. Wszystko dzięki panu. - Znowu ten bezgranicznie wdzięczny wzrok, który tak mnie denerwował.

- Pani Mariolko, - odparłem - sama pani widziała, że niczego takiego nie robiłem.

Ktoś tam na górze – wskazałem palcem sufit – postanowił dać mi te umiejętności nie po to, żebym je miał dla siebie, ale po to, abym pomagał innym. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Czyli zrobiłem to, co powinienem. I proszę niech pani mi tak nie dziękuje i nie patrzy w ten sposób, bo bardzo mi wtedy głupio i nie wiem jak mam się zachować.

- Ale ja jestem panu taka wdzięczna – nie dawała za wygraną.

- To w ramach tej wdzięczności niech mi pani w końcu przestanie dziękować.

Pani Mariola z Krystianem siedzieli u nas może pół godziny, wypili kawę i poszli.

Wbrew temu co obiecała, nie mogła się powstrzymać przed patrzeniem na mnie jak w obraz. Kiedy sobie poszli odetchnąłem z ulgą.

- No, panie Skłodowski, – Gosia popatrzyła na mnie z dumą – jest pan uzdrowicielem. I to nie byle jakim. No, no, kto by pomyślał. Miałam męża urzędnika z urzędu na zadupiu, a teraz mam medyka światowej klasy. - To już zabrzmiało jak złośliwość, ale zrobiła minę niewiniątka.

Mruknąłem tylko coś w odpowiedzi, bo niejasno zacząłem sobie zdawać sprawę, że niebawem moje życie może się zmienić i to diametralnie. Nie chciałem już żadnych zmian, ale zdążyłem się przekonać, że wielu rzeczy człowiek w życiu nie chce, a one i tak nieuchronnie nadchodzą.

Wieczorem usiadłem w fotelu i zacząłem przeglądać książkę. Starąłem się przyswoić choćby podstawowe terminy i zwroty. Gosia w końcu nie wytrzymała, cichaczem podejrzwała okładkę i uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Czytałem właśnie pożyczoną z jej półki „Anatomię człowieka” i nie mogłem się nadziwić, że jeden człowiek ma w sobie tyle różnego rodzaju mięśni, żył, narządów i innych zagadkowych wnętrzności.

- Wojtek! Możesz przyjść na chwilkę? - zawołała Gosia. Kilka dni temu kupiliśmy zmywarkę do naczyń i pomyślałem, że ma z nią jakiś problem.

- Już idę! - odparłem i pomaszerowałem do kuchni. Nie zdążyłem się

jeszcze przyzwyczać do nowego domu i wszędzie było mi bardzo daleko.

- Co się stało?

- Spójrz, jacyś ludzie podjechali samochodem i kręcą się przed naszą furtką.

Sprawdzisz, o co im chodzi?

Podszedłem do okna. Faktycznie na drodze dojazdowej przy naszym ogrodzeniu stało jakieś osobowe auto. Z tego co widziałem, w środku ktoś siedział, a przy furtce stała kobieta z mężczyzną. Zachowywali się tak, jakby czegoś szukali, a nie mogli się zdecydować, żeby zadzwonić i spytać. Otworzyłem drzwi i wyszedłem na próg.

- Państwo czegoś szukają? - spytałem.

- Dzień dobry, - odezwała się kobieta – przyjechaliśmy tutaj, bo szukamy takiego pana Wojtka, który jest bioenergoterapeutą. Podobno mieszka gdzieś w tej okolicy.

- A kto państwa tutaj skierował, jeżeli wolno spytać? - trochę się w duchu zdenerwowałem na tego bioenergoterapeutę, bo nie uważam tej profesji za poważną i w żadnej mierze skuteczną, ale nie dałem niczego po sobie poznać.

- Taka znajoma. To co, wie pan, gdzie go znajdziemy?

- Czy ta znajoma, to może pani Mariola?

- Dokładnie tak. A skąd pan ..., czy to pana szukamy? – wyraźnie się ucieszyła.

- Wie pani, to chodzi o mnie, ale ja nie jestem żadnym bioenergoterapeutą.

- No, ale pani Mariola mówiła, że pan pomógł Krystianowi. Ja wiem jak ten chłopak wyglądał po wypadku i widziałam go dosłownie przed chwilą. To jest teraz zupełnie zdrowy człowiek.

- Wiem, bo sam go też widziałem, - postanowiłem podejść do furtki – ale jak udało mi się pomóc naprawdę nie wiem. A proszę mi powiedzieć, o co chodzi?

- Mamy w samochodzie naszą córkę Marysię i moją mamę, chodzi o to, że mama jest po wylewie. Miała go pół roku temu i do dzisiaj ledwie chodzi, słabo mówi, i ma niedowład prawej strony ciała. Córką rok temu

została na przejściu potrącona przez pijanego kierowcę. Od tamtego czasu praktycznie wegetuje. Nie ma z nią żadnego kontaktu, prawdopodobnie nie widzi i nie słyszy, a karmimy ją przez sondę.

- Mieszkacie państwo w naszym mieście? - spytałem, bo wydawało mi się nieprawdopodobne, abym nie znał jakiegoś niepełnosprawnego dziecka mieszkającego w okolicy. Jakoś tak jest na tym świecie, że wszyscy rodzice z podobnymi problemami wiedzą o swoim istnieniu.

- Nie. Przyjechaliśmy spod Torunia. Nazywam się Katarzyna Glińska, to mój mąż Marek – towarzyszący jej mężczyzna skinął głową. - Znamy się od dawna z Mariolą i kiedy wczoraj zadzwoniła z informacją, że Krystian jest zupełnie zdrowy i opowiedziała nam o panu, to postanowiliśmy przyjechać jak najszybciej.

- Ale zdaje sobie pani sprawę, że niczego nie mogę zagwarantować? - spytałem tak dla formalności.

- Tak, ale niech pan spróbuje. Proszę.

Oboje patrzyli błagalnie. Nie, żebym nie chciał pomóc, ale cały czas obawiałem się, że spróbuję i nic z tego nie będzie. Nie znałem pochodzenia, ani możliwości tego daru, który kilka razy już się objawił, choć trzeba przyznać nie zawiódł do tej pory. W sumie, co mi szkodzi. Uprzedziłem, czyli jak się nie uda, to nie mogą mieć do mnie pretensji.

Pomyślałem wtedy chyba po raz pierwszy, że wolałbym wiedzieć dokładnie, z czym mam do czynienia. Niemożliwe przecież, żeby nagle i tak zupełnie bez powodu ujawniły się u mnie takie zdolności. Co do tego, że nie miałem ich wcześniej byłem pewny w stu procentach. Pamiętam dokładnie, że gdy Gosię w ciąży bolały plecy i trochę ją wieczorem wymasowałem, to następnego dnia czuła się dokładnie tak samo, a dodatkowo narobiłem jej siniaków. A teraz co? Nagle dostałem natchnienia? Pofałdowała mi się część mózgu odpowiedzialna za zdolności medyczne, która do tej pory była gładka jak stół? Cudów nie ma. Doskonale zdawałem sobie z tego sprawę i niewiedza mnie wkurzała.

- No dobrze. Jasne, że spróbuję. Wejdziecie do mnie?

- A właściwie to co pan będzie robił? - spytała.

- Jeśli spodziewa się pani jakichś tajemnych zabiegów, palenia kadzideł, bicia w dzwony, czy czarodziejskich gestów ze śpiewami, to was rozczaruję. Wszystkie osoby, z którymi do tej pory miałem styczność po prostu dotykałem i to było wszystko. Teraz zrobię dokładnie to samo i zobaczymy. Zgoda?

- Niech pan zrobi to co trzeba panie Wojtku.

Podszedłem do ich samochodu, zaparkowanego za płotem. Gliński otworzył tylne drzwi auta. Przykucnąłem przy nich. Nikomu nigdy się do tego nie przyznałem, ale prawdą jest, że bliskość chorych osób źle mnie nastraja. Nawet Amelka nie spowodowała zmiany tego stanu rzeczy. Zawsze w takiej sytuacji nachodzą mnie myśli o niesprawiedliwości panującej na świecie. A już najbardziej działa na mnie choroba dzieci. Kiedy więc ujrzałem na tylnym fotelu śliczną jak aniołek nastolatkę, która z obojętną miną i niewidzącymi oczami wpatrywała się w jakiś sobie tylko znany punkt, aż zabolowało mnie serce. Była to ofiara idioty, który nie mógł wbić sobie do pustego łba, że po alkoholu nie siada się za kierownicą. Przez takiego samego kretyna zginęli moi rodzice. Obok dziewczynki przypięta pasami siedziała kobieta w wieku może pięćdziesięciu lat. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest spokrewniona z Glińską. Miały identyczne rysy, tyle tylko, że ta kobieta miała na twarzy wyraźnie odcisnięte piętno choroby. Patrzyła na mnie z nadzieją. Uśmiechnąłem się do niej i skinąłem głową.

- Proszę podać mi rękę – poprosiłem.

Kobieta powiedziała coś niezrozumiale i podała prawą rękę. Dotknąłem ją i zauważyłem, że ścisnęła mnie, jakby chwytając się koła ratunkowego. Wtedy właśnie poczułem to pierwszy raz. Wrażenie było niezbyt silne, ale wyraźne i od razu zwróciłem na nie uwagę. Było ono jak wzrost temperatury w okolicy serca, jak wzbieranie w tym miejscu ładunku energii, która przesunęła się następnie wzdłuż ręki, doszła do dłoni, a następnie krótkim impulsem przeskoczyła na tą kobietę. Chyba też to poczuła, bo w tym właśnie momencie westchnęła i puściła moją dłoń. Chwyciłem za rękę dziewczynkę.

Znowu to samo. Porównałem to nowe uczucie do ładowania się defibrylatora, który następnie w ułamku sekundy uwalniał zmagazynowaną energię.

- To wszystko – powiedziałem do Glińskiej podnosząc się. – Absolutnie nie potrafię pani powiedzieć jak długo trzeba będzie czekać na jakieś efekty. Proponuję, żebyście wrócili państwo do domu i tam spokojnie poczekali. Mam tylko prośbę, żebyście zatelefonowali do mnie, gdy zauważycie jakieś zmiany w stanie zdrowia córki i mamy. To mi pozwoli opracować jakieś schematy moich możliwości. – Podałem jej numer telefonu, który wstukała do swojej komórki.

Zatelefonowała następnego dnia rano. Początkowo jej nie poznałem, tak zanosila się płaczem. Nie rozumiałem też, o co chodzi tej buczącej do telefonu kobiecie. Dopiero po chwili z pomiędzy szlochania wychyciłem jej nazwisko i przestraszyłem się, że coś poszło nie tak. Okazało się jednak, że Glińska okazywała tylko swoje wielkie wzruszenie, bo córka i mama obudziły się dzisiaj rano zupełnie zdrowe. Mają co prawda ogromne luki w pamięci, ale wygląda na to, że będzie z nimi wszystko w porządku. Marysia odzyskała wzrok i słuch, a w chwili gdy rozmawialiśmy przez telefon, właśnie po raz pierwszy od ponad roku jadła samodzielnie posiłek. Pani Katarzyna dziękowała, pociągała nosem, opowiadała i płakała na zmianę. Byłem zadowolony, że zdała mi relację przez telefon, a nie wpadła na pomysł, żeby przyjechać. Czułbym się bardzo zażenowany, bo chyba przebiłaby panią Mariolę.

Liczba osób, które zaczęły do mnie przyjeżdżać rosła lawinowo. Zastanawiałem się, kto i gdzie zamieścił mój numer telefonu, bo ostatnimi czasy wcale nie milknął.

Wszystkie rozmowy dotyczyły jednego: czy to ja jestem tym, który zajmuje się leczeniem, kiedy mam jakiś wolny termin i ile to kosztuje. Zupełnym przypadkiem tą zagadkę rozwiązała Amelka. Ta pozeraczka zasobów internetu odnalazła na facebooku prężnie działający profil, w którym zawarto wszystkie dane umożliwiające kontakt ze mną i mnóstwo wpisów dokumentujących moje dotychczasowe osiągnięcia. Liczba tak zwanych „like'ów” zbliżała się do dwóch tysięcy. Oczami

wyobraźni zacząłem widzieć niezliczone tłumy przed domem i zaczynałem mieć obawy, co będzie jak ta wizja się spełni.

Do świąt Bożego Narodzenia pozostały dwa tygodnie i przygotowania szły całą parą. Na dworze pojawiła się ogromna choinka, a dom chociaż zdawało się to niemożliwe, lśnił jeszcze większą czystością. Po raz pierwszy od wielu lat nie dałem rady włączyć się w przedświąteczne obowiązki. Całe szczęście, że był na miejscu niezawodny jak zwykle tata Marian, który kursował moim samochodem zwożąc do domu całe sterty rozmaitych artykułów i wyręczał mnie w różnych pracach. Od dłuższego czasu moim domem stał się garaż, obecnie zmieniony nie do poznania. Zorganizowałem w nim tymczasowy gabinet, bo przyjmowanie tłumów ludzi w domu powodowało straszny chaos. Postanowiłem kilka dni temu, że będę przyjmował od godziny ósmej do późnego popołudnia, bo byłem już tak zmęczony, że po powrocie do domu padałem na łóżko i spałem jak kamień. Ostatniej nocy obudziłem się około trzeciej, bo strasznie chciało mi się pić. Stojąc ze szklanką wody przy oknie przeżyłem szok, bo okazało się, że właśnie podjechały pierwsze samochody z pacjentami. Rano, gdy szedłem do garażu było ich, o ile dobrze policzyłem ponad pięćdziesiąt.

Dochodziło właśnie południe. Postanowiłem zrobić przerwę na kawę, bo czułem już mętlik w głowie. Nie wiem ile osób od rana przyjąłem, ale na pewno było ich ponad trzydzieści. Z wejściem każdej kolejnej osoby powtarzał się identyczny scenariusz: przywitanie, przedstawienie pacjenta, opowiadanie o chorobie, dotknięcie chorego, wyładowanie mojego wewnętrznego defibrylatora i koniec. Najwięcej czasu zajmowało tłumaczenie kolejnym osobom, że nie biorę żadnych pieniędzy za leczenie. Po przyjęciu pierwszych chorych naradziłem się z Gosią i teściem. Byliśmy zdania, że branie pieniędzy byłoby nie w porządku. Mój wkład w leczenie poza wolnym czasem praktycznie był zerowy. Umiejętności uzdrawiania wzięły się nie wiadomo skąd, pieniędzy mieliśmy w brud, a przyjeżdżające osoby w większości były biedne jak przysłowiowa mysz kościelna.

Poza tym pobieranie opłat wiązałoby się pewnie z rejestracją jakiejś

działalności gospodarczej, wydawaniem faktur, czy też paragonów oraz prowadzeniem dokumentacji, na co absolutnie nikt z nas nie miał najmniejszej ochoty. Poza tym każdej osobie, która przeszła przez mój garażo-gabinet mówiłem, że pod żadnym pozorem nie wolno zaprzestać leczenia lekarskiego. Według mnie, co tłumaczyłem z uporem maniaka, leczenie można uznać za skuteczne dopiero po potwierdzeniu tego faktu wynikami badań i opinią lekarza.

Amelka błysnęła geniuszem i wpadła na genialny pomysł, który raz na zawsze uwolnił mnie od kłopotliwego odmawiania jakiegokolwiek gratyfikacji za przyjmowanie kolejnych osób. Opracowała i wydrukowała kartki wręczane przeze mnie każdemu pacjentowi. Podała na nich nazwę i numer konta znanej fundacji prowadzącej między innymi zbiórki pieniędzy dla niepełnosprawnych dzieciaków, i informację o możliwości dokonania dobrowolnej wpłaty w zamian za wizytę. Wydaje mi się, że sztukę rozwiązywania z pozoru niemożliwych do rozwiązania kwestii Mała odziedziczyła po Gosi.

- Dzień dobry, - powiedziałem wchodząc do domu – to ja, znachor Antoni Kosiba.

- Drodzy państwo, - Amelka wykonując teatralne gesty zacytowała kwestię z oglądanego wczoraj wieczorem filmu „Znachor” - to przecież profesor Rafał Wilczur.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Byłem trochę zły, że całymi dniami nie ma mnie w domu. Obserwowanie Małej przy codziennych czynnościach dawało mi tyle radości, a szczególnie lubiłem się z nią kłócić. Miała język cięty zupełnie jak jej mama, a rozwijała się z każdym dniem. Strach pomyśleć jaka będzie pyskata za kilka lat. No i obawiałem się bardzo o los jakiegoś biedaka, który kiedyś postanowi założyć z nią rodzinę. Czekają go świetlana przyszłość. A jeżeli jeszcze zdecydują się zamieszkać z nami, to do pełnego szczęścia dojdą mu marudni i stojący murem za córką teściowie oraz jeszcze bardziej zakręcony na jej punkcie dziadek.

- Dostanę trochę kawy? - spytałem. - Bo padam z nóg, a przed bramą jeszcze tłumy.

- Jasne, - odparła Gosia – już robię. Nie uważasz Wojtek, - zmieniła temat – że ta ilość ludzi jest nie do ogarnięcia. Przyjmujesz coraz więcej, a kolejka i tak robi się coraz dłuższa. Jeszcze trochę, a sam będziesz potrzebował leczenia. Wydaje mi się, że trochę zeszczuplałeś.

- To co mam zrobić? Nie mogę przecież ich odesłać z kwitkiem. Większość to tak zwane przypadki beznadziejne. Słucham tych ludzi i każdy z nich to odrębna wielka tragedia. W większości są to chorzy na nowotwory i neurologicznie. Sporo jest też pacjentów kardiologicznych. Przyjeżdża dużo rodziców z dziećmi. Pomyśl, że pojechalibyśmy z Amelką do kogoś, kto na pewno mógłby jej pomóc, a on odmówiłby przyjęcia. Postaw się w sytuacji takich rodziców, albo w sytuacji osoby, której nikt inny nie potrafi dać nawet nadziei na wyleczenie. Zdaję sobie sprawę, że nie dam rady, ale co innego mogę zrobić, jak tylko przyjmować kolejnych chorych.

- Masz rację. Tym bardziej, że Amelka na bieżąco śledzi twój profil na facebooku i wygląda na to, że masz stuprocentową uleczalność pacjentów. A z drugiej strony, to pewnie stu takich jak ty nie dałoby rady wyleczyć wszystkich, którzy tego potrzebują. Myślę o tym od kilku dni i chyba mam pewien pomysł. Nawet gdybyś brał duże kwoty, to i tak niczego nie zmieni. Sam wiesz, że wyleczenie z ciężkiej choroby jest warte każdych pieniędzy i na pewno nie zmniejszy w ten sposób liczby pacjentów, a tylko przestaniemy być w zgodzie z własnym sumieniem. Siądę dzisiaj z Amelką i spróbujemy opracować jakiś harmonogram przyjęć, żeby choć trochę to uregulować, a ciebie odciążyć. Ludzie ustawiają się w kolejce już na noc. W prognozie pogody zapowiadali, że mają przyjść silne mrozy. Tylko patrzeć jak ktoś zamarźnie w samochodzie, albo zatruje się spalinami z pracującego silnika.

- Masz rację. Wymyślcie coś. Od paru dni marzę o odrobinie wolnego czasu.

Chciałbym chociaż przez jeden dzień solidnie się nudzić. Jestem nawet skłonny z przyjemnością jechać z wami na zakupy i nie marudzić przy zwiedzaniu kolejnych sklepów z ciuchami.

- No to faktycznie potrzebujesz trochę odpoczynku. Sklepy odzieżowe i ty. To już wygląda na akt wielkiej desperacji – uchyliła się przed lecącą w jej kierunku kuchenną ścierką.

- Zgadnijcie, kto do nas idzie – powiedziała Amelka stojąc przy oknie.

- Kto? - spytałem.

- Kobieta zwana babcią – odparła z pewnym przekąsem. Mała nawet nie próbowała maskować swojej niechęci do mojej szanownej teściowej.

- Ciekawe o co chodzi? Pewnie czegoś potrzebuje, bo w jej nawrócenie jakoś nie wierzę – powiedziała Gosia. - Amelka tylko proszę zachowuj się poprawnie. Jaka by nie była, to w końcu twoja babcia i nic tego nie zmieni

- Postaram się - odparła nasza pociecha bez przekonania. - Ale nie mam zamiaru rzucać się jej na szyję.

- Nie musisz. Ale nie bądź złośliwa. Pokaż, że jesteś dobrze wychowana. Pamiętaj, że twoje zachowanie poniekąd świadczy o mnie i ojcu.

- A jesteś pewna mamo, że babcia ciebie nie adoptowała?

Gosia spiorunowała ją spojrzeniem i poszła otworzyć drzwi zanim jeszcze teściowa zadzwoniła. Może jestem do niej uprzedzony, ale już tylko jej widok powodował u mnie agresję. Nawet nie była w stanie powstrzymać się od zawistnych spojrzeń, kiedy oglądała nasz dom. Najwyraźniej wszystkiego nam zazdrościła, co zresztą nie było żadną nowością.

- Ładnie się urządziliście – rzuciła z przekąsem, gdy już usiadła w salonie. - Teraz to pewnie dobrze się wam powodzi, od kiedy Wojtek zajął się leczeniem i czekają do was takie tłumy. A dużo bierzesz za wizytę? - spytała niby od niechcienia.

Najwyraźniej była już gotowa do szybkiego obliczenia moich dziennych zarobków.

Dałbym głowę, że zanim weszła, dokładnie przeliczyła stojące przy domu samochody.

- Dużo – odparłem. Aż wstrzymała oddech czekając, jaka padnie

kwota.

- No ile? - nie dawała za wygraną. - Chyba to nie jest jakaś tajemnica.

- Nie jest. Nie biorę od nikogo pieniędzy.

- Co?! Jak to nie bierzesz?! Żartujesz?

- Nie żartuję. Nie biorę od nikogo ani grosza, bo uważamy, że to by było nie w porządku.

- Wiesz ile mógłbyś zarobić przyjmując tylu ludzi? Nawet gdybyś brał tylko po sto złotych, to ...

- Wiem! - przerwałem jej obliczenia. - Ale nie biorę i nie będę brał pieniędzy. To już postanowione i koniec!

Patrzyła na mnie i Gosię z niedowierzaniem, jakby spodziewając się, że robimy sobie z niej żarty. Widząc, że jesteśmy śmiertelnie poważni zrobiła minę, jakby właśnie dowiedziała się, że spaliliśmy górę forsy. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, co o nas w tym momencie pomyślała.

- A ja przyszedłam z pewną propozycją... .

- Niech zgadnę – weszła jej w słowo Gosia. - Kupimy kije bejsbolowe, będziemy tłuc tych ludzi i zabierać im pieniądze. Na pewno jakieś mają przy sobie.

- Twoja złośliwość córeczko jest nie na miejscu. – Zależało jej bardzo na załatwieniu tej sprawy, z którą do nas przyszła, bo w przeciwnym wypadku już byśmy mieli awanturę. – Pomyślałam o tych wszystkich biedakach, którzy tutaj czekają w kolejkach dzień i noc nie mając nic ciepłego do jedzenia i picia, a przecież na pewno nikt nie chce opuszczać swojej kolejki, żeby jechać do jakiejś restauracji.

W tym momencie byłem już prawie pewny, co ją do nas sprowadza. Na twarzy Gosi też pojawiło się zrozumienie połączone z odrazą. Oboje doszliśmy do wniosku, że teściowa chce zrobić interes na nieszczęściu moich pacjentów. Przeczucie nas nie myliło.

- Pomyślałam sobie, - kontynuowała nieświadoma naszych myśli – że mogłabym na przykład w waszym garażu prowadzić taki bar z jedzeniem i napojami dla tych ludzi.

Byłoby to przede wszystkim z korzyścią dla nich, a przy okazji mogłabym się czymś zająć i może trochę zarobić. Postanowiłam wziąć sobie do serca to, co mówił mi ostatnio Marian, że siedzę tylko w domu.

Znając ją ustaliłaby takie ceny w tym barze, że w cenie drobnego posiłku można by przez cały dzień stołować się w dobrej restauracji, a oczekujący w kolejce pacjenci jak znam życie czuliby się zobowiązani do zakupów właśnie u niej. Cholerna pijawka. Już miałem zamiar pokazać jej drzwi, kiedy niespodziewanie odezwała się Gosia.

- Wiesz co mam, - powiedziała niezwykle spokojnym głosem – nie widzę najmniejszego problemu. Możesz prowadzić ten swój bar koło naszego domu. Ale mamy dwa warunki.

- Jakie? – spytała, a radość na jej twarzy w ułamku sekundy zamieniła się w podejrzliwość.

- Po pierwsze musisz znaleźć jakieś pomieszczenie, bo widzisz, akurat w garażu Wojtek na swój gabinet. Po drugie ceny w tym twoim barze zostaną skalkulowane przeze mnie i będziesz się ich sztywno trzymała. – W tym momencie pomyślałem, że chyba jest prawdą, iż długoletnie małżeństwa nadają na tych samych falach.

- Jaja sobie ze mnie robisz?! – z teściowej wychodziła maskowana do tej chwili żmija. Jej prawdziwe oblicze było obrzydliwe.

- Nie rozumiem?

- To ja chcę zarobić, a ty, moja córka mi to utrudniasz, chociaż masz możliwość pomóc matce?!

- Nie wiem, czy źle słyszałaś, ale zgodziłam się na twój pomysł?

- Na takich warunkach to ja ci dziękuję!

- Przecież sama mówiłaś, że głównym celem tego pomysłu jest dbałość o dobro pacjentów, a nie chęć nieprzyzwoicie wysokiego zarobku.

- Po tylu latach nadal nie masz szacunku dla własnej matki – syknęła. – Moja noga nigdy więcej nie stanie w tym domu. Żegnam. – Prawie pobiegła do drzwi i już jej nie było.

- Mamo? – odezwała się Amelka.

- Słucham kochanie – odparła Gosia patrząc w ślad za teściową z

zadumanym wyrazem twarzy.

- To jest na pewno twoja matka, czy podmienili cię w szpitalu? Bo raczej nie wierzę w to, że cię adoptowała. Nie przygarnęłaby nawet psa, gdyby jej za to nie zapłacił.

- Niekiedy sama się nad tym zastanawiam Amelko. I chyba bym wolała, żeby tak właśnie było. Nic na to nie poradzę, że to ona mnie urodziła.

- Jak była w ciąży, to już nie miała innego wyjścia – skwitowała nasza pociecha i pewnie miała rację.

Wróciłem do domu zaraz po przyjęciu ostatniej osoby. Było już dobrze po dwudziestej i z marszu poszedłem pod prysznic rozkoszując się na przemian ciepłą i zimną wodą. Stałem tak ponad kwadrans, a kiedy dotarłem do salonu czekał na mnie kubek gorącej kawy z mlekiem, dokładnie takiej, jaką lubię, to znaczy dwie łyżeczki cukru zalane naparem z ekspresu przelewowego i z dolaną odrobinką mleka. Gosia i tata Marian oglądali jakieś wiadomości, ale natychmiast zwrócili się w moim kierunku.

- Jak się czujesz? – spytała Gosia.

- Nie jest źle, tylko pod koniec nie miałem już siły na słuchanie pacjentów, bo zaczynała boleć mnie głowa.

- Jeżeli masz ochotę, to posłuchaj jaki opracowaliśmy we trójkę plan dla ciebie.

Chcesz?

- Jasne.

- Ustalamy godziny przyjęcia kolejnych pacjentów co piętnaście minut i tylko w ściśle określonym czasie. Zakładamy stronę internetową, na której będą informacje na twój temat i możliwość osobistej rejestracji pacjenta. Dzięki temu każdy będzie wiedział, kiedy i na którą godzinę ma przyjechać. Strona będzie wyświetlała tylko wolne terminy i umożliwiła wydruk potwierdzenia rejestracji, a dzięki niej codziennie rano będziesz miał gotowy wykaz osób, jakie przyjmiesz w danym dniu. Podamy powody takiej decyzji.

Jeżeli ktoś ma trochę oleju w głowie to zrozumie, że też jesteś tylko człowiekiem. Będzie to gotowe za dwa, trzy dni. Informacja wejdzie na facebooka i do świąt sytuacja powinna się unormować. Święta masz wolne i nie przyjmujesz nikogo. Wszelki kontakt telefoniczny w sprawie leczenia tylko ze mną. Ty się w to nie angażujesz, bo masz za miękkie serce. Ja chcę mieć czasami męża w domu i dlatego mam większą motywację do bycia nieubłaganą i nieustępliwą. Obiecuję, że tylko w szczególnie pilnych przypadkach ulegnę i wtedy umówię ci nadplanowego pacjenta, ale od razu mówię, że będą to przypadki odosobnione. Zgoda, drogi mężu?

- Zgoda – odparłem z rezygnacją. Nie do końca zgadzałem się z jej planami, ale w głębi ducha musiałem przyznać, że ma rację. Zastanawiałem się przez chwilę, czy przypadkiem nie negocjować z nią przedstawionych warunków mojej działalności, ale w tym momencie usłyszałem pierwsze takty „Heavy Metal World”. Gosia rzuciła się na telefon jak tygrys na antylopę, spojrzała na wyświetlacz i dopiero wtedy mi go podała.

- Paweł Nowakowski dzwoni. A myślałam, że to jakiś bardzo pilny pacjent – powiedziała usprawiedliwiająco.

- Słucham cię Pawle - odezwałem się do słuchawki.

- Cześć Wojtek. Nie dzwonię zbyt późno? Obawiałem się, że możesz już spać.

- Nie spałem. Siedzę sobie właśnie po ciężkim dniu z żoną i teściem, pijemy kawę i tak sobie gadamy. A co u ciebie?

- Jestem z Szymonem na turnusie rehabilitacyjnym w tym ośrodku koło Poznania.

Wymaga jeszcze trochę pracy z rehabilitantem, a tutaj sam wiesz, że najlepiej ukierunkują, co z nim robić w domu.

- Fakt, w kilku ośrodkach byłem z Amelką i ten chyba jest najlepszy.

- Wiesz Wojtek, tydzień temu byliśmy na kontroli u profesora. Spytałem, czy byłeś u niego z teściem i opowiedział, że zniknięcie tego guza to największy cud w medycynie, z jakim się spotkał. Siedzimy sobie teraz na pięterku przy piwku, dzieciaki już śpią i jeden kolega

opowiedział o uzdrowicielu, który podobno leczy wszystko. Pokazał mi profil na facebooku i okazuje się, że to chyba chodzi o ciebie. Prawda?

- Prawda Pawetku. Jakoś od dłuższego czasu każdy, kogo dotknę wychodzi z choroby, choćby nie wiem jak ciężkiej i nieuleczalnej. Sam nie wiem jak do tego doszło, ale właśnie tak jest. Pierwszy był teść, a zaraz później Amelka. Dzisiaj nie poznałbyś, że kiedykolwiek była chora. Mówi, chodzi, a nawet bywa wredna. Początkowo sami zastanawialiśmy się, co spowodowało te cudowne uzdrowienia i dopiero po czasie wydedukowaliśmy, że w jakiś sposób do mnie przylgnęły takie umiejętności.

- Wojtek, na turnusie jest trzydziestka dzieciaków. Sam wiesz jak bardzo chorych, bo byłeś tutaj z Amelką nie raz. Mój Szymon jest w najlepszym stanie z nich wszystkich.

Tak sobie pomyślałem, czy przypadkiem nie mógłbyś do nas przyjechać i spróbować swoich sił na naszych dzieciach. Nie masz daleko, a za dojazd ci zwrócimy i przywitamy chlebem, i solą. Niczego mocniejszego nie proponuję, no chyba, że weźmiesz z sobą kierowcę.

- Zgoda. Nawet chętnie się na trochę oderwę od codziennych przyjęć pacjentów.

Nie chcę tylko słyszeć o żadnym zwracaniu za dojazd. Przyjedziemy wszyscy powiedzmy pojutrze, pasuje?

- Pasuje. To znaczy, że Gosia i Amelka też przyjadą?

- Tak – odparłem widząc, że Gosia przytakuje głową. - Tylko nie proponuj jej tego czegoś mocniejszego, bo całą drogę powrotną będzie mi śpiewać, a tego nie zniosę – kątem oka zauważyłem wyrażający najwyższe oburzenie wzrok mojej żony.

- Ale się terapeuci zdziwią widząc Amelkę w takim stanie, jak mówisz. Zaraz rano opowiem, że przyjeżdżacie. O której się was spodziewać?

- Myślę, że jak wyjedziemy z samego rana, to dojedziemy do was przed południem.

Pewnie akurat na przerwę z zajęciami.

- Super. To czekamy. Do zobaczenia pojutrze.

Zakończyłem rozmowę zadowolony z planowanego wyjazdu, ale zaraz zacząłem mieć wyrzuty sumienia. Przecież pojutrze też przyjadą pacjenci, a mnie nie będzie. Mają czekać nie wiadomo, do której godziny? Powiedziałem Gosi o tych wątpliwościach.

- Wojtek, ale ty jesteś głupi. A dzieciaki w ośrodku to mogą za tobą czekać?

Uważasz, że ci, którzy tutaj przyjeżdżają są od nich ważniejsi? Jedziemy i koniec dyskusji. Dla świętego spokoju wrzucam zaraz do internetu informację o tym, że pojutrze nie przyjmujesz.

Na miejscu byliśmy godzinę później, niż planowałem. Od rana sypał śnieg, który mojemu Jeepowi wcale nie przeszkadzał, ale wiele aut wlokło się jakby ich kierowcy po raz pierwszy w życiu wyjechali na zaśnieżoną drogę. Ośrodek nic się nie zmienił od czasu, kiedy byliśmy w nim ostatni raz. Budynek i przyległy teren sąsiedował z lasem, i jeziorem.

Obok usytuowany był kryty basen, ujeżdżalnia do zajęć hipoterapii i fajnie urządzonego park. Weszliśmy do holu o ścianach pokrytych drewnianą boazerią i zdębiałem, bo tylu osób tam nigdy nie widziałem, choć byliśmy w tym miejscu wiele razy. Znaczna część rodziców i dzieciaków była mi znana. Przeważały dzieci chore na dziecięce porażenie mózgowe, w ogromnej większości nie chodzące. Znałem też po imieniu całą kadrę.

Wszyscy oni wpatrywali się w Amelkę, która bez namysłu wypaliła w swoim stylu.

- No co się tak gapicie ludzie. Nie widzieliście normalnej dziewczyny. Powiedzcie lepiej, gdzie tu jest ubikacja, bo się zsikam w majtki.

Odpowiedzią był gromki wybuch śmiechu, a rehabilitant Waldek pokazał jej drogę.

Z tłumu wysunęły się dwie osoby. Poznałem Pawła i jego syna. Od czasu, kiedy widziałem go po raz ostatni Szymon urósł i zmężniał. Najprawdopodobniej nie poznałbym go na ulicy.

- Cześć Wojtek, fajnie, że jesteście. Martwiłem się już, że z powodu pogody nie dacie rady dojechać. A Amelka jest rewelacyjna. Długo zajęło

ci doprowadzenie jej do takiego stanu?

- Paweł, to nie jest tak jak myślisz. Ja nie robiłem jej żadnych zabiegów. Mam z nią kontakt codziennie, to nie wiem jak z nią było, ale innych pacjentów po prostu dotykam i już. W zależności od zaawansowania choroby najdalej następnego dnia jest widoczna poprawa, a maksymalnie do tygodnia objawy ustępują całkowicie.

- A naszymi dziećmi też się zajmiesz? Szymon po usunięciu guza ma delikatne przykurcze, zachwiania równowagi i ataki padaczkowe. Inni też na ciebie liczą. Widzisz, jaki liczny komitet powitalny tutaj czeka.

- A myślisz, że po co przyjechałem? Żeby oglądać twoją paskudną gębę?

- Roześmieliśmy się serdecznie. – Zdejmuję kurtkę, dawaj ich po kolei, a później pogadamy.

- Jasne. Zrób te swoje czary mary i napijemy się w barze kawy. Ja stawiam i bez dyskusji.

- No dobrze. Szymon podaj mi rękę.

Dotknięcie wszystkich dzieciaków i przekazanie im mojego ładunku zajęło nie więcej niż trzy kwadransy. Gosia dorwała jakąś swoją znajomą, ja z Pawłem siedzieliśmy przy kawie, a Amelka rządziła na sali ćwiczeń z rehabilitantami, którzy znali ją z turnusów i popisywała się swoją sprawnością.

- Powiem ci ciekawostkę, - Paweł ściszył głos - dzisiaj rano siedzieliśmy w holu i rozmawialiśmy na twój temat z właścicielem ośrodka.

- Tym Kamilem, czy jak mu tam?

- Tak. Od razu wydało mi się podejrzane, że wyśmiewał mój pomysł ze ściąganiem ciebie tutaj. A kiedy pokazałem mu na ekranie laptopa twój profil z wpisami uleczonych ludzi, to najwyraźniej się wkurzył. Wtedy wyszło, że najprawdopodobniej obawia się, że to może być prawda i straci pieniądze, jakie na nas zarabia.

- Ile teraz kosztuje turnus? – spytałem pamiętając, że w zeszłym roku było to prawie cztery tysiące złotych za dwa tygodnie pobytu dziecka z opiekunem.

- Niecałe pięć tysięcy – odparł Paweł. – To ma się czego bać. Lekko licząc, na naszym nieszczęściu zarabia miesięcznie około pięćdziesięciu tysięcy na czysto, po odjęciu wszystkich kosztów i opłaceniu pracowników. Gdyby nie miał pacjentów, poszedłby z torbami. A ostatnio kupił sobie nowe auto sportowe za prawie pół miliona.

Mówią tutaj, że mu się w głowie zaczyna przewracać. O, właśnie idzie.

- Witam panie Pawle, – przywitał się z nieco nieszczerym uśmiechem pan Kamil.

Pomimo najszczerzych chęci nie byłem w stanie przypomnieć sobie jego nazwiska.

Trzeba mu oddać, że zdołał zgromadzić w tym miejscu grono wspaniałych fachowców od rehabilitacji dzieci, ale jakoś nigdy nie pałałem do niego specjalną sympatią – Paweł wspominał, że pan nas dzisiaj odwiedzi. Co u was słychać?

- Prawie wszystko po staremu, - odparłem – no może poza stanem zdrowia Amelki.

Widział ją pan? Ostatnio była w sali ćwiczeń.

- Widziałem ją i jestem pod ogromnym wrażeniem. Paweł mówił mi, że jest zupełnie zdrowa, ale jakoś niespecjalnie chciało mi się w to wierzyć. Teraz widzę, że to prawda. Jak pan tego dokonał?

- Sam chciałbym to wiedzieć panie Kamile. Po prostu pewnego dnia okazało się, że potrafię robić takie rzeczy samym tylko dotykiem.

- Ilu osobom zdołał pan już pomóc?

- Nie prowadzę żadnej dokumentacji, ale na pewno można mówić o kilkuset.

W tym właśnie momencie zdałem sobie sprawę, dlaczego coś mi w nim zawsze nie pasowało. Ten człowiek leczenie i rehabilitację odbierał jako interes, a nie jako misję.

Owszem fajnie gdy dało radę komuś pomóc, ale najważniejszy był dla niego zysk. Nie mogłem oczekiwać, że będzie prowadził w swoim ośrodku darmowe turnusy, ale miałem jeszcze w pamięci ile kosztowało mnie i Gosię zebranie pieniędzy, aby tutaj przyjechać z Amelką.

Dostłownie zebraliśmy o nie gdzie tylko się dało, bo NFZ dawał takie kwoty na rehabilitację, że ogarniał nas pusty śmiech. W ogóle nasze kochane państwo dba tak o niepełnosprawnych i ich rodziny, że aż żal o tym wspominać. Pomijając niewielkie nakłady na rehabilitację, która w wielu wypadkach pozwoliłaby tak usprawnić młodego człowieka, że nie trzeba by mu później przez całe życie wypłacać renty, to realizowana polityka powoduje, że opiekun takiej osoby, szczególnie gdy jest samotny żyje na granicy ubóstwa. Składka emerytalna osoby opiekującej się niepełnosprawnym, odprowadzana jest jedynie od świadczenia pielęgnacyjnego. Spotkałem się z przypadkiem kobiety, która samotnie wychowywała głęboko upośledzonego syna i dlatego nie mogła podjąć żadnej pracy. Lata mijały, lecz któregoś dnia chłopak, wtedy już dorosły mężczyzna, zmarł na skutek powikłań po zapaleniu płuc. Kobieta została praktycznie bez środków do życia.

Miała już co prawda wiek emerytalny, ale wyliczono jej taką kwotę świadczenia, że kilka tygodni później nie mając środków do życia popełniła samobójstwo.

Kamil tymczasem kalkulował własny zysk, nie zastanawiając się ilu dzieciakom zamknął drogę do usprawniania na przyzwoitym poziomie, tylko dlatego, że ich rodzice nie byli w stanie uzbierać takich kwot, jakich żądał. Ktoś mógłby zarzucić, że łatwo mi tak mówić, gdy jestem finansowo ustawiony na całe życie, ale zawsze miałem takie priorytety jak obecnie. Pieniądze nigdy nie były dla mnie celem życia, chociaż muszę przyznać, że bardzo je ułatwiały. Podobne podejście miałem do lekarzy. Wiele lat temu poznaliśmy wspaniałą lekarkę, która miała niezwykle dar leczenia Amelki. Z kilku powodów jeździliśmy z Małą tylko do niej, chociaż przyjmowała w sąsiednim mieście. Po pierwsze zawsze trafiała z diagnozą i nie faszerowała jej antybiotykami przy każdej nadarzającej się okazji, po drugie była wspaniałym człowiekiem, a po trzecie swój zawód traktowała jak misję i była jednym z niewielu znanych mi lekarzy z powołania. Poza nią takich prawdziwych medyków mógłbym wymienić na palcach jednej ręki. Niestety pan Kamil do takich

ludzi się nie zaliczał i właśnie w tym momencie spytał mnie o coś, o co przenigdy nie powinien był mnie pytać, i co zraziło mnie do niego ostatecznie.

- A nie chciałby pan panie Wojtku przypadkiem dla mnie pracować? Z pana renomą moglibyśmy zarobić krocie – zaszczebiotał tak przymilnie, a mnie aż zemdliło.

- Wie pan co, - aż wstałem – za swoje jak by to nazwać usługi, nigdy nie wzięłem od nikogo ani grosza. Może to dla pana niepojęte, ale chcę, aby tak właśnie pozostało. I jeszcze jedno, może najważniejsze. Z tych pacjentów, którzy są obecnie w pańskim ośrodku nie zedrze pan już prawdopodobnie ani złotówki. Zaraz jak tylko przyjechałem, zaserwowałem im terapię w moim wydaniu, nie muszę chyba dodawać, że zupełnie za darmo.

- Nie ma pan głowy do interesów – oświadczył pogardliwie.

- A pan serca do chorych dzieciaków – powiedziałem tym samym tonem, co słysząc aż się zapowietrzył.

- Najlepiej będzie, jak opuści pan mój ośrodek. I to natychmiast!

- Tak właśnie zrobię. Tylko niech pan pomyśli co będzie, jak za jakiś czas nikt tutaj nie przyjedzie, bo nie będzie takiej potrzeby. - Zabrzmiało to jak wyzwanie i tak właśnie miało zabrzmieć. Chyba dotarł do niego ukryty sens tego zdania, bo nie powiedział już ani słowa, tylko zaczął odchodzić zastanawiając się nad czymś intensywnie. Po paru krokach odwrócił się.

- Jak nikt tutaj nie przyjedzie, to oni wszyscy – wskazał głową na salę, gdzie pracowali rehabilitanci – pójdą na zasiłek dla bezrobotnych. Bardzo ich pan uszczęśliwi.

- Terapeuci ze ich kwalifikacjami dadzą sobie radę, ale co pan wtedy będzie robił?

Trzeba będzie wziąć się do jakiejś uczciwej pracy. To dopiero będzie tragedia, prawda panie Kamilu?.

Poczerwieniał na twarzy, ale chyba nie wiedząc co odpowiedzieć poszedł w stronę schodów na piętro, gdzie miał swój gabinet.

- Ale gnojek – podsumował Paweł, który przysłuchiwał się naszej

rozmowie.

- Chyba nadmiar pieniędzy trochę mu poprzestawiał w głowie. No ale nic na to nie poradzimy. Słuchaj Pawełku, ja chyba faktycznie nie jestem tutaj mile widziany. Zawołam dziewczyny i wracamy do domu. Daj mi znać przez telefon, co się poprawiło u tych dzieciaków.

- Masz to jak w banku. A co do Kamila, to chyba jest tak jak mówisz. Niektórzy ludzie nie powinni mieć nigdy dużych pieniędzy. Przypomina mi się takie powiedzenie mojej babci. Mówiła, że nawet jak założysz świni złote siodło to i tak nie będzie rumakiem. Coś mi się zdaje, że w tym powiedzeniu jest sporo prawdy.

Następnego dnia przed południem, kiedy byłem w trakcie przyjmowania moich pacjentów zadzwonił Paweł. W zasadzie byłem prawie pewny tego, co mi powie, ale okazało się, że ma więcej rewelacji. Okazało się, że dzisiaj rano wszystkie dzieciaki z turnusu, nawet te poruszające się wczoraj tylko na wózkach, poszły o własnych siłach na śniadanie. Właściciel ośrodka widząc, jak maszerują po posiłku na salę ćwiczeń dostał ataku ciężkiej nerwicy i zrobił Pawłowi awanturę. Oświadczył mu kategorycznie, że nie życzy sobie więcej, aby bez jego zgody przyjeżdżały tam osoby postronne. Gdy Paweł odparł, że wiedział o moim przyjeździe i nie protestował, Kamil zaczął coś tam wykrzykiwać i wymachiwać rękami. Skończyło się tym, że Paweł zwyczajnie po męsku dał mu w twarz, a teraz właśnie pakował swoje rzeczy i przygotowywał Szymona do wyjazdu. Przy okazji powiedział, że rozmawiał z rehabilitantem, który ćwiczył z jego synem. Okazało się, że zatroskany o los swych pracowników Kamil, tak naprawdę zatrudnia tylko dwie osoby, a pozostałe ma na umowach śmieciowych. Paweł na koniec życzył mi wesołych świąt i obiecał, że kiedyś do nas wpadną z Szymonem.

ROZDZIAŁ V

Zapowiadały się piękne święta Bożego Narodzenia. Od kilku dni trzymał lekki mróz, a nocami sypał drobny śnieg. Cała okolica przykryta była białym puchem, a gałęzie drzew aż ugiwały się pod jego ciężarem. Stojąca przed domem wielka choinka wyglądała wspaniale. Ustroiliśmy ją w setki lampek, a dodatkowo dziewczyny wpadły na pomysł przyozdobienia domu. Zapędziły tatę Mariana do drabiny i biedak przez pół dnia przypinał do krawędzi dachu sznury światełek. Trochę marudził, ale gdy wieczorem podłączyliśmy tą całą instalację do prądu, to stwierdził, że jednak było warto trochę się pomęczyć. Co więcej, stwierdził, że dobrze by było dać jeszcze oświetlenie na szczycie domu i na garażu, ale nie było już na to czasu, a zresztą kupienie czegokolwiek tuż przed świętami było graniczyło z cudem.

Na stronę internetową wrzuciliśmy informację, że w Wigilię nie przyjmuję i o dziwo nikt nie przyjechał. Po raz pierwszy od wielu dni mogłem posiedzieć w domu i z wielką ochotą włączyłem się w przygotowania do wieczery, choć głównie ograniczały się do podawania dziewczynom różnych produktów i mycia garów. Gosia pomimo wcześniejszej awantury chciała zaprosić do nas swoją matkę, ale nie odbierała telefonu, a gdy pojechał do niej teść, to nie wpuściła go do domu. Na pewno będzie siedziała sama i narzekała jaki to ten świat jest zły. W wyobraźni widziałem ją jako złą czarownicę z jakiejś bajki Disneya, ubraną w czarną zakurzoną suknię, z ponurą miną i kotem na kolanach.

Wczesnym przedpołudniem na mój telefon przyszedł sms. Miałem go przy sobie, bo czekałem na tą wiadomość. Napotkałem pytające spojrzenie Gosi i w milczeniu skinąłem głową.

- Tato, - powiedziała do teścia - mam prośbę. Wojtek jest mi potrzebny w kuchni, a trzeba pojechać do cukierni po zamówione

ciasto. Mógłbyś tam skoczyć?

- A dużo tego, bo nie wiem czy zmieszczę do mojego samochodu?

- Weź Jeepa – zaproponowałem. - Z napędem na cztery koła przynajmniej nigdzie nie ugrzęzniesz.

- Zgoda – odparł z nagłym zapałem, bo lubił to auto chyba nawet bardziej ode mnie. Wziął kluczyki i dokumenty, i już go nie było. Wybrałem w telefonie numer nadawcy wiadomości i po krótkiej rozmowie drugi.

- Pani Basiu, Wojtek Skłodowski z tej strony - powiedziałem do znajomej, prowadzącej w centrum cukiernię. - Jedzie do pani po zamówione ciasto mój teść. Jest taka prośba, żeby pani go przetrzymała u siebie jakieś piętnaście minut, bo przygotowujemy mu niespodziankę. Niech pani coś wymyśli, będę bardzo wdzięczny. Zgoda?

Pani Basia zaproponowała, że jeśli trzeba to zatrzyma go nawet pół godziny. Była mi bardzo wdzięczna, bo zdołałem wyleczyć ją z bardzo paskudnego łojotokowego zapalenia skóry. Podziękowałem jej za dobre chęci, ale piętnaście minut powinno w zupełności wystarczyć.

Wyszliśmy na zewnątrz, kilkanaście minut później wróciliśmy do domu, a po kolejnym kwadransie wrócił teść. Pomogłem mu przenieść kartony do domu. Było widać, że jest niezadowolony.

- Ta pani Basia z cukierni, to mogła się umówić z odbiorem ciasta na telefon.

Oczywiście musiałem czekać, aż jakaś polewa zgęstnieje i wysłuchiwać tych wszystkich marudnych klientek, które w Wigilię szukają ciasta na święta i narzekają, że nie ma tego co im się akurat wymarzyło. Jakby nie mogły zamówić czegoś wcześniej.

- Nie marudź dziadku, - powiedziała Amelka z tajemniczym wyrazem twarzy – w kuchni niekiedy nie przewidzisz wszystkiego. Kiedyś nauczę cię piec ciasto, to sam zobaczysz.

Oczywiście teść słysząc swoją ukochaną wnuczkę od razu wyszczerzył zęby w uśmiechu. Znając jego słabość do Małej, pewnie bez oporów by się zgodził, żeby uczyła go haftu krzyżykowego albo szydełkowania. Zresztą co tu dużo mówić. Dla mnie i Gosi to pyskate

dziewuszysko też było całym światem.

Pierwsza Wigilia w nowym domu była wspaniała. Zwyczajowo w tym dniu na stole powinno znajdować się dwanaście potraw. Na naszym było ich dużo więcej i wszystkie zaliczałem do ulubionych. Od kilku lat byliśmy wegetarianami, dlatego te postne dania składające się głównie z ryb, warzyw i mąki, przygotowane przez mistrza kuchni w osobie mojej żony, były rajem dla podniebienia. Głupio się przyznać do obżarstwa w ten szczególny dzień, ale nie dałem rady spróbować wszystkiego, a już miałem przed sobą dość okazałych rozmiarów brzuszysko. Mogłem założyć spodnie od dresu, przynajmniej trochę naciągały się w pasie. Jak co roku najbardziej smakowały mi śledzie w zalewie śmietanowej, zastąpionej przez zalewę jogurtową, pierogi, groch z kapustą i ryba po grecku. Po raz pierwszy od wielu lat z przyjemnością połamałem się opłatkiem, bo właśnie doszedłem do wniosku, że spełniły się co do joty moje zeszłoroczne życzenia. Amelka była zdrowa, nie pracowałem już z Oleksiakiem i mieliśmy swój wymarzony, i piękny dom.

Małej oczywiście buzia się nie zamykała, a w międzyczasie pochłaniała takie ilości jedzenia, że zacząłem na poważnie się obawiać, czy przypadkiem zaraz nie pęknie.

- Pamiętam jak przez mgłę, - powiedziała, ładując do ust dwa pierogi na raz – że karmiliście mnie przy Wigilii głównie rybą po grecku, karpem i grochem z kapustą, a ja zawsze chciałam spróbować tych pierogów. I miałam rację, bo są wyśmienite.

- Mogłaś sobie chcieć – odparłem. - A pamiętasz może, jak kiedyś poczęstowałem cię kluskami ziemniaczanymi i tak się nimi dusiłaś, że aż byłaś sina?

- Nie pamiętam – odparła mrużąc oczy jak kot.

Od razu widać było, że kłamie. Po tym zdarzeniu miałem taki uraz psychiczny, że przez jakiś czas nie podawałem jej niczego, co uprzednio nie zostało rozdrobnione blenderem. Pamiętam dokładnie, że byliśmy wtedy w domu sami. Zaraz jak tylko wróciłem z pracy Gosia wyszła na zakupy. Odgrzałem sobie kluski w mikrofalówce, a kiedy jadłem Amelka patrzyła na mnie z takim wyrzutem, że dla świętego spokoju

poczęstowałem ją swoim obiadem. Jedna kluska utknęła jej w gardle i dopiero pochylenie głową ku ziemi, i kilka uderzeń w plecy pomogły jej złapać oddech. Przejąłem się chyba wtedy rolą, bo przez prawie dwa tygodnie miała siniaki.

- Nie kłóć się z ojcem przy stole wigilijnym – wtrąciła się Gosia. - Ja też zauważyłam młoda damo, że masz bardzo wybiórczą niepamięć. A przeważnie nie pamiętasz tego, co akurat ci nie pasuje.

Amelka zrobiła obrażoną minę i zaczęła się wdzięczyc do teścia, żeby mieć go po swojej stronie, ale tym razem postanowił być zupełnie neutralny, bo zaproponował, żebyśmy zaśpiewali parę kolęd. Kilka razy miałem okazję słyszeć śpiew teścia i chylę przed nim czoła. Ma tak fajny, niski, a jednocześnie aksamitny głos, że słucham go z ogromną przyjemnością. A w duecie z Gosią są rewelacyjni. Ja przy nich wolę się nie błażnić, bo wydaję z siebie dźwięki jak cierpiący wielkie męki ranny zwierzak. W ogóle jakoś nie zostałem obdarzony talentem muzycznym. Gosia śmieje się, że mam trzeci gatunek słuchu, co znaczy, że jak grają to słyszę.

Zawsze w Boże Narodzenie nachodzą mnie refleksje dotyczące przede wszystkim mojej rodziny, ale też samego charakteru tych świąt. Nie wiem, czy mogę nazwać się osobą szczególnie religijną. Generalnie wierzę w Boga, bo życie ograniczone tylko do ziemskiego padołu byłoby pozbawione większego sensu. Poza tym zbyt wiele rzeczy, które mnie spotkały świadczyło, że istnieje ktoś, kto czuwa nad wszystkim i w niektórych momentach ingeruje w to, co się z nami dzieje. Wiele razy zastanawiałem się, czy te dwa tysiące lat temu Jezus Chrystus był taki, jak przedstawia to nasza wiara, czy też zupełnie inny. Znałem wiele teorii spiskowych na temat Syna Bożego, bo sporo na ten temat czytałem. Ale jak było naprawdę, tego z całą pewnością nie wie nikt na tym świecie, ani się tego nigdy nie dowie. Jedno jest pewne. Gdyby wszyscy ludzie stosowali się do dziesięciu przykazań, to życie na świecie przypominałoby biblijny raj. Kiedyś doszedłem nawet do wniosku, że nikt nie wymyślił niczego mądrzejszego od Dekalogu. Tak naprawdę, to

wszystkie mądre przepisy prawa karnego, choć spisane w wielu ustawach składających się z niezliczonych paragrafów, można zawrzeć w tych dziesięciu punktach.

Snując tego rodzaju rozważania słuchałem duetu w składzie tata Marian i Gosia, kiedy na dwa głosy śpiewali kolędy. Na szczęście Amelka im nie pomagała, bo z talentem wokalnym odziedziczonym po mnie zepsułaby cały efekt. Ale jak to ona. Po kilkunastu minutach zaczęła się nerwowo kręcić na krześle i w końcu nie wytrzymała pytając, czy przypadkiem nie jest już czas na prezenty.

Mając już nasze pozwolenie pogalopowała pod stojącą w salonie choinkę i przytaszczyła stamtąd opakowane ładnie pudełka. Były w nich: nowy laptop dla Amelki, wymarzony od dawna tytanowy zegarek dla mnie i piękna złota bransoletka dla Gosi.

- Dziadku, a czy ty byłeś grzeczny? – spytała teścia, który miał trochę zawiedzioną minę widząc, że nie ma nic dla niego. - Bo Święty Mikołaj mówił, że nie jest tego pewien i kazał cię o to spytać.

- Nie wiem, - trzymał fason – chyba byłem.

- Coś ci powiem tato – powiedziałem, robiąc tajemniczą minę. - Według nas, a musisz wiedzieć, że uzgodniliśmy to na specjalnej, zrobionej za twoimi plecami naradzie, byłeś w tym roku najgrzeczniejszym chłopakiem na świecie. Dlatego napisaliśmy list do Świętego Mikołaja o specjalny prezent. Ten prezent został dzisiaj dostarczony, ale nie zmieścił się pod choinką i musisz wyjść na dwór, żeby go obejrzeć.

- A co to takiego? - tata Marian był wyraźnie zdezorientowany.

- Nie wiemy – odparła Gosia. - Święty Mikołaj nie chciał nam powiedzieć. No dalej, ubieramy się i wszyscy na dwór.

Wyszliśmy na zewnątrz ubrani w kurtki i czapki, bo było dość mroźno.

- Gdzie on zostawił ten prezent dla dziadka – głośno zastanawiała się Amelka zaglądając pod stojącą przed domem choinkę. - Może zobaczymy za garażem?

Poszliśmy za garaż. Teść zerknął i zdębiał.

- To naprawdę prezent dla mnie? - spytał z niedowierzaniem.

- Tak by wychodziło – odparłem. - My przecież nasze prezenty mieliśmy pod choinką.

- Dziękuję wam kochani. Lepszego prezentu nie mógłbym sobie nawet wyobrazić.

Za garażem stał przywieziony dzisiaj na lawecie nowiutki, przewiązany czerwoną wstążką z kokardą na dachu Volkswagen Passat Alltrack w kolorze szary metalik, na ogromnych osiemnastocalowych felgach ubranych w najlepsze z dostępnych na naszym rynku opony zimowe.

- Dziadku, - powiedziała Amelka. - Do tego prezentu jest coś jeszcze, proszę.

- Podała mu skórzaną saszetkę, w której były dokumenty i kluczyki od Passata. Tata Marian miał łzy w oczach. Pewnie ze szczęścia, ale zapierał się, że to od mrozu.

Wydarzenia tego wieczoru w pełni potwierdziły, że Wigilia i Boże Narodzenie to dni magiczne. Całą czwórką pojechaliśmy na Pasterkę. Oczywiście nie było innej możliwości jak jazda nowym Passatem z teściem za kierownicą. Ależ on był dumny ze swojego samochodu. Tak się prężył, że zacząłem się obawiać, czy nie wgniecie głową dachu. Zdenerwowało go tylko, że jest ciemno i nie może zabrać się od razu do poznawania wszystkich przełączników i manipulatorów. Na szczęście odnalazł włącznik świateł i radia, i potrafił obsługiwać automatyczną skrzynię biegów. W kościele śpiewał, jakby występował na jakimś koncercie, a po zakończeniu Pasterki pognął na parking, żeby ktoś mu przypadkiem nie uszkodził nowego samochodu.

Już w trakcie mszy czułem, że w kieszeni wibruje mój telefon. Na szczęście jeszcze przed wejściem do kościoła wyciszyłem dzwonek. Poczułem ponownie, że ktoś dzwoni, gdy szliśmy w kierunku opartego o dach auta taty Mariana, który ze sztucznie obojętną miną prezentował je właśnie jakiemuś swojemu znajomemu. Wyjąłem telefon z kieszeni, spojrzałem na wyświetlacz i aż potrząsnąłem głową nie dowierzając własnym oczom. Już dawno miałem zabrać się za wykasowanie z książki

telefonicznej niepotrzebnych numerów, ale jak to zazwyczaj bywa, miałem w niej wszystkie, które nazbierały się od wielu lat. Na wyświetlaczu aparatu pulsował napis „Oleksiak”. Co jest grane, pomyślałem.

Życzenia świąteczne chce mi składać? Wahałem się, czy w ogóle odbierać i w tym czasie wyświetlacz przestał mrugać. Pewnie włączyła się poczta głosowa. Minęła niecała minuta, kiedy znowu zadzwonił. Postanowiłem odebrać. W końcu nie mam z nim już nic wspólnego, a swoją drogą byłem bardzo ciekaw, o co chodzi. Widząc pytające spojrzenie Gosi pokazałem jej napis na wyświetlaczu i nacisnąłem zielony przycisk.

- Wojciech Skłodowski, słucham – powiedziałem do słuchawki.

- Wacław Oleksiak z tej strony. Panie Wojtku błagam, niech pan mnie chwilę posłucha i się nie rozłącza. Bardzo proszę. – Był cholernie zdesperowany i to mnie zaintrygowało.

- Niech pan mówi. Nie przerwę rozmowy.

Widziałem wpatrzone we mnie trzy pary oczu należących do Gosi, Amelki i taty Mariana. Mieli wzrok jak dzieci z filmu „Wioska Przeklętych”.

- Panie Wojtku ja zdałem sobie sprawę, że byłem wobec pana nie w porządku. Ja zrozumiałem

- I musi mi pan to koniecznie opowiedzieć w noc wigilijną? – przerwałem mu niezbyt grzecznie.

- No nie. Ja dzwonię do pana, bo potrzebuję pomocy – w jego głosie była słyszalna panika i strach.

- Co się stało?

- Moja żona i córka są w szpitalu. Miały wypadek. Ja dzisiaj zostawiłem je same.

Byłem na Wigilii u Karoliny. One pojechały do teściów i jak wracały, rozbiły się na drzewie – wyrzucił z siebie z szybkością karabinu maszynowego. – Panie Wojtku, niech pan ratuje.

- Dobrze

- Panie Wojtku kochany. Jak im coś się stanie, to ja sobie nie daruję.

Ja się zmienię.

Będę dobry dla ludzi, zostawię Karolinę i wrócę do rodziny. Tylko niech pan je ratuje.

Panie Wojtku

- Wacek!!! – ryknąłem do słuchawki. Przerwał swój monolog.

- Jaki szpital? W jakim mieście?

- W Inowrocławiu. To jest na wylocie na Poznań.

- Wiem. Będziemy za niecałą godzinę. Gdzie są, na jakim oddziale?

- Na Intensywnej Terapii. To jest parter.

- Chwila panie Oleksiak, niech się pan nie rozłącza – powiedziałem do telefonu, a zaraz później wydałem dyspozycję teściowi. – Jedziemy do Inowrocławia. Jedź proszę jak najszybciej do szpitala.

- Już jestem – odezwałem się ponownie do Oleksiaka. – Jak mówiłem, najdalej za godzinę jesteśmy u pana. Niech pan w tym czasie uprzedzi kogoś, że muszę dojść do chorych i ich dotknąć. To konieczne, a nie chcę tracić czasu na tłumaczenie i załatwianie czyjejsz zgody.

- Dobrze, załatwię wszystko. Będę czekał za panem przed wejściem do Izby Przyjęć. Proszę niech pan się spieszy. Źle z nimi.

- Już jadę. Mam do pana niecałe czterdzieści kilometrów.

Droga była pusta i napotkaliśmy jedynie kilka samochodów jadących z przeciwka.

Wjechaliśmy na parking przy szpitalu po czterdziestu minutach. Od razu poszedłem w kierunku wejścia, już z daleka rozpoznając przechadzającego się nerwowo przy drzwiach Oleksiaka. Chciał coś powiedzieć, ale machnąłem tylko ręką i kazałem prowadzić na oddział.

- Co z nimi? – spytałem, gdy szliśmy korytarzem.

- Stan obu jest ciężki. Z moją córką jest gorzej. Podłączyli ją do respiratora i dają małe szanse na przeżycie – zaczął szlochać, ale po chwili się uspokoił. - Na dyżurze jest bardzo konkretny lekarz. Uprzedziłem, że pan przyjedzie i nie miał nic przeciwko temu.

Mówił, że słyszał o panu i jest ciekaw ile w tym jest prawdy.

Na oddziale założyliśmy ochraniacze na buty i fartuchy ochronne.

Oleksiak poprowadził do jednej z sal. Na łóżku otoczonym aparaturą leżała młoda kobieta. Była nieprzytomna. Z jej ust wychodziła rurka podłączona do sapiącego miarowo aparatu, w którym pracował jakiś tłok. Pomieszczenie to zrobiło na mnie przygnębiające wrażenie. W powietrzu unosił się zapach moczu, środków dezynfekcyjnych i czegoś nieokreślonego, czego nie potrafiłem zidentyfikować. Pomyślałem nawet, że to zapach śmierci, która chyba czekała tutaj na swoją kolejną zdobycz. Zaraz za nami wszedł do sali niewysoki, krępy lekarz z lekką łysiną na czubku głowy. Spojrzał na mnie przez szkła okularów i lekko skinął głową. Odwzajemniłem ukłon i postanowiłem zabrać się do pracy. Podeszedłem do łóżka, chwyciłem kobietę za rękę i po chwili poczułem ładowanie, a następnie przepływ mojej energii do jej ciała. Stałem przy drzwiach. Lekarz najwyraźniej zaintrygowany moimi czynnościami wpatrywał się we wskazania aparatury monitorującej stan pacjentki.

Byłem w tych sprawach absolutnym laikiem i dla mnie równie dobrze te cyferki i wykresy na monitorach mogły wskazywać temperaturę, i ciśnienie w instalacji centralnego ogrzewania. Ciszę przerwał Oleksiak.

- Panie Wojtku chodźmy teraz do mojej żony. Proszę!

Weszliśmy do pokoju po drugiej stronie korytarza, gdzie wśród podobnej aparatury leżała kobieta w wieku ponad pięćdziesięciu lat. Była nieprzytomna lub głęboko spała.

Twarz miała bladą i blond włosy rozrzucone na poduszce. Oleksiak uklęknął przy niej próbując stłumić szlochanie. Pierwszy raz widziałem go w takim stanie i najnormalniej w świecie zrobiło mi się go żal. Do dzisiaj nie wierzyłem, że jest zdolny do jakichkolwiek ludzkich uczuć. Dotknąłem ręki jego żony i tutaj efekt przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Kiedy tylko nastąpiło wyładowanie, kobieta otworzyła szeroko oczy i gwałtownie usiadła na łóżku.

- Marta!!! - krzyknęła rozglądając się dookoła.

- Już dobrze – cicho powiedział do niej Oleksiak. - Jest w pokoju obok. Wszystko dobrze kochanie. - Przytulił ją mocno.

- Doktorze!!! - rozległ się krzyk pielęgniarki z korytarza.

- Pacjentka z wypadku się budzi! Prędko!

Pobiegłem za nim i przez otwarte drzwi widziałem jak nieprzytomna jeszcze przed kilkoma minutami młoda kobieta krztusi się i próbuje walczyć z respiratorem.

- Gdybym tego nie widział, to nigdy bym nie uwierzył – powiedział lekarz, gdy już przy pomocy pielęgniarki uporał się z usunięciem rurki intubacyjnej z jej krtani i wyszedł na korytarz. – Dobrze, że pan Oleksiak pana tutaj sprowadził. Jego córka prawdopodobnie nie przeżyłaby następnych dwunastu godzin. A swoją drogą, jak pan to robi? Ona miała tak wiele obrażeń wewnętrznych i liczne złamania, a teraz niech pan spojrzysz – wskazał na Martę Oleksiak, idącą przy pomocy swej matki w kierunku łazienki. – Jej matka zniosła tą kraksę lepiej, bo była przypięta pasami, ale i tak czekało ją wielomiesięczne leczenie.

Naprawdę tego nie rozumiem.

- Ja też nie, – uśmiechnąłem się do niego – niech mi pan wierzy, że sam tego nie rozumiem. - Naszła mnie w tym momencie pewna myśl. - Proszę mi powiedzieć panie doktorze, ilu ma pan pacjentów na oddziale?

- Poza tymi kobietami jeszcze sześciu.

- A czy miałby pan coś przeciwko, abym przeszedł się po oddziale i zrobił swoje czary mary przy każdym z nich?

- Oprorowadzę pana, panie... ?

- Nazywam się Wojciech Skłodowski. Ale niech pan mi mówi po imieniu – wyciągnąłem dłoń, którą mocno uściskał.

Poczułem znowu wyładowanie energii, które przeszło do ręki doktora. Drgnął i spojrzał na mnie pytająco.

- Pan na coś choruje doktorze? - spytałem.

- Nie wiem. Jestem w trakcie diagnostyki, bo podejrzewają u mnie nowotwór płuc.

Wyszło coś brzydkiego na rentgenie i teraz czekam za wynikami dalszych badań.

- No to niech się pan za kilka dni znowu prześwietli, bo możliwe, że nic już na zdjęciu nie wyjdzie.

Wróciłem do domu po dwudziestej. Ostatnimi czasy przyjmowałem

ponad pięćdziesiąt osób dziennie. Drzwi garażu praktycznie się nie zamykały, bo postanowiłem, że dla oszczędności czasu nie będę nikogo o nic pytał. I tak nie miało żadnego znaczenia co dolega konkretnemu pacjentowi. Cokolwiek to było, wystarczyło jedno dotknięcie i mogłem brać się za następną osobę. Zastanawiałem się nawet kilka dni temu, czy nie lepiej gdybym wynajął jakąś salę, gdzie mógłbym przemieszczać się pomiędzy chorymi. Na pewno praca szła by dużo szybciej. Zauważyłem, że ludzie przyjeżdżają do mnie z coraz bardziej odległych miejsc. Wczoraj byli rodzice z chorym na nowotwór niemowlakiem spod Rzeszowa, a dzisiaj małżeństwo z Hanoweru. Pomyślałem, że pojutrze jest Sylwester, później Nowy Rok, to znowu trochę odpocznę.

Wielką radość sprawił mi dzisiaj telefon od kolegi z mojego dawnego wydziału w urzędzie. Zadzwonił z życzeniami noworocznymi, bo jutro wyjeżdża w góry. Przy okazji powiedział, że wszyscy są zszokowani postawą Oleksiaka, który z dnia na dzień stał się normalnym człowiekiem i nikt nie wie co się stało. Uśmiechnąłem się do siebie. Jednak każdy może się zmienić, potrzebny jest tylko do tego odpowiedni impuls i motywacja.

Gdy wszedłem do kuchni i nalałem sobie kawy przybiegła moja Amelka z jakąś kolorową gazetą w ręce. Zerknąłem na okładkę z wyraźnie widocznym czerwonym tytułem „Prawdziwe życie”.

- Dziecko, co ty za szmatławce czytasz? - spytałem trochę zawiedziony, bo do tej pory myślałem, że interesuje ją poważniejsza prasa.

- Nie patrz tato na okładkę. W środku jest artykuł o tobie.

- Jaki artykuł? Pokaż.

- Spójrz tutaj – podsunęła mi gazetę pod nos.

Z nagłówka strony krzyczał wielkimi literami tytuł „Cudowne ocalenie ofiar wypadku. Kobiety wyrwane z uścisku śmierci”. Spojrzałem w tekst.

„Wigilijna noc okazała się pechowa dla jadących Mercedesem 53 letniej Janiny O. i jej córki Marty O. lat 28. Na ośnieżonej drodze w

okolicach Inowrocławia auto wpadło w poślizg i rozbiło się na drzewie. Obie kobiety przewieziono do szpitala, gdzie młodszej nie dawano żadnych szans na przeżycie (...) Wojciech Skłodowski, jak wynika z naszych ustaleń, jedynie dotykając ręką uzdrowił obie kobiety, a później resztę pacjentów oddziału (...) nie zdołaliśmy się z nim skontaktować (...) rzecznik szpitala odmówił komentarza (...) informacje pochodzą z dobrze poinformowanego źródła (...) będziemy dalej zajmować się tą sprawą (...) w następnym wydaniu”.

- Ble, ble, ble – skomentowałem te rewelacje. Tekst ozdobiony był sensacyjnymi w mniemaniu redakcji zdjęciami: obdartego z kory drzewa przy drodze, które wskazywała ręką jakaś zupełnie nieznana mi kobieta, wraku samochodu, który na pewno nigdy nie był Mercedesem i budynku szpitala. Na drugiej stronie było moje zdjęcie wykonane z pewnej odległości jak wsiadam do samochodu i naszego domu na tle ośnieżonych drzew. Dwa dni po świętach faktycznie dzwoniła do mnie jakaś kobieta mówiąc, że pisze dla gazety, ale nie miałem z nią czasu rozmawiać, a ponieważ była nachalna to się po prostu rozłączyłem.

Widać, że poradziła sobie we własnym zakresie, ale patrząc na ten tekst byłem pewien, że w najbliższym czasie ponownie mnie zaatakuje. Gdybym wtedy znał wydarzenia najbliższych dni, to ucieszyłbym się na myśl o jej wizycie i przyjąłbym tą dziennikarkę z otwartymi ramionami.

ROZDZIAŁ VI

Gabinet już na pierwszy rzut oka świadczył o zamożności gospodarza i zamiłowaniu do luksusu. Na tle ogromnego okna zajmującego całą ścianę frontową pomieszczenia stało ogromne, lakierowane na wysoki połysk biurko. Na nieskazitelnej powierzchni blatu stał jedynie nowoczesny laptop i przybornik wykonany z czarnego szkła zdobionego złotem. Podłogę przykrywał gruby dywan, a wzdłuż pozostałych ścian znajdowały się olbrzymie, wykonane z ciemnego drewna regały, których fronty zamykały tafle przydymionego szkła. Ilość zgromadzonych w nich ksiąg i woluminów liczona była w tysiącach. Mężczyzna siedzący w skórzanym fotelu za biurkiem dobiegał sześćdziesiątki, jednak wysportowanej sylwetki mógłby mu pozazdrościć ktoś dużo młodszy. Szpakowate krótko przycięte włosy, pewny wzrok i kosztowny, szyty na miarę garnitur z jednej z paryskich pracowni krawieckich powodowały, że biła od niego wielka pewność siebie człowieka posiadającego wielką władzę i wielkie pieniądze.

Mężczyzna czekał na jednego ze swych podwładnych, który z samego rana przerwał mu medytację. To, co od niego usłyszał spowodowało, że serca zabiło mu szybciej, lecz pomimo to wyznaczył termin spotkania za czterdzieści minut. Do umówionej godziny pozostały trzy minuty, lecz wiedział, że jego gość czeka już od dłuższego czasu, żeby nie spóźnić się choć o kilka sekund. Był tego pewien, bo wymagał punktualności. Była według niego podstawą dyscypliny i szacunku. Sam stosował się do niej i nie tolerował żadnych odstępstw. Idealnie w chwili, gdy wskazówka sekundnika wskoczyła na cyfrę „12” rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

- Proszę – powiedział gospodarz i do gabinetu wszedł mężczyzna około czterdziestki z plastikową teczką w ręce. Sylwetka, sposób poruszania i wyraz twarzy wskazywał, że jest to silny i zahartowany

przez życie człowiek. Była to prawda. Należał do elity organizacji, był znakomicie wykształcony i przeszkolony w sztukach walki.

Perfekcyjnie posługiwał się każdą bronią, ale też bez żadnego problemu potrafił zabić człowieka gołymi rękoma. Stanął kilka kroków od biurka, ukłonił się nisko i stanął wyprężony z głową schyloną na znak szacunku.

- Z czym przychodzisz bracie? - spytał gospodarz.

- Wielki Mistrzu, według mnie stało się. Wszystko wskazuje na to, że ktoś odnalazł Klucz – odparł patrząc gospodarzowi prosto w oczy.

- Z czego tak wnioskujesz?

- Najlepiej będzie jak to pokażę - mężczyzna wyjął z teczek kolorowe czasopismo, otworzył na zaznaczonej kartce stronie i położył na biurku.

- Co to za gazeta?

- Polska – odparł. - Ale na odwrocie kartki jest tłumaczenie artykułu.

Gospodarz czytał przez chwilę, po czym wstał i podszedł do regału. Otworzył szklane drzwi, wyjął opasy, bogato zdobiony tom oprawiony w ciemną skórę i wrócił z nim do biurka. Przeglądał kartki przez dość długi czas, po czym zamknął ją i spojrzał na swego rozmówcę.

- Na to czekaliśmy. Ilu ludzi potrzebujesz? - spytał.

- Dwóch Wielki Mistrzu – odparł z radością w głosie, słusznie wnioskując, że otrzyma to zadanie.

- Zgoda. Lecicie dzisiaj. Plan podróży opracuj tak, żeby być na miejscu już jutro.

Pamiętaj bracie, że otrzymałeś właśnie najważniejsze zadanie w swym życiu. Odzyskaj to, a być może zasłużysz na miejsce w Wielkiej Trójce, a poza tym nasz Pan odwdzięczy się wszystkim, którzy umożliwili mu powrót i ponowne panowanie nad Ziemią. Listę potrzebnego wyposażenia wyślij natychmiast naszemu bratu na miejscu.

Spotkanie zakończyło się. Bracia nie potrzebowali wielu słów. Intensywne, wieloletnie szkolenie uwzględniało wszystkie cele bractwa i algorytmy postępowania w konkretnych sytuacjach, niezbędne do osiągnięcia wyznaczonego celu. Kiedy gość wyszedł z gabinetu, gospodarz zamyślił się. Zawsze miał nadzieję, że powołanie Bractwa

wypełni się w trakcie jego rządów. Teren Polski pasował do starych zapisków ze średniowiecza i był idealny do przeprowadzenia obrzędu powrotu. Właśnie tam bracia przeprowadzili ostatnią akcję ukierunkowaną na zdobycie Klucza, ale później ślad się urywał i od wielu wieków nie zdołali go podjąć. Gdy tylko wypełnią misję, na świecie zapanuje nowy porządek, a religie ludzi słabych: chrześcijaństwo, judaizm, islam i buddyzm odejdą w zapomnienie. Będzie to porządek pod władzą jedyne go prawowitego Pana tego świata, a oni staną przy jego boku. Na dwunastą trzeba wezwać członków drugiej grupy. Muszą najpóźniej jutro rano wyruszyć w drogę. Poprowadzi ją osobiście do miejsca, gdzie wszystko się rozpocznie na nowo. Wstał z fotela, podszedł do okna i z wysokości trzydziestego piętra spojrzął na położony w dole Rzym z widoczną w oddali kopułą Bazyliki Świętego Piotra.

Pomieszczenie jak na lokalne standardy było bardzo skromne. Podłogi wyłożono marmurem, a ściany pokrywała biała farba. Jedynym wyróżniającym się akcentem na tle bieli był duży drewniany krzyż. Na tle łukowato zwieńczonych okien z sufitu zwisał kryształowy żyrandol. Przy stojącym pod boczną ścianą dużym biurku siedział na krześle niewielki, odziany w białe szaty człowiek. Z pewnym zdenerwowaniem przeglądał stertę dokumentów ułożonych na blacie tuż obok kilku grubych i najwyraźniej bardzo starych tomów oprawionych w skórę.

- *Avanti!* – zawołał słysząc pukanie. Drzwi otworzyły się i stanęli w nich dwaj mężczyźni. Oboje byli w wieku około czterdziestu lat i ubrani w ciemne garnitury. Jeden z nich pod marynarką miał czarną koszulę i widoczną wyraźnie pod szyją białą koloratkę.

Stanęli przy drzwiach, najwyraźniej czekając na zaproszenie, aby podejść bliżej.

- Podejdźcie moi drodzy! Nie mamy czasu na konwenanse!

Kiedy zbliżyli się, ubrany w biel mężczyzna wstał idąc w ich kierunku i wyciągając rękę na przywitanie. Oboje pochylili się, całując złoty pierścień, który miał nałożony na palcu serdecznym.

- Wasza świątobliwość chciał mnie pilnie widzieć – powiedział mężczyzna w koloratce.

- Tak Salieri, wezwałem was, – odparł smutno Benedykt XVI – bo obawiam się, że dzień decydującej konfrontacji nieuchronnie się zbliża. Bractwo podejmuje właśnie w pośpiechu kroki, aby osiąść i zbeczczyć krew naszego Pana. Musimy podjąć wszelkie kroki, aby im to uniemożliwić. I to za wszelką cenę.

- Niemożliwe! – Vittorio Salieri, opiekun tajnego archiwum watykańskiego prawie krzyknął, lecz widząc zdziwione spojrzenie papieża zreflektował się. – Przepraszam wasza świętobliwość. Uniostłem się.

- Nie szkodzi Salieri. Nie szkodzi. Mamy teraz ważniejsze problemy, a zresztą najbliższe dni będą nas wszystkich kosztować dużo nerwów..

- Co się stało wasza świętobliwość? Przecież Krew Pańska zaginęła całe wieki temu i nikt nie wie tak naprawdę w jakich okolicznościach.

- Drogi Vittorio, znasz Paolo Castellani? – papież wskazał ręką mężczyznę, który wszedł wraz z nim do gabinetu.

- Nie wasza świętobliwość. Nie znam.

- No i dobrze. – Benedykt XVI delikatnie się uśmiechnął. – Masz dostęp do większości tajemnic Watykanu, dlatego proszę poznaj Paolo Castellani, szefa Świętego Przymierza.

Salieri przyjrzał się badawczo stojącemu obok mężczyźnie. Wiedział co prawda o istnieniu Świętego Przymierza, elitarniej watykańskiej jednostki zajmującej się wywiadem w tych częściach świata, gdzie wiara była zagrożona przez lokalne stosunki polityczne i mającej do dyspozycji siły uderzeniowe szkolone przez Navy Seals i Mossad, ale nigdy nie spotkał nikogo, kto by był związany z tą formacją. Jej członkowie działali w głębokim utajeniu. Teraz miał okazję poznać osobiście samego szefa. Gdy spotkali się przed drzwiami gabinetu kilka minut temu pomyślał, że to ktoś z administracji w jakiejś w jego mniemaniu pilnej sprawie. Skłonił głowę w niemym powitaniu. Castellani odwzajemnił gest.

- Słuchajcie moi drodzy, – kontynuował papież – wezwałem was obu, ponieważ razem dysponujecie pełnią wiedzy o historii – spojrzał na Salieri – i teraźniejszości Watykanu – przeniósł wzrok na Castellani. –

Słusznie tu powiedziano, że Krew Pańska zaginęła w średniowieczu. Stało się to na obecnym terytorium Polski, dlatego do chwili obecnej ten teren jest w naszym szczególnym zainteresowaniu, ale również w zainteresowaniu naszego odwiecznego przeciwnika, czyli Bractwa. Umieszczony w ich szeregach agent Świętego Przymierza przekazał informację, że jutro zostaną podjęte przez ich ludzi działania właśnie na terenie Polski. Do tego czasu powinniśmy mieć pełną wiedzę, gdzie dokonają swego obrzędu. Obaj wiecie, o co chodzi? – Mężczyźni w milczeniu skinęli głowami.

Benedykt XVI myślał chwilę szukając czegoś na biurku, w końcu podał im czarno–białą kopię stron z jakiejś gazety.

- Castellani, pan zna język Polski. Proszę to przeczytać.

- Czekał cierpliwie, aż skończy. – I co pan o tym sądzi?

- W zarysach znam historię Krwi Pańskiej i wydaje mi się, że ten artykuł pasuje jak ulał.

- No właśnie. Salieri, dla pana wiedzy jest to kopia artykułu z polskiej gazety.

Opowiada historię uzdrowiciela, który w noc wigilijną uratował dwie ofiary wypadku samochodowego i kilka innych śmiertelnie chorych osób na oddziale szpitalnym, a poza tym od dłuższego czasu skutecznie leczy chorych, nawet takich, wobec których medycyna jest bezradna. Daje to wiele do myślenia. Taki sam wniosek wyciągnięto w szeregach Bractwa, dlatego jutro podejmą kroki, aby zawłaszczyć dla własnych niecznych celów Krew Pańską. My musimy im to uniemożliwić i zabezpieczyć nasz najświętszy skarb. I to za wszelką cenę. W chwili obecnej jest to najważniejsza sprawa. Orientujecie się, że spełnienie ich planów będzie oznaczało koniec dla całego znanego nam świata. Zapanują rządy zła i ciemności, przy których ostatnia wojna światowa będzie się wydawać niewinnym i nic nie znaczącym konfliktem.

- Ten Skłodowski. Co z nim? – zapytał Castellani.

- To musi być dobry człowiek, który nie ma pojęcia z czym się zetknął, a otrzymaną łaskę wykorzystuje do szczytnych celów – odparł papież. – W przeciwnym wypadku nie pomagałby bezinteresownie tym

wszystkim chorym ludziom. Poza tym zdołaliśmy już zebrać na jego temat pewne informacje. Miejscowy proboszcz wypowiedział się o nim w samych superlatywach.

- Jak z nim postąpić? – nie dawał za wygraną. – Tylko odebrać relikwię, czy wtajemniczyć go w sprawę.

- Podejmiesz decyzję na miejscu drogi Castellani. Daję ci wolną rękę. Gdy nie będzie już dysponował Krwią Pańską, to nawet gdyby komuś coś powiedział, najwyżej powstanie z tej historii kolejna teoria spiskowa, jakich zresztą funkcjonuje na tym świecie wiele. Myślę, że ten człowiek może okazać się cennym sprzymierzeńcem. Najważniejsze, żebyś nie wtajemniczał go w szczegóły rytuału, który musi zostać odprawiony w celu otwarcia bramy zła. Lepiej, żeby tego nie wiedział.

- Rozumiem. A kto ma jechać na miejsce, wasza świętobliwość?

- No właśnie, przejdźmy do konkretów. Chcę, żebyście pojechali tam oboje.

Castellani dowodzisz działaniami operacyjnymi, bo masz doświadczenie w pracy w terenie. Salieri odpowiadasz za zabezpieczenie i dostarczenie do Watykanu Krwi Pańskiej.

Zostanie umieszczona w naszym skarbcu, czyli tam, gdzie zawsze było jej miejsce. Mam nadzieję, że pozwoli nam dokonać zmian niezbędnych w dzisiejszych czasach. Siły i środki dobierzcie według własnego uznania. Daję wam całkowicie wolną rękę. Wylot do Polski za dwie godziny samolotem AML, razem z transportem sprzętu do bazy wojskowej – zerknął na kartkę - w Powidzu. Tam podstawione zostaną samochody, które zorganizują nasi ludzie z Archidiecezji Gnieźnieńskiej. Do celu będziecie mieli z tego miejsca około 40 kilometrów. – Podał swym gościom teczkę. – To są dokumenty, które mogą okazać się pomocne. Czy macie jakieś pytania?

- Nie, wasza świętobliwość – odparli obaj jak na komendę.

- Zatem przyjmijcie moje błogostawieństwo i ruszajcie w drogę. Pamiętajcie, że wykonujecie być może najważniejszą misję w dziejach naszego kościoła. Pan z wami – wykonał znak krzyża nad głowami obu mężczyzn, którzy na ten czas uklękli.

Zapowiadał się kolejny pracowity dzień. Takiej ilości samochodów, jaka ustawiała się na drodze dojazdowej do naszego domu, nie widziałem nawet na parkingu przy kościele w dniu Świętego Krzysztofa. A nie było jeszcze siódmej. Z rejestru pacjentów wynikało, że mam na dzisiaj zapisanych pięćdziesiąt sześć osób. Na moje oko samochodów było ze dwa razy więcej.

Siedziałem przy porannej kawie, gdy do kuchni weszła Gosia.

- Spójrz na zewnątrz – mruknąłem. - Pewnie wrócę do domu późnym wieczorem.

- Wytrzymasz – powiedziała pewnym głosem. - Jutro Sylwester, pojutrze Nowy Rok, to trochę dojdiesz do siebie.

- Mam nadzieję. Wiesz co? - zmieniłem temat. - Chwilami marzy mi się jakaś odmiana w tej monotonii.

- A ja cenię sobie nasze unormowane życie. Przynajmniej nic mnie nigdy nie zaskakuje. A ty chciałbyś jakichś przygód.

- Wcale nie przygód – odparłem. - Męczy mnie robienie codziennie tego samego.

Czasami mogłoby wydarzyć się coś nieprzewidzianego.

Wydarzenia następnych dwóch dni spowodowały, że kląłem w duchu sam siebie za to co powiedziałem. Naprawdę wolałbym tą dobrze znaną monotonię.

Trzyosobowy oddział miał wyznaczony punkt zborny na lotnisku Chopina w Warszawie. Każdy z nich podróżował inną trasą, z jedną przesiadką i każdorazową zmianą dokumentów. Wyśledzenie miejsca, gdzie rozpoczęli podróż było więc praktycznie niemożliwe. Do Polski przybyli posługując się dokumentami różnych krajów Unii Europejskiej, których języki mieli biegle opanowane. Zaszczytne służba Bractwu polegała między innymi na kształceniu się w wielu różnych dziedzinach, które mogły okazać się pomocne w dążeniu do ostatecznego celu. Po wzajemnym zidentyfikowaniu w głównym terminalu portu, trzema różnymi taksówkami udali się w oddalone od siebie punkty miasta, skąd komunikacją miejską przemieścili się na dworzec centralny i po prawie

godzinnym oczekiwaniu wsiedli do pociągu pospiesznego do Poznania. Podróżowali w różnych wagonach, wysiedli w Toruniu, a stamtąd również oddzielnie pojechali do odległej o kilka kilometrów wsi. Po niecałej godzinie marszu przez las dotarli do opuszczonych zabudowań, gdzie oczekiwało na nich niezbędne wyposażenie i samochód. Przy pomocy telefonu satelitarnego dowódca grupy nadał zaszyfrowany meldunek o rozpoczęciu akcji i mogli wyruszać w drogę. Niebawem powinni być na miejscu.

Trzeba przyznać, że przyjmowałem kolejnych pacjentów, jakbym pracował na akord. Chyba rozumieli mój pośpiech, bo poza kilkoma wyjątkami nikt nie rozgadywał się ze mną o swych problemach zdrowotnych, ani nie opowiadał historii życia. Krótco przed dwudziestą pierwszą wychodziła ode mnie starsza kobieta z tak zaawansowaną dyskopatią, że groziło jej spędzenie reszty życia na wózku inwalidzkim.

- Wygląda pan na zmęczonego – odparła na odchodne. - Ale po przyjęciu tylu osób i tak się pan świetnie trzyma.

- Zazwyczaj nie ma aż tylu pacjentów. Dzisiaj miałem zapisanych ponad pięćdziesięciu, a chyba drugie tyle przyjechało poza listą – zabrzmiało to jak uzalanie się nad sobą.

- Za mną chyba nie ma już wielu ludzi. Gdy szłam do pana, to za samochodem zięcia, który mnie tutaj przywiózł stały tylko dwa auta.

- Chwała Bogu, to jeszcze kilka minut i idę do domu. Do widzenia pani i dużo zdrowia.

- Bardzo panu dziękuję panie Wojtku. Naprawdę nic nie płacę?

- Nic. Ja nie biorę pieniędzy za leczenie. Wystarczy, że pani podziękowała.

Naprawdę. Jeśli pani bardzo chce, to można wpłacić jakąś drobną kwotę na rzecz takiej fundacji, która wspomaga leczenie chorych dzieciaków. Tutaj ma pani wszystkie potrzebne dane – podałem jej karteczkę. - Oczywiście ta wpłata jest zupełnie dobrowolna.

- To jeszcze raz dziękuję i życzę szczęśliwego Nowego Roku. W co do tej fundacji, to wpłacę pieniążki, teraz może nie, bo po świętach nie zostało wiele, ale zaraz po emeryturze to na pewno. Do widzenia panu. -

Wyszła, a ja pomyślałem, że tak sympatycznej osoby dawno nie spotkałem. Bardzo przypominała mi zmarłą wiele lat temu moją ukochaną babcię.

Stanąłem przy oknie patrząc na wirujące w świetle latarni płatki śniegu, kiedy drzwi garażu ponownie się otworzyły. Odwróciłem się i zobaczyłem dwóch mężczyzn, mniej więcej w moim wieku. Ubrani byli na czarno i mieli bardzo poważne miny.

Określiłbym ich jako smutnych, gdyby nie oczy. Należały do ludzi twardo stąpających po ziemi, którzy z całą pewnością nie potrzebowali mojej pomocy. Przez głowę przeleciał mi potok myśli uzasadniających cel ich wizyty, począwszy od kontroli z urzędu skarbowego, a skończywszy na zbirach, którzy myśląc, że zarabiam tutaj nie wiadomo jakie pieniądze, przyszli mnie okraść.

- Słucham panów? – miało to zabrzmieć pewnie i beznamiętnie, ale wyszło dość piskliwie.

- Możemy usiąść? – spytał jeden z nich. W jego głosie był wyraźny obcy akcent.

Drugi spoglądał na mnie badawczo, co absolutnie mi się nie podobało.

- Proszę bardzo – wskazałem stojące przed moim biurkiem krzesła dla pacjentów, a gdy usiedli, z ulgą również posadziłem swoje cztery litery. – To w czym mogę pomóc?

- Jak pan się już zapewne zorientował, nie potrzebujemy wsparcia w chorobie.

- Tak właśnie sobie pomyślałem – potwierdziłem.

- Jesteśmy tutaj, aby porozmawiać z panem o przyczynie powstania u pana tych nadzwyczajnych zdolności uzdrawiania ludzi.

- Czy chcecie zrobić ze mną jakiś wywiad? – spytałem. – Jeżeli tak, to żegnam.

- Nie jesteśmy z prasy – mówił cały czas ten sam mężczyzna. – I nie robimy z panem wywiadu.

- To kim jesteście?

- Może zanim odpowiem na to pytanie ustalimy pewne fakty.

Milczałem czekając na rozwój sytuacji, co mężczyzna ten wziął zapewne za oznakę zgody, bo kontynuował.

- Nazywa się pan Wojciech Skłodowski, mieszka pan tutaj od niedawna i od pewnego czasu posiada pan zdolności uzdrawiania ludzi z wszelkich chorób, w tym takich, które współczesna medycyna uznaje za nieuleczalne. Czy to się zgadza?

Przytaknąłem w milczeniu, zastanawiając się, do czego moi goście zmierzają.

- Proszę mi powiedzieć, czy przed pojawieniem się u pana tych nadzwyczajnych umiejętności zetknął się pan z czymś niecodziennym lub dziwnym? Może jakimś zjawiskiem albo przedmiotem?

- Mam dwa zasadnicze pytania, - powiedziałem trochę niegrzecznie – po pierwsze, kim pan jest, że tak mnie pan wypytuje, a po drugie, niby dlaczego mam na te pytania odpowiadać.

Ten człowiek był wzorem cierpliwości. Ja na jego miejscu bym się już nieźle wkurzył, tymczasem na jego twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu, po czym udzielił odpowiedzi, od których szczęka prawie opadła mi na podłogę.

- Nazywam się Paolo Castellani. W przeszłości byłem bliskim współpracownikiem papieża Jana Pawła II do spraw bezpieczeństwa Watykanu, a obecnie jestem szefem watykańskiej komórki operacyjno-wywiadowczej działającej pod nazwą Święte Przymierze. Mój towarzysz zaś to Vittorio Salieri, opiekun archiwum watykańskiego i największy ze znanych mi specjalistów od historii kościoła. A propos, nie zna pańskiego języka, dlatego pozwoli pan, niektóre fragmenty naszej rozmowy będę zmuszony mu tłumaczyć. Odpowiedź na drugie pytanie brzmi: ponieważ przypuszczamy, że jest pan w posiadaniu największej relikwii kościoła katolickiego, którą nazywamy Krwią Pańską.

Z dotarciem do celu nie mieli najmniejszego problemu. Co prawda nie byli przyzwyczajeni do tak dużego natężenia ruchu na tak wąskich drogach, ale jazda odbywała się płynnie. Dom zlokalizowali bezbłędnie. Mieli jego zdjęcie na reprodukcji z gazety.

Postanowili zrobić wstępne rozpoznanie z samochodu. Przejechali

Mercedesem Vito drogą biegnącą przy celu. Dowódca zaklął w duchu. Stało tam kilkanaście samochodów. Pewnie wszystkimi przyjechali ci nieudacznicy, chcący wykorzystać moc Klucza dla ratowania swej żalostnej egzystencji. Uśmiechnął się ponuro. I tak im to w niczym nie pomoże. W nowym porządku na świecie będą zupełnie zbędni. Jedyne do czego mogą się przydać, to ofiara dla prawdziwego Pana, który ucieszy się z ich krwi albo niewolnicza praca ku jego chwale.

Pomimo całej pogardy, jaką do nich czuł, dowódca musiał przyznać, że stanowią dość znaczną przeszkodę na drodze do realizacji celu misji. Stanęli w pewnym oddaleniu.

Przez szybę auta lustrował dłuższą chwilę cel zauważając, że czekający w kolejce ludzie wchodzi do usytuowanego obok domu garażu. Z niechęcią wydał polecenie kierowcy, żeby odjechał w kierunku centrum miasta. Wrócą tutaj za dwie godziny.

- Nie rozumiem! – odezwałem się, gdy tętno zwolniło mi do akceptowalnego poziomu i byłem w stanie w końcu coś powiedzieć. - Co to jest Krew Pańska?! Ja nic na ten temat nie wiem! A w ogóle to skąd mam wiedzieć, że jesteście panowie z Watykanu?!

Ten, który przedstawił się nazwiskiem Castellani ponownie się uśmiechnął i wyjął jakiś dokument, który położył na moim biurku. Wziąłem go do ręki. Była to legitymacja, faktycznie wystawiona na takie nazwisko, jakie mi podał, a obok zdjęcia znajdowała się pieczęć z godłem papieskim. Wszystkie napisy były po włosku, dlatego musiałem przyjąć, że ten człowiek mówi prawdę.

- No dobrze – powiedziałem już spokojnym tonem. - Zakładam, że jest pan tym, za kogo się podaje. Niech mi pan, panie ... Paolo wytłumaczy, o co właściwie tutaj chodzi.

Tylko proszę powoli, bo jestem zupełnie skołowany.

Popatrzył na mnie przez chwilę badawczo, w później zaczął mówić do swego towarzysza w tym dziwnym śpiewnym języku, który mi nieodparcie kojarzył się z przygodami Franka Dolasa w słonecznej Italii. Chwilę trwała wymiana zdań i w końcu zamilkli. Patrzyli na mnie badawczo. Czułem się, jakby prześwietlali mnie promieniami rentgena.

W końcu Castellani odezwał się po polsku.

- Przepraszam, ale w tej kwestii musiałem naradzić się z moim towarzyszem.

Mamy co prawda upoważnienie jego świątobliwości Benedykta XVI, aby o ile uznamy to za wskazane wyjaśnić panu tą sprawę, ale decyzję taką musimy podejmować wspólnie i jednogłośnie.

- No i co panowie ustaliliście?

- Jesteśmy zgodni co do tego, że może pan zostać wtajemniczony. Muszę tylko zaznaczyć, że jest pan zobowiązany do zachowania w tajemnicy wszystkiego, o czym się pan za chwilę dowie. Zgadza się pan na ten warunek?

- No jasne, że się zgadzam. Wiele razy zastanawiałem się, skąd nagle wzięły się u mnie te zdolności uzdrawiania. Jeżeli to co panowie chcecie mi powiedzieć zaspokoi moją ciekawość, to ta wiedza jest dla mnie bezcenna.

- Zastanawiał się pan nad tym i nic pan nie wydedukował? - spytał, a w jego głosie wyraźnie wyczułem podejrzliwość. - No dobrze. Musimy jednak najpierw ustalić, czy jest pan w posiadaniu tego, czego poszukujemy od wielu wieków.

- A czego właściwie szukacie? Wiem tylko, że chodzi wam o coś, co nazywacie Krwią Pańską. Co to jest?

- Musimy w naszej opowieści cofnąć się dwa tysiące lat wstecz. Wtedy właśnie na mocy wyroku wydanego przez rzymskiego prefekta Judei Poncjusza Piłata, został skazany na śmierć przez ukrzyżowanie Jezus Chrystus. W archiwum dysponujemy wieloma niepublikowanymi nigdzie dokumentami dotyczącymi tamtego okresu, z których wynika, że przebieg egzekucji był w zasadzie taki, jak to zostało opisane w ewangelii świętego Mateusza. Zaraz po tym, jak dusza naszego Pana odeszła do ojca, obecny przy egzekucji rzymski centurion ugodził go włócznią w lewy bok. I tutaj rozpoczyna się historia największej i najświętszej relikwii, którą nazywamy Krwią Pańską. Tak na marginesie tej właśnie włóczni przez wieki przypisywana była cudowna moc, ale ta historia jest odpowiednikiem dzisiejszej fantastyki, wymyśloną nie

wiadomo przez kogo bardzo dawno temu. Faktycznym źródłem Boskiej Mocy jest inny przedmiot, który nazwano też Świętym Graalem i wokół którego narosło przez wieki mnóstwo legend.

- Czyli szukacie Świętego Grala? - wszedłem mu w słowo. - I ja niby mam mieć kielich, w który została zebrana krew Jezusa po tym jak zmarł na krzyżu? Muszę pana rozczarować panie Paolo. Niestety nie mam żadnego kielicha. No może poza zwykłymi, ale te służą do zupełnie innych, bardziej przyziemnych celów – w założeniu miało to zabrzmieć jak żart.

Nie udało mi się go rozbawić. Facet był śmiertelnie poważny, a nawet wydało mi się, że spojrzał na mnie z lekką przyganą. Poczułem się jak skarcony dzieciak.

- A kto mówi, że szukamy jakiegoś kielicha?

- Przecież mówił pan o Świętym Graalu – absolutnie nic z tego nie rozumiałem.

- Tak mówiłem. Ale Święty Graal, który nazywamy Krwią Pańską nie jest kielichem. Udokumentowane zostało, że relikwia ta ma ścisły związek ze śmiercią Jezusa na krzyżu. Jej losy w pierwszych wiekach naszej ery nie są do końca zbadane. Na kilkaset lat zaginęła i odnalazła się przed pierwszą wyprawą krzyżową w Ziemi Świętej. Tak naprawdę, to jej odzyskanie było jednym z głównych celów krucjaty, choć nikt tego głośno nie mówił. Przy okazji wyprawa ta zapoczątkowała konflikt pomiędzy światem chrześcijańskim, a islamem, który trwa w zasadzie nieprzerwanie do dnia dzisiejszego. Pod koniec dwunastego wieku zdołano przywieźć Krew Pańską do Europy. Początkowo trafiła do Francji, gdzie powstała nazwa Święty Graal, a później w wyniku szeregu zdarzeń przewieziona została najpierw do Opactwa Glastonbury w Anglii, a później na teren obecnej Polski i ukryta w jednym z zamków. Pieczę nad nią miał panujący ówczasie na tych ziemiach książę Bolesław Biały, uczestnik jednej z wypraw, lecz krótko przed planowanym przetransportowaniem relikwii do Watykanu została skradziona i słuch po niej zaginął. Tutaj muszę opowiedzieć panu o istniejącej co najmniej od dziesięciu wieków organizacji, która w swym

założeniu funkcjonuje podobnie jak zakon, choć nie jest powiązana z żadnym oficjalnie istniejącym kościołem. Ludzie ci nazywają siebie Bractwem, a przewodzi im trzech najwyższych hierarchią członków nazywanych Wielką Trójką. Nadrzędnym celem ich istnienia, przekazywanym z pokolenia na pokolenie jest zdobycie Krwi Pańskiej.

- A do czego jest ona im potrzebna? Przecież ta relikwia jest związana z naszym zbawicielem. Sam pan to przed chwilą powiedział.

- Nie wiem na ile znane jest panu Pismo Święte? Zna pan historię kuszenia Jezusa na pustyni w okolicy miasta Jerycho lub jak je nazywają *Er Riha*?

- Znam.

- Otóż okazuje się, że Jezus nie przypadkiem wybrał właśnie to miejsce na odbycie czterdziestodniowego postu i poddanie się próbie, podczas której szatan namawiał go do sprzeniewierzenia się Bogu. Z naszych ustaleń wynika, że Bractwo jest przekonane o istnieniu w tym miejscu jednej z bram prowadzących do piekieł, której otwarcie wiązać się będzie z początkiem panowania Antychrysta na ziemi. Przypuszczamy, że aktywność zła w tym rejonie może być większa niż gdzie indziej i stąd wybranie go na miejsce próby, która przez to stawała się trudniejsza do przejścia. Tym samym porażka szatana stała się bardziej doniosła.

- Nie odpowiedział mi pan, do czego jest im potrzebna Krew Pańska.

- W wielkim uproszeniu Bractwo można nazwać czcicielami szatana, lecz proszę ich nie utożsamiać z powstałym w ubiegłym wieku ruchem, którego członkowie odprawiają swoje rytuały na cmentarzach i wieszają do góry nogami krzyże. Członkowie Bractwa wyznają pogląd, że ich pan został u zarania dziejów zepchnięty przez Boga do podziemi, a następnie ponownie pokonany przez Syna Bożego, gdy ten nie uległ jego pokusom. Wierzą, że zbezczeszczenie Krwi Pańskiej w miejscu, gdzie znajduje się brama do piekieł, spowoduje jej otwarcie i początek rządów zła, które w krwawej walce zwycięży z siłami dobra, czyli taki trochę przeinaczony Armagedon opisany w Apokalipsie Świętego Jana. W dwunastym wieku prawdopodobnie byli bliscy swego celu, ale nie wiemy, co stało się z

relikwią po tym jak została skradziona. Pewne jest jedynie, że Bractwo stało za kradzieżą Krwi Pańskiej.

- A w jaki sposób ma się dokonać to zbezczeszczenie?

- Poprzez przelanie krwi niewinnego człowieka, która spłynie i zmiesza się z Krwią Pańską, a następnie wsiąknie w ziemię. Z tego co w ciągu kilkuset lat zdołaliśmy się dowiedzieć, mają w planach odprawić w tym miejscu rytuał przy użyciu jakichś zaklęć, krwi i ognia, co ma wyzwolić szatana z wygnania i utorować mu drogę do powrotu na Ziemię.

- To Bractwo. Mówi pan, że są wyznawcami szatana. To oni wierzą też w istnienie Boga?

- Dokładnie tak jak my wierząc w Boga, wierzymy jednocześnie w istnienie najwyższego zła, jakim jest szatan.

- A to, co planują zrobić, rzeczywiście spowoduje uwolnienie jakiegoś zła?

- Jeśli stare, znajdujące się w naszych archiwach dokumenty mówią prawdę, to niebezpieczeństwo jest rzeczywiste i jak najbardziej realne.

- Czyli, jak pan mówi, muszą zdobyć relikwię i wykonać jakiś rytuał w miejscu kuszenia Jezusa?

- W wielkim uproszczeniu właśnie tak to wygląda. Naprawdę jednak istnieje co najmniej kilka przejść do miejsca, gdzie Bóg strącił szatana. Są rozsiane po całym świecie.

Cechą charakterystyczną każdego z nich jest swojego rodzaju zabezpieczenie mające postać kamiennej konstrukcji, takiej jak megality lub kręgi ułożone z kamieni. Rytuał, z tego co wiemy można odprawić w każdym z nich, ale podobnie jak w reakcji łańcuchowej otworzy to złu wszystkie drogi na ten świat. Gdyby przejścia klasyfikować pod względem ważności, to koło Jerycha ma numer pierwszy. Tamtędy prawdopodobnie ma wyjść na Ziemię sam Antychryst.

- Wie pan co, panie Paolo. Wszystko to jest bardzo ciekawe, ale może mi pan w końcu powie, w jakim celu mi pan to wszystko opowiedział i czym jest Krew Pańska?

- Słowo Graal najprawdopodobniej powstało od francuskiego *grille*

w czasie, gdy relikwia znajdowała się w tym kraju. Słowo to po polsku oznacza po prostu kratkę, podobnie jak angielskie *grill*. Nie odnosi się więc wprost do krwi, choć tak naprawdę ma z nią ścisły związek.

- Nic z tego rozumiem. – Od nawału informacji zaczynało mi się kręcić w głowie.

- Niech pan słucha dalej panie Wojciechu. Kratką nazwany został symbolicznie

wzór, który powstał na belce krzyża w chwili, gdy z rany zadanej Jezusowi włócznią trysnęła krew. Z naszych źródeł wynika, że utworzyła ona poprzeczny wzór na słojach drewna, wyglądem przypominający kratkę. Ten fragment krzyża został dwa dni po śmierci Jezusa wycięty przez ludzi, których najprawdopodobniej wynajęła Maria Magdalena i złożony w kamiennej puszcze. Sam krzyż został później wrzucony do groty pod Golgotą, a jego fragmenty odnaleziono i podzielono na relikwie dopiero jakieś dwieście lat później.

- Czyli Krew Pańska to kawałek drewna w kamiennej szkatułce? – doznałem nagłego olśnienia.

- Dokładnie tak.

- No to pewnie, że mam tą relikwię panie Paolo. Dopiero teraz skojarzyłem, że ją mam. Znalazłem ją pod ziemią, w miejscu, gdzie na budowie mojego domu odkopano szkielet jakiegoś człowieka.

- A gdzie ona jest, jeżeli można wiedzieć? - spytał z napięciem na twarzy.

Kombinowałem chwilę jak mu to powiedzieć w miarę delikatnie, ale w końcu musiałem się pogodzić, że oboje mogą być głęboko urażeni tym, co powiem.

- W piwnicy mojego starego mieszkania, której jeszcze nie zdążyłem opróżnić z wszystkich gratów. Leży sobie w pudle ze starymi narzędziami.

- Możemy tam teraz pojechać? - we wzroku Paolo wyraźnie dostrzegłem oburzenie.

W sumie to przyznałem mu rację. Największa relikwia jaka istniała na świecie, przyczyna wielu krucjat i jedyna istniejąca pamiątka po

obecności zbawiciela na Ziemi, leżała w brudnym pudle wśród starych rupieci. Faktycznie mógł się czuć dotknięty.

- Możemy, tylko będę musiał wejść do tych ludzi, którym sprzedałem mieszkanie po klucz. Nie jest jeszcze tak późno, to jedźmy od razu. Wejdę tylko do domu powiedzieć żonie, że nie będzie mnie przez chwilę i jedziemy. Mam brać kluczyki, czy macie panowie swój transport?

- Mamy swoje samochody – odparł z pewną urazą w głosie, jakby dla mnie musiało być oczywiste, że wysocy rangą urzędnicy Watykanu mają do dyspozycji samochody, a nie na przykład śmigłowiec.

Kiedy wszedłem do domu i w skrócie opowiedziałem Gosi o ich wizycie, chyba przez chwilę myślała, że upadłem na głowę. Kiedy jednak wspomniałem, że moje

zdolności uzdrawiania ludzi mają najprawdopodobniej ścisły związek z odnalezioną przeze mnie relikwią, i że jest to fragment krzyża z krwią Jezusa, tylko złapała się za głowę i kazała załatwić tą sprawę do końca. Obiecałem jej, że opowiem wszystko dokładnie zaraz jak tylko wrócę i wyszedłem na zewnątrz. Castellani i Salieri czekali przy uchylonej bramie. Gdy tylko wyszliśmy na ulicę doznałem szoku. Przy ogrodzeniu stały zaparkowane dwa Land Rover. Zza domu wyjechał kolejny, w którym znajdowali się trzej ubrani na czarno mężczyźni, a z pomiędzy drzew za domem i gdzieś od strony głównej drogi wyszło kolejnych sześciu. Było już ciemno, ale w świetle latarni dostrzegłem, że byli ubrani w czarne kombinezony taktyczne. Na głowach mieli czapki, a gdy przyjrzałem się dokładniej dostrzegłem, że każdy z nich miał przewieszony na ramieniu pistolet maszynowy.

Castellani przyglądał mi się przez chwilę z rozbawieniem i w końcu powiedział.

- Pan Bóg również ma swoich żołnierzy panie Wojciechu. Nie są to może Zastępy Anielskie z mieczami gorejącymi, ale obawiam się, że ci ludzie są podobnie skuteczni w walce za wiarę i Boga.

- Co widzisz bracie? – dowódca zignorował pytanie. Siedział na tylnym fotelu samochodu z lornetką przy oczach i przez szybę obserwował cel.

Wyraźnie widział w świetle latarni, że z domu wyszedł jakiś mężczyzna, a na zewnątrz czekało jeszcze dwóch. Przed domem stały dwa samochody terenowe. Mogli to być jeszcze ostatni pacjenci, ale coś mu tu nie pasowało. Nie potrafił jednak sprecyzować, o co chodzi. Po chwili się zorientował. Do tej trójki dołączyli następni. Policzył, sześć osób, wszystkie jednolicie ubrane, poruszające się sprężystym krokiem i jeżeli wzrok go nie mylił uzbrojeni. Zaklął w duchu. To muszą być ludzie Watykanu, ale jakim cudem tutaj trafili i to tak szybko. Nie zastanawiał się, co ich tutaj sprowadza, bo to akurat wiedział doskonale. Mieli dokładnie ten sam cel i mogli przeszkodzić w misji. Patrzył, jak gdzieś zza domu wyjeżdża kolejne auto. Po chwili samochody odjechały, ale na miejscu zostali dwaj uzbrojeni mężczyźni. Zajęli stanowiska pomiędzy drzewami. Za ogrodzeniem przy domu stały dwa auta - jakaś terenówka i osobowy.

- Cholera jasna – pomyślał. - Zdążyli przed nami. Mogłem zabrać więcej ludzi. Z ich żołnierzami nie mamy we trójkę żadnych szans. Chociaż? - zastanowił się przez chwilę.

Miał plan. Wyłożył go swym towarzyszom i wszyscy trzej natychmiast przystąpili do jego realizacji.

- Dlaczego zostawił pan dwóch swoich ludzi przy moim domu? - spytał Castellani, gdy ruszyliśmy w kierunku centrum miasta.

- To na wszelki wypadek panie Wojciechu – odparł.

- Nie ufa mi pan? - zacząłem podejrzewać, że mógłby chcieć mnie szantażować w przypadku, gdybym nie chciał mu oddać relikwii i w tym celu zabezpieczył moją rodzinę.

Chyba zorientował się o czym myślę, bo zrobił obrażoną minę.

- Nic z tych rzeczy. Broń boże. To, że mam do dyspozycji świetnie wyszkolonych i uzbrojonych ludzi nie znaczy, że stosuję takie metody. Panie Wojciechu, Święte Przymierze jest formacją militarną, ale używaną jedynie tam i wtedy, gdy nie można nic wskórać dobrym słowem. Zawsze jednak działamy według pewnych reguł, których nigdy nie łamiemy. Powiem panu prawdę. Informację o panu mamy od naszego człowieka w szeregach Bractwa. Wiemy stąd, że planują oni złożyć panu wizytę i

odebrać Krew Pańską.

Do czasu, kiedy relikwia nie będzie w naszym posiadaniu, pan i pańska rodzina jesteście zagrożeni. Znamy reguły działania Bractwa i jedno jest pewne. Gdy tylko Krew Pańska będzie w naszych rękach, wy będziecie już absolutnie bezpieczni. Dlatego musimy jak najszybciej to załatwić. Wtedy my możemy mieć z nimi problemy, ale z tym potrafimy sobie poradzić.

- A wie pan może, co będzie z moimi zdolnościami gdy relikwia będzie już w waszym posiadaniu?

- Jeżeli stare dokumenty mówią prawdę, te umiejętności pozostaną przy panu na zawsze – odparł po krótkiej konsultacji z Salieri.

- Rozumiem. A co się stanie z relikwią, gdy zabierzecie ją z sobą?

- Panie Wojciechu, to nie jest pytanie do mnie. Decyzję podejmie jego świątobliwość Benedykt XVI.

Wjeżdżaliśmy właśnie w blokowisko, gdzie jeszcze nie tak dawno mieszkaliśmy i kierowca spytał o coś Castellani.

- Gdzie jest ten budynek? – zwrócił się do mnie.

Pojechaliśmy dalej według moich wskazówek i zaparkowaliśmy tuż przy moim dawnym bloku wysiadając z samochodów. Komandosi chyba pochowali broń pod bluzy, bo nie była widoczna.

- W oknach jest ciemno – powiedziałem. - A jeżeli nie ma ich w domu?

- Coś wymyślimy. Jest domofon?

- Tak – odparłem.

Właśnie dochodziliśmy do drzwi wejściowych. Castellani wydał jakieś polecenie i jego ludzie rozpięchli się gdzieś na boki. Dwaj zostali z nami. Nacisnąłem osiemnastkę. Rozległ się dźwięk dzwonka i nic. Nacisnąłem jeszcze raz i znowu cisza.

- I co teraz? - spytałem. - Dzwonić do kogoś innego?

- Nie będziemy robili zamieszania.

Powiedział coś do jednego z żołnierzy, który wyjął z kieszeni przedmiot przypominający wkrętak uniwersalny. Przyłożył go do otworu zamka, coś zabrzączało i drzwi stanęły otworem. Tak samo otworzył

wejście do piwnicy.

- Szukamy osiemnastki? - Castellani chciał się chyba popisać spostrzegawczością.

- A właśnie, że nie. Idziemy do piętnastki. Zamieniłem się na piwnice z sąsiadem, bo moja była mniejsza i nie mogłem się w niej pomieścić z wszystkimi gratami – wytłumaczyłem widząc zdziwienie w jego oczach.

Po chwili drzwi stały otworem. Włączyłem światło stwierdzając, że ci, którzy kupili moje mieszkanie nie zdążyli jej zbyt zagrabić. Moja skrzynia stała na swoim miejscu. Zdjąłem pokrywę i zajrzałem do środka. Spojrzałem na Salieri i Castellani'ego.

Obaj wstrzymali oddech, gdy sięgałem do środka.

Dowódca przyglądał się martwym żołnierzom. Sprawdził im kieszenie w kombinezonach. Poza pistoletami maszynowymi MP5 mieli jeszcze broń krótką Sig Saper P228 i zapasowe magazynki. Dobrze, że dodał do wyposażenia swojego niewielkiego oddziału karabin snajperski Sako z noktowizyjnym celownikiem. Po nakręceniu na lufę tłumika i zastosowaniu nabojów z pociskami poddźwiękowymi, zasięg strzału drastycznie malał, ale na tą odległość nie miało to żadnego znaczenia. Zginęli nawet nie zdając sobie z tego sprawy, bo strzały nie były głośniejsze od cichego kaszlnięcia. U obu znalazł na szyi łańcuszki z godłem papieskim, co upewniło go, że przypuszczenia co do nich były trafne.

Postanowił zostawić zwłoki w lesie. Gdy ktoś je odnajdzie, oni będą już daleko. Przejście przez ogrodzenie zajęło chwilę. Podbiegli do budynku i poruszając się wzdłuż ścian zlustrowali wnętrze przez okna. Na kanapie przed telewizorem siedział starszy mężczyzna z chudą jak szczapa nastolatką, a w kuchni krzątała się wysoka brunetka, która chyba coś gotowała. Zostawił jednego człowieka przy oknie tarasowym, a z drugim poszedł w kierunku drzwi. Nie były zamknięte na klucz, co ułatwiało sprawę. Z

ich otwarciem nie mieliby problemu, ale ktoś wewnątrz mógłby usłyszeć hałas. Drzwi w lewo prowadziły do kuchni. Dowódca wszedł do środka. Kobieta była odwrócona tyłem, ale chyba wyczuła ruch za sobą,

bo odwróciła się trzymając w ręce ogromny nóż kuchenny. Gdy zobaczyła w jego dłoni pistolet zbladła. Nóż upadł na podłogę. Gestem kazał jej milczenie. W tym właśnie momencie z salonu rozległ się krzyk.

- Mamo!

Gdy wyjąłem ze skrzyni pordezwiąte resztki miecza mieli zawiedzione miny.

- Co to jest? - spytał Castellani.

- Ten miecz był też przy szkielecie. - Odłożyłem go na bok.

- A Krew Pańska?

- To chyba o tą rzecz wam chodzi – powiedziałem wyjmując ze skrzyni kamienne pudełko i podając je na otwartej dłoni.

Takiej reakcji się nie spodziewałem. Castellani i Salieri ledwie spojrzeli na pudełko i natychmiast padli na kolana nie zważając, że brudzą spodnie o zakurzoną posadzkę.

Złożyli ręce i zaczęli odmawiać jakąś modlitwę. O ile dobrze poznałem, mówili po łacinie.

Stałem tak, nie bardzo wiedząc jak mam się zachować. Wreszcie skończyli i podnieśli się z kolan. Patrzyli na relikwię z takim namaszczeniem, że nie śmiałem się odezwać. Milczenie przerwał Salieri, który tłumaczył coś Castellaniemu. Ten pokiwał głową.

- Panie Wojciechu, Vittorio mówi, że aby wszystko odbyło się tak jak trzeba powinien pan sam przekazać mu Krew Pańską. Podobno tej relikwii nie wolno odbierać samemu od dotychczasowego posiadacza. W związku z tym muszę zapytać, czy oddaje nam pan tą relikwię dobrowolnie? - zabrzmiało to bardzo uroczyście. Nie wiem dlaczego, ale przypomniał mi się w tym momencie jakiś stary film o wampirach, gdzie chyba Drakula przed wejściem do pokoju pytał jakiegoś nieszczęśnika, czy zostanie tam wpuszczony dobrowolnie, bo tylko za jego zgodą mógł tam wejść.

- Tak panie Castellani, oddaję ją wam – odparłem i podałem im kamienne pudełko.

Salieri wyjął bogato zdobioną chustę i rozłożył ją na dłoniach. Położyłem na niej relikwię.

- Mogę o coś spytać? - nurtowały mnie wyryte na pudełku wyrazy.
- Proszę – odpowiedział Castellani.
- Co oznaczają te litery, bo zorientowałem się tylko, że tworzą tak zwany magiczny kwadrat?

- To oprócz symbolu ryby najstarszy znak chrześcijan. W tym kwadracie zaszyfrowane są słowa, od których rozpoczyna się nasza najstarsza modlitwa „Pater Noster”. Jeśli je wykreślić, pozostają dwie litery „A” i „O”, którym odpowiadają greckie Alfa i Omega, czyli początek i koniec.

Salieri owinął pudełko w chustę i schował do podręcznej torby, którą przewiesił przez ramię.

- Nasza misja w tym momencie się skończyła. Odwieziemy pana do domu i wracamy do Watykanu – powiedział obserwujący go w skupieniu Castellani.

- A proszę mi jeszcze powiedzieć, - spytałem – czy ten miecz ma jakieś znaczenie.

- Tylko takie, że najprawdopodobniej należał do człowieka z Bractwem, który skradł Krew Pańską i zginął w trakcie ucieczki. Ten znaleziony przez pana szkielet musiał należeć do niego.

- Ciekawe, co dokładnie wtedy się stało i jak zginął?

- Tego nigdy się nie dowiemy. W dwunastym wieku te tereny pokryte były dziewiczymi lasami. Być może wpadł do jakiejś jamy, nie mógł się wydostać i tam zmarł, albo utonął w jakimś rozlewisku, ale to są tylko przypuszczenia. Może chodźmy już stąd.

Ten sam człowiek, który wcześniej z taką wprawą otwierał drzwi, teraz je pozamykał i wróciliśmy do samochodów. Byłem pod wielkim wrażeniem dzisiejszego

dnia. Miałem właśnie okazję poznać prawdziwą historię Świętego Graala. W przeszłości czytałem kilka książek nawiązujących do tej tematyki, przyznam, że nawet interesujących.

W tym jednak momencie teorie wysnute przez ich autorów wydały mi się zabawne i po prostu śmieszne.

Gdy podjechaliśmy pod dom, zaniepokoiłem się. Drzwi wejściowe

były uchylone, co przy panującym dzisiaj mrozie było co najmniej dziwne. Chciałem natychmiast tam pójść, ale Castellani powstrzymał mnie zdecydowanym chwytem za rękę.

- Niech pan poczeka panie Wojciechu – powiedział wyraźnie zdenerwowany.

- Dlaczego? W moim domu jest coś nie tak!

- Widzę, ale nie puszczę tam pana samego. Poza tym nie mamy kontaktu z moimi ludźmi, którzy tutaj pozostali. Najpierw idą komandosi. Później my. – Po raz pierwszy w trakcie naszej krótkiej znajomości miałem okazję zobaczyć Castellaniego w akcji. Ten człowiek był urodzonym dowódcą. Wydał szybko jakieś polecenie do mikrofonu wpiętego w klapę marynarki. Z samochodów wysypali się jego ludzie, którzy sprawnie otoczyli dom, a dwaj z bronią gotową do strzału podeszli do drzwi wzajemnie się ubezpieczając. Po chwili byli już wewnątrz, a po kilku minutach jeden z nich dał znać, że możemy wejść.

Wewnątrz wszystko wyglądało tak, jak pół godziny temu. Gosi i Amelki nigdzie nie było. Brakowało ich butów i kurtek, a w salonie leżał tata Marian z zakrwawioną głową. Przykucnął przy nim żołnierz Castellaniego, który coś powiedział gdy tylko nas zobaczył.

- Co on mówi? – spytałem przerażony tym widokiem.

- Temu mężczyźnie nic nie będzie. Ma tylko stłuczenie i sporą ranę na głowie. Kto to jest?

- Mój teść Marian – odpowiedziałem podchodząc do i dotykając jego ręki.

Castellani, Salieri i obecni w salonie żołnierze patrzyli zafascynowani jak rana na głowie taty w mgnieniu oka zamknęła się, a on sam otworzył oczy i usiadł.

- O Boże, Wojtek! Tu byli jacyś uzbrojeni ludzie! Zabrali Gosię i Amelkę!

Próbowałem ich bronić, ale dostałem w głowę! Co się tutaj dzieje?!

Spojrzałem na Paolo, ale on właśnie słuchał czegoś przez słuchawkę wetkniętą w ucho. Odpowiedział swojemu rozmówcy i spojrzał na mnie ponurym wzrokiem.

- Moi dwaj ludzie nie żyją. Leżą pomiędzy drzewami za domem. Wygląda na to, że Bractwo uprowadziło pana rodzinę. Będą chcieli Krew Pańską w zamian za ich uwolnienie.

- I co zrobimy? – czułem się bezradny jak nigdy dotąd.

Myślał przez chwilę spoglądając to na mnie, to znów na Salieri. W końcu podjął decyzję.

- Skontaktujemy się z jego świątobliwością. Na razie proponuję czekać, bo na pewno się do pana odezwą z propozycją wymiany. Zostawię was na razie samych. Idę zobaczyć na zewnątrz.

- Może zadzwonić na policję? – zaproponował teść.

- Żadnej policji – odpowiedział Castellani. – To by tylko pogorszyło sprawę. Moich zabitych ludzi zabieramy do samochodu. Nie może pozostać żaden ślad naszej obecności w tym miejscu. To są sprawy pomiędzy nami, a Bractwem. Nikt inny nie może się w to mieszać.

Siedzieliśmy z teściem na kanapie spoglądając na siebie ponuro. Castellani wrócił po kilku minutach. Przyniósł z sobą jakieś zagadkowe urządzenie. Kiedy je rozłożył okazało się, że to telefon satelitarny. Cekał jakiś czas za połączeniem, a później zaczął wyrzucać z siebie słowa z szybkością karabinu. Stał przy tym prawie na baczność.

Rozmowa trwała kilka minut, po czym wyłączył telefon.

- Rozmawiałem z Ojcem Świętym Benedyktem XVI. Jest zaniepokojony tym co się wydarzyło.

- Powiedział co mamy robić, gdy zadzwonią w żądaniach?

- Tak. Powiedział, że Krew Pańska za żadne skarby świata nie może wpaść w ręce Bractwa.

- Przecież oni wtedy zabiją moją żonę i córkę! – wykrzyczałem.

- Powiedział też, - kontynuował nie zważając na moje krzyki – że mamy panu pomóc i doprowadzić do uwolnienia pańskiej rodziny.

- Ciekawe jak to zrobić? Przecież oni wymienią moje dziewczyny tylko na relikwię. A jej nie możemy im oddać.

- Panie Wojciechu, jego świątobliwość pomimo podeszłego wieku w kilka sekund podsunął gotowe rozwiązanie tego problemu. Papieżem nie zostaje przypadkowa osoba.

- Co takiego powiedział?

- Dwie rzeczy. Po pierwsze, że opakowanie nie jest relikwią, a po drugie, że nikt poza panem nie wie jak Krew Pańska naprawdę wygląda.

Patrzyłem na niego nic nie rozumiejąc. Teść z kolei patrzył na nas obu jak na kosmitów. Nie dziwiłem się. W końcu o niczym nie miał pojęcia. Po chwili zastanowienia zrozumiałem.

- Genialne – powiedziałem. Castellani spojrzał na mnie z uznaniem. W tym momencie zadzwonił mój telefon. Na wyświetlaczu pulsowało „Gosia”.

Skinąłem głową w odpowiedzi na pytające spojrzenie Paolo i odebrałem.

- Słucham.

- Wojtek. To ja – usłyszałem głos mojej żony. – Jestem z Amelką i nic nam nie jest.

Co z tatą? - Była zdenerwowana, ale bardzo chciała, żebym tego nie zauważył.

- Poza drobnym stłuczeniem nic mu się nie stało. Już go wyleczyłem. Gdzie jesteście?

- Nie wiem. Ci ludzie zabrali nas gdzieś samochodem, ale nie wiem dokąd. Cały czas jedziemy. Słuchaj Wojtek. Oni chcą, żebyś im przywiózł tą rzecz. Podobno wiesz, o co chodzi. Jeden z nich kazał ci tak powiedzieć. Wtedy nas puszczą. Mówi, że masz być sam, bo w przeciwnym wypadku – z trudem powstrzymywała płacz – zrobią nam krzywdę.

- Rozumiem Gosiu. Powiedz, że im to przywiozę. - Dobrze, że zanim pojechałem z Castellanim po relikwię wytłumaczyłem jej pokrótce o co w tym wszystkim chodzi, bo byłaby zupełnie zdezorientowana.

- Ten pan jest obok mnie i słucha. Mówi, że robisz bardzo mądrze i żebyś nie przyjeżdżał z jakimś Świętym Przymierzem. Wiesz, o co chodzi?

- Tak, wiem. Powiedz mu, że będę sam i przywiozę to, czego żądają. Gdzie i kiedy mam przyjechać?

- On mówi, że zadzwoni dokładnie za piętnaście minut i wtedy ci powie. Będzie dzwonił z mojego telefonu. Pyta, czy rozumiesz?

- Powiedz, że wszystko doskonale rozumiem i zrobię dokładnie tak jak będzie chciał. Najważniejsze dla mnie, żebym przywiózł ciebie i Małą z powrotem do domu.

- On mówi, że jak to dostarczysz, - powiedziała po chwili - to niedługo będziemy wszyscy w domu, nikomu nic się nie stanie i nigdy więcej się z nimi nie spotkamy. - Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza, ale w tle słyszałem męski głos. Po chwili Gosia spytała. - Ten pan pyta, czy masz to przy sobie, czy dałeś tym ludziom, z którymi jechałeś?

Castellani, który trzymał ucho przy telefonie wskazał na siebie palcem i przecząco pokręcił głową. Zrozumiałem, o co chodzi.

- Mam przy sobie, dałem im zwykły kawałek drewna, który przeleżał w wodzie i wyglądał na bardzo stary. Nie chciałem stracić tych zdolności jakie teraz mam. - Udało mi się powiedzieć to z zażenowaniem, jakbym wstydził się tego, co zrobiłem i chyba byłem wiarygodny.

- Wojtek, teraz masz czekać za telefonem. Kocham cię, a Amelka przesyła buziaki.

- Też was bardzo kocham. Zaraz jak tylko będę wiedział gdzie, to natychmiast po was przyjadę. - Ostatnie słowa powiedziałem w próżnię, bo połączenie zostało przerwane.

- Jestem pod wielkim wrażeniem - powiedział Castellani. - Potrafi pan kłamać jak z nut. Ja bym panu uwierzył. Chociaż i tak zastanawia mnie, że trochę zbyt łatwo to poszło.

- Mam nadzieję, że oni też uwierzyli. Przecież nie wszystko na tym świecie musi być skomplikowane. Co robimy dalej?

- Salieri z Krwią Pańską i dwoma ludźmi jedzie na lotnisko i wraca do Watykanu, a my zabieramy się do pracy.

Budynek wyglądał na opuszczony od wielu lat, choć tak naprawdę były to tylko pozory. Z zewnątrz przypominał zapuszczoną rudę o oknach zabitych deskami i dachem porośłym mchem. Ogrodzony był solidnym ceglany murem z drewnianą bramą, z której płatami schodziła farba o niemożliwym do odgadnięcia kolorze. Aby zapobiec wizytom nieproszonych gości, terenu pilnowały dwa olbrzymie czarne

rottweilery, specjalnie wyszkolone, codziennie dogłądane i karmione przez mieszkającego kilkaset metrów dalej nadzorcę. Człowiek ten był najniżej zaszeregowanym członkiem Bractwa. Zwerbowano go wiele lat temu właśnie ze względu na miejsce zamieszkania i pewne specyficzne predyspozycje. Mężczyzna był odludkiem wrogo nastawionym do ludzi. Przystąpił na złożoną mu propozycję, tym bardziej, że od tej chwili nie musiał martwić się o środki na utrzymanie. Zakupił opuszczony dom za pieniądze Bractwa, wyremontował go i wyposażył zgodnie z wytycznymi. Najcięższą pracą do wykonania, było poprowadzenie głęboko pod ziemią kabla elektrycznego, który połączył jego dom z nowo nabytym.

Spowodowało to, że nikt nie interesował się opuszczoną rudera, a jedynym płaconym zobowiązaniem był podatek od nieruchomości. Informacja o przyjeździe braci trochę go zaskoczyła, bo normalnym stanem, do jakiego zdążył już przywyknąć było pilnowanie nieruchomości i utrzymywanie jej w stanie ciągłego pogotowia. Zdawał sobie sprawę z celu swych działań, ale w duchu miał nadzieję, że taki stan rzeczy będzie trwał wiecznie i nic go nie zakłóci. Z pewnym smutkiem zdał sobie sprawę z rychłego zakończenia misji.

Po zakończeniu zadania przez braci będzie musiał to miejsce opuścić na zawsze i nigdy więcej tutaj nie wróci.

Dom ogrzewany był grzejnikami elektrycznymi w celu wyeliminowania śladów obecności jakichś osób. Nawet lekki dym unoszący się z komina mógłby zwrócić czyjąś uwagę. Światło palących się wewnątrz lamp skutecznie tłumily maskujące okna deski. Do wielkiej izby zajmującej część parteru przylegał mały pokój z ustawionym metalowym łóżkiem i przykręconym do podłogi stolikiem z ławą. Gosia z Amelką przebywały tutaj od kilkadziesiątu minut i próbowały jakoś odnaleźć się w tej sytuacji. Trzej mężczyźni, którzy zabrali je z domu dyskutowali o czymś zawzięcie. Ich głosy dobiegały przez drzwi, ale mówili w jakimś dziwnym języku. Jeden z nich porozumiewał się dość dobrze po polsku, choć z wyraźnym obcym akcentem. Od chwili, kiedy tutaj przyjechały, tylko raz zabrali je do dużej izby, żeby porozmawiała przez telefon. Gosia po rozmowie, którą odbyliśmy zanim pojechałem z

Castellanim po relikwię, była dość dobrze zorientowana o co chodzi w tych wydarzeniach, ale udawała, że nic nie wie. Drgnęła na dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Do pomieszczenia wszedł mężczyzna, który mówił po polsku.

- Chodź – powiedziała, ponaglając ją gestem ręki.

- O co chodzi?

- Musisz zadzwonić do męża. Przywiezie nam tą rzecz i pojedziecie do domu.

- Obiecujesz?

- Tak. Chodź już.

Podeszła do mężczyzny, który podał należący do niej telefon.

- Powiedz, że ma zaraz wyjechać w kierunku Torunia. Za pół godziny wyślemy mu współrzędne. Ma je wprowadzić do nawigacji i dojedzie do miejsca, gdzie będziemy na niego czekać. Stamtąd przywieziemy go tutaj, odda nam tą rzecz i wrócicie do domu.

Tylko powiedz jeszcze raz, że ma być sam. I nie ma robić niczego głupiego.

- Tak mu powiem – odparła.

Siedział na tylnym fotelu, za kierowcą. Drugi mężczyzna zajmował przedni fotel.

Jechali właśnie boczną drogą, wzdłuż której przez kilka kilometrów ciągnął się las.

Miejsce nadawało się idealnie. Nie patrząc w dół wyjął z kabury na łydce wykonany w większości z lekkich polimerów pistolet IMI SP-21 Barak, odbezpieczył i czekał na odpowiedni moment. Po kilkuset metrach kierowca musiał zwolnić, bo droga dość ostro skręcała w prawo. Przyłożył mu broń do głowy i kazał zatrzymać samochód. Kątem oka zauważył podejrzanę zachowanie drugiego mężczyzny. Jego ręka powoli przesuwiała się w kierunku przypiętej do pasa kabury. Niewiele myśląc skierował pistolet w jego stronę i pociągnął za spust. Wystrzelony z niewielkiej odległości pocisk kalibru 9 milimetrów wszedł w okolicę skroni i wyszedł z drugiej strony ciągnąc za sobą gejzer odłamków kości,

krwi i szarej masy mózgowej. Szyba w drzwiach rozprysła się w drobny mak. Zaklął w duchu. Przy panującym na zewnątrz mrozie ciężko będzie prowadzić auto z rozbitą szybą. Kierowca omal nie wypadł z drogi, ale szybko opanował pojazd i zatrzymał się na środku jezdni. Kazał mu wysiąść trzymając ręce nad głową i odejść od samochodu. Gdy był pewien, że nie zdoła go zaskoczyć wyszedł swoimi drzwiami i strzelił mu w twarz zamieniając ją w bezkształtną masę. Kilka minut zajęło mu zaciągnięcie ciał do rowu i prowizoryczne przysypanie ich śniegiem. Usiadł za kierownicą, zapiął kurtkę pod szyją, naciągnął kaptur na głowę i ruszył. Na pierwszym skrzyżowaniu zawrócił. Jego cel znajdował się w kierunku przeciwnym do tego, w którym wcześniej jechali. Nawiązał łączność z braćmi. Dowódca grupy wyraźnie ucieszył się z powodzenia tej części misji.

Pomimo wiejącego w kabinie lodowatego wiatru Salieri uśmiechnął się do siebie. Od tej pory będzie mógł już żyć wśród swoich, a niedługo dołączy też do grona wybrańców, którzy będą mieć władzę nad całym światem.

- Naprawdę bardzo mądrze pan zrobił – pochwalił mnie Castellani. - Nie przypuszczałem nawet, że takie oprogramowanie jest w normalnym użytkowaniu.

- To naprawdę nic takiego – odparłem. - Ten program znalazła w internecie moja córka i tak się nim zachwycała, że zainstalowała go we wszystkich naszych telefonach.

Powiedziała, że może się przydać, jeśli komuś z nas skradną telefon i w ten sposób łatwo będzie go odszukać. Nie przypuszczałem, że tak bardzo się przyda. A okoliczności, w jakich będzie wykorzystany, nie wyśniłbym w najbardziej zwariowanych i nieprawdopodobnych koszmarach.

Jakieś dwa miesiące temu Amelka znalazła w internecie informację o programie instalowanym w telefonach komórkowych, który po wysłaniu wiadomością tekstową odpowiedniej komendy uruchamiał wbudowany moduł GPS, a następnie przekazywał zwrotną informację o jego położeniu geograficznym. Nadesłane dane można było natychmiast

zobrazować na wgranych w komórkę mapach. Castellani uruchomił laptopa, wpisał w wyszukiwarkę nadesłane przed chwilą przez program współrzędne i po chwili przyglądaliśmy się fotografii satelitarnej, na której widać było las i położone wśród drzew zabudowania.

- No to ich mamy – zakomunikował. - Niech pan rusza zgodnie ze wskazówkami, a my pojedziemy prosto do celu i tam na pana zaczekamy. Proszę robić wszystko co każą, a resztę proszę zostawić nam. Będziemy nad wami czuwać niczym Anioł Stróż.

Dwie minuty później wsiadłem do samochodu, na fotelu pasażera położyłem niewielkie zawiniątko, włączyłem nawigację i ruszyłem w nieznane. Szczerze powiedziawszy miałem duszę na ramieniu, bo od bardzo dawna nie byłem w sytuacji, która wiązałaby się z tak realnym zagrożeniem dla mnie, albo dla moich dziewczyn. Droga była prawie pusta i koła mojego Jeepa dość szybko pokonywały kolejne kilometry.

Drgnąłem na dźwięk sms-a. Zatrzymałem samochód i spojrzałem na wyświetlacz.

Wiadomość nadano z telefonu Gosi, a jej treść była bardzo zwięzła: „52°57'38"N, 18°32'29"E. Srebrny Mercedes Vito”. Wprowadziłem współrzędne do nawigacji. Okazało się, że jest to punkt przy skrzyżowaniu dróg krajowych nr 15 i 10, tuż przed Toruniem.

Patrzyłem chwilę na wyświetloną mapę i skojarzyłem, że jest w tym miejscu spora zatoka, chyba z przystankiem autobusowym. Obliczyłem szybko, że powinienem tam dojechać za niecałe pół godziny. Ruszyłem w dalszą drogę zatopiony w ponurych myślach. Castellani był pewien, że wszystko ułoży się według jego planu. Musiałem przyznać, że choć ułożony naprędce był jednak sensowny, jednak zawsze coś mogło pójść nie tak jak zakładaliśmy.

Cieszyło mnie, że zaangażował się w pełni aby mi pomóc, ale była to jedyna pocieszająca rzecz w całej tej sytuacji. Salieri i dwaj żołnierze zostali wysłani w drogę powrotną do Watykanu zabierając z sobą relikwię, co sprawiło mu widoczną ulgę. Nie pozostawało mi nic innego, jak zastosować się do żądań członków Bractwa i mieć nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Jedyne co mnie interesowało, to

powrót do domu z moimi kobietami i jak najszybsze puszczenie całej tej sprawy w niepamięć. Moi watykańscy sprzymierzeńcy już pewnie zbliżali się do celu. Żeby tylko wszystko poszło zgodnie z założeniami, a będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Nagle zatęskniłem za zmienawidzoną jeszcze do niedawna rutyną, spokojem mojego garażogabinetu i pacjentami, z ich wszystkimi, niekiedy banalnymi problemami.

Nawigacja wskazywała, że do celu podróży zostały dwie minuty. Zwolniłem i nerwowo zacząłem wypatrywać opisanego we wiadomości samochodu. Stał dokładnie tam, gdzie przewidziałem. Nie wyróżniający się niczym szczególnym Mercedes Vito, sądząc po kształcie nadwozia dość leciwy, stał w zatoce autobusowej z włączonymi światłami pozycyjnymi. Dla postronnego obserwatora wyglądał, jakby kierowca zatrzymał się na chwilę, żeby odpocząć. Spostrzegłem, że silnik pracował, bo z rury wydechowej wydobywał się delikatny obłoczek spalin. Stałem tuż za nim i w tym momencie opuściła się szyba w drzwiach kierowcy. Kierowca kiwnięciem ręką dał mi znak, żebym podszedł.

Wyłączyłem silnik, zabrałem zawiniątko z fotela pasażera i poszedłem w jego kierunku. Z przodu siedział tylko jeden mężczyzna. Niewiele mogłem zaobserwować, bo w kabinie było ciemno. Gdy doszedłem, drzwi się otworzyły i kierowca wysiadł na zewnątrz. Był średniego wzrostu, szczupły, ubrany w podniszczoną kurtkę i ortalionowe spodnie. Na głowie miał ciemną kominiarkę. Wyraźnie widziałem tylko jego oczy, ciemne i takie jakieś dzikie. Nie mam żadnego odniesienia, ale nazwałbym je oczami fanatyka. Wydaje mi się, że fanatyk powinien mieć właśnie takie oczy, chociaż nigdy żadnego nie spotkałem.

Mężczyzna nic nie mówił. Gestem kazał mi podnieść ręce i przesunął wzdłuż mojego ciała jakimś urządzeniem. Prawdopodobnie był to jakiś wykrywacz metalu lub obwodów elektronicznych, bo cichutko zapiszczał w okolicy kieszeni, gdzie miałem komórkę.

Nakazał, żebym ją wyjął i podał. Ku mojemu oburzeniu rzucił telefon natychmiast na ziemię i rozdeptał podeszwą buta. Sprawdził mnie raz

jeszcze i najwyraźniej zadowolony z rezultatu pokazał, że mam wsiąść z nim do Mercedesa. Ruszył i po kilkunastu metrach skręcił w lewo. Włókł się z niewielką prędkością. Po kilku kilometrach skręcił w jakąś gruntową drogę. Była pokryta świeżym śniegiem i prawdopodobnie nieuczęszczana, bo nie był ubity. Przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Moje zdenerwowanie sięgało zenitu, gdy z pomiędzy drzew wyłoniły się zabudowania jakiegoś gospodarstwa.

Przejechał obok nich nie zwalniając i przez cały czas nic nie mówiąc. Kilkaset metrów dalej zobaczyłem jakiś dom otoczony murem. Właśnie w tym momencie ktoś otwierał bramę. Mężczyzna wjechał na podwórze, zaparkował przy budynku i wyłączył silnik.

Wysiadł, a po chwili dołączył do niego ten, który otwierał bramę. Obaj stanęli patrząc w moim kierunku. Westchnąłem ciężko i również wyszedłem na zewnątrz. Było cicho jak makiem zasiał. Gdzieś zza domu słyszałem tylko szczekanie psów. Właściwie określenie dom w odniesieniu do rudery, przy której staliśmy było wielkim nieporozumieniem.

Sprawił wrażenie, jakby za chwilę miał się zawalić. Okna pozabijane były deskami, ze ścian odpadał płatami stary tynk, a dach wyraźnie ugiął się pod własnym ciężarem.

Obszedłem samochód i stanąłem bacznie się im przyglądając. Kierowca furgonetki zdjął czapkę. Wyglądał na cudzoziemca. Śniada cera i ciemne oczy zdradzały pochodzenie gdzieś z południa. Drugi mężczyzna zupełnie do niego nie pasował. Ubrany był w brudne spodnie, waciak, czapkę uszankę i gumofilce. Z nieogoloną gębą, brudnymi rękami i niemożliwym do określenia wiekiem pasował do tej rudery, przy której staliśmy. Typowy leśny dziadek.

- Witam pana – milczenie przerwał Śniady, jak go przezwałem. Jednak nie był niemową. Mówił z lekkim obcym akcentem, jakby trochę śpiewnie. - Chciałem pana na wstępie przeprosić, że byliśmy zmuszeni zaprosić do siebie pańską rodzinę, trochę wbrew ich woli. - Uśmiechnął się, ale oczy pozostały czujne i zimne. Przypominały oczy kobry szykującej się do ataku. Ten człowiek na pewno nie miał żadnych

skrupułów w dążeniu do wyznaczonego celu. - Czy ma pan to, o co prosiłem?

- Mam – odparłem, myśląc jednocześnie, że zamiast „prosiłem” powinien użyć słowa „wymusiłem”. Pokazałem mu trzymane w ręce zawiniątko. Spojrzał i skinął głową.

- Bardzo dobrze. Proponuję, żebyśmy weszli do środka i załatwili do końca nasze sprawy. Nie jestem przyzwyczajony do takich temperatur. Tutaj dobrze by się czuły tylko pingwiny – usiłował być dowcipny, nawet się uśmiechnął, ale było to tylko skrzywienie ust. Reszta twarzy była jak sparaliżowana. Ja pewnie robię taką minę siadając w fotelu u dentysty. Ruszył w kierunku drzwi rudery. Poszedłem za nim i po skrzypieniu śniegu zorientowałem się, że leśny dziadek zabezpieczał tyły, i zamykał nasz mały pochód.

Śniady otworzył drzwi i wszedł do środka. Kiedy tam zajrzałem, dosłownie zdębiałem. Wnętrze zupełnie nie pasowało do tego, czego mógłbym się spodziewać widząc dom z zewnątrz. Za drzwiami na metalowym pałku była zawieszona gruba kotara chroniąca przed zimnem po ich otwarciu, która miała też dodatkową zaletę. Pochłaniała zapalone w środku domu światło, gdy ktoś wchodził lub wychodził. Znajdujące się za nią pomieszczenie miało podłogę wyłożoną płytkami, czyste i równe ściany pomalowane na biało i było jasno oświetlone kilkoma lampami zawieszonymi pod sufitem. Środek zajmował spory stół. Na jednym krześle siedział mężczyzna wyglądający jak bliźniak Śniadego. Właśnie w tym momencie ostentacyjnie czyścił szmatką trzymany w ręce pistolet maszynowy. Pewnie miało to na celu pozbawienie mnie resztek pewności siebie.

Czułem się mniej więcej tak samo pewnie, jak owca w środku stada wygłodniałych wilków, więc ta demonstracja wydała mi się absolutnie niepotrzebna. Zauważyłem stojące na stole cztery kubki, więc musiał być jeszcze jeden. Może jest gdzieś na zewnątrz i obserwuje okolicę. Poza stołem były tam cztery metalowe łóżka nakryte kocami i rząd szafek pełniących rolę prowizorycznej kuchni. Stał na niej piecyk gazowy, a obok niewielka lodówka. W ścianach nie było śladu okien, a dokładnie

naprzeciwko drzwi wejściowych były jeszcze jedne, obite blachą i wyposażone w solidnie wyglądające zasuwę.

- Niech pan usiądzie – nie znoszącym sprzeciwu głosem powiedział Śniady wskazując mi ręką jedno z łóżek. Wykonałem polecenie bez sprzeciwu. Wejście miałem po prawej stronie, a przed sobą resztę pomieszczenia. Śniady usiadł na krześle obok swojego kłona, a leśny dziadek w pobliżu drzwi. Patrzyli na mnie badawczo, a ja czułem się coraz bardziej nieswojo.

- Na co czekamy? – postanowiłem przerwać milczenie.

- O tym porozmawiamy za chwilę – odparł Śniady. – Teraz proszę mi to podać.

Wstałem z łóżka i zacząłem iść w jego kierunku, ale wskazał mi na blat stołu.

Położyłem tam zawiniątko i wróciłem na swoje miejsce. Wziął je do ręki, odwinął chustę i wziął do ręki urnę. Nawet z tej odległości wyraźnie widziałem wyryte w jej ściankach symbole. Obracał ją przez chwilę w rękach oglądając z każdej strony, po czym odłożył na stół.

- Jest pan zadowolony? – spytałem.

- Najpierw zakończymy nasze sprawy – odparł wymijająco i skinął na leśnego dziadka, który podszedł do obitych blachą drzwi i odsunął zasuwę. Otworzył je, wszedł do znajdującego się za nimi pomieszczenia i coś powiedział. Po chwili wyszły stamtąd moje dziewczyny i od razu ruszyły do mnie. Amelka prawie biegła. Niby to przypadkiem nadepnęła mu na stopę. Skrzywił się, ale nic nie powiedział. Przytuliłem je mocno.

- To co? Możemy już wracać do domu? – spytałem.

- Ja zawsze dotrzymuję słowa panie Skłodowski – odparł Śniady. – Tylko widzi pan..., - zawiesił głos – ze swoimi znajomymi z Watykanu próbowaliście mnie oszukać. A to mnie zwalnia z danej panu obietnicy.

- Nie wiem, o czym pan mówi! Przecież przywiozłem panu tą relikwię. To jest ta rzecz, którą pan chciał dostać – nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Dobrze wiem, - odparł – że prawdziwy klucz został już odesłany do Watykanu, a to jest zwykłe drewno zamknięte w oryginalnym pojemniku,

w którym od wieków przechowywano relikwię.

- Nie wiem, skąd ma pan takie informacje, ale zapewniam, że przywiozłem dokładnie to, o co panu chodzi. - Byłem przerażony i zastanawiałem się skąd miał tak dokładne informacje. Przecież falsyfikat przygotowywałem w obecności teścia, Castellaniego i jego ludzi. Nikogo więcej przy tym nie było.

Czasy uprzejmości skończyły się bezpowrotnie. Wstał z takim impetem, że krzesło upadło z hukiem na podłogę. Wziął do ręki urnę, rzucił nią o ścianę i ruszył w moją stronę.

Odepchnął stojącą przede mną Amelkę, chwycił mnie za ubranie i przystawił do mojej głowy paskudnie wyglądający pistolet. O mało nie upadłem, bo nogi zrobiły mi się jak z waty. W jego oczach widziałem żądzę zabijania i był to naprawdę przerażający widok.

Wiele razy słyszałem opowieści, że człowiekowi spodziewającemu się śmierci przelatuje przed oczami całe życie, ale chyba nie jest to prawdą. Jedyne, co wtedy zobaczyłem, to jakieś mroczki i absolutnie nic więcej.

- Nie kłam mnie nigdy więcej, bo cię zabiję. A zaraz później te kobiety. Wiem, że chciałeś mnie oszukać, bo prawdziwy klucz, albo jak nazywają tę rzecz czciciele Jezusa, Krew Pańska za chwilę zostanie mi dostarczona przez kogoś innego.

Słuchał przez chwilę dobiegającego z zewnątrz odgłosu silnika i trzaskania drzwiami samochodu. Dopiero teraz zauważyłem, że miał w uchu miniaturową słuchawkę, której przewód biegł gdzieś za kołnierz bluzy. Drzwi izby otworzyły się, po chwili zamknęły i zza kotary wyszedł jakiś mężczyzna. Zdębiałem na jego widok. Salieri wyglądał na prawie zamarzniętego, jakby przyszedł tutaj przez las pieszko.

- Widział pan tego człowieka? – spytał obserwator.

- Widziałem – odparł dowódca z zaciętą miną. – I co gorsza rozpoznałem.

- Też mi się wydawało, że go znam. Jest pan tego pewien?

- Jak niczego innego na tym świecie. Zastanawia mnie, co on kombinuje? Wszedł tam jak do siebie. Ciekawe od jak dawna z nimi

współpracuje? A poza tym niepokoję się o naszych ludzi. Przyjechał tutaj sam i to tym samochodem, którym razem jechali na lotnisko.

- Co robimy?

- Na pewno wiedzą już wszystko. Musimy działać szybko, ale bardzo rozważnie.

Najważniejsze, żeby naszym przyjaciółom nic się nie stało. I musimy za wszelką cenę odzyskać Krew Pańską. A tego Salieri chcę mieć żywego.

- Dobrze panie Castellani. Będzie tak, jak pan sobie życzy.

Wycofali się do reszty oddziału i przeprowadzili krótką odprawę. Jeden z jej uczestników był wyraźnie zniecierpliwiony oczekiwaniem. Widać było, że aż rwie się do działania.

- To jest prawdziwy klucz panie Skłodowski – Śniady podsunął mi przed oczy woreczek foliowy, w którym znajdował się poczerniały kawałek drewna. Na jego twarzy ponownie pojawił się uśmiech kobry. – Jak mógł pan myśleć, że damy się nabrać na tak prymitywną podmianę?

Postanowiłem milczeć, bo w zasadzie nie miałem nic do powiedzenia. Wiedział wszystko, miał w rękach wszystkie karty i wyglądało na to, że wraz z Castellanim przegraliśmy na całej linii.

- Teraz mamy już wszystko, - kontynuował - co potrzebne do powrotu na Ziemię naszego Pana. - Nie podobało mi się jego spojrzenie. Patrzył na mnie, jakbym też stanowił jakąś część jego planu. Pomimo obezwładniającego mnie strachu postanowiłem czegoś się dowiedzieć.

- Skoro macie już wszystko co potrzebne, to chyba możemy się już rozstać. Wy pojedziecie w swoją stronę, a my w swoją.

- To niemożliwe panie Skłodowski – usłyszałem odpowiedź i to z zupełnie nieoczekiwanej strony. Spojrzałem na Salieri, który właśnie odezwał się nienaganną polszczyzną. - Tak się składa, że pan będzie musiał pojechać z nami.

Amelka i Gosia zrobiły wielkie oczy, ale żadna z nich się nie odezwała. Salieri spojrzał w ich kierunku uśmiechając się prawie z sympatią.

- Wy drogie panie możecie wracać do domu, nie jesteście nam już do niczego potrzebne.

- A mój tata? - spytała Amelka.
- Pojedzie z nami na małą wycieczkę.
- Nie rozumiem panie Salieri. Do czego jestem wam jeszcze potrzebny?
- Panie Skłodowski, – pokręcił z politowaniem głową – niczego pan nie rozumie.

Nie zorientował się pan jeszcze, że to przedstawienie z porwaniem pańskiej rodziny, to tylko pozory? Tak naprawdę chodziło nam o to, żeby oprócz Krwi Pańskiej mieć jeszcze pana do dyspozycji. Nasz plan miał na celu jedynie podzielenie zbyt dużego jak na nasze możliwości oddziału Castellaniego, przejęcie relikwii i nakłonienie pana do samotnego przyjazdu w to miejsce.

- Przecież pan jest urzędnikiem Watykanu, panie Salieri. Dlaczego uczestniczy pan w tym, co robią ci ludzie?

- Przede wszystkim panie Skłodowski, ja należę do tych ludzi i to o wiele dłużej, niż byłem związany z Watykanem. Mówiąc językiem powieści szpiegowskich byłem tam uśpionym agentem – skrzywił twarz w uśmiechu. - My wszyscy tutaj jesteśmy oddani idei starszej niż wasze wierzenia w syna stolarza z Nazaretu. Nasz pan władał całym światem na długo przed powstaniem ludzi i z naszą pomocą przybędzie, żeby odebrać to, co należy do niego. My wraz z nim będziemy władać Ziemią, bo jesteśmy do tego wybrani. Wreszcie nad Ziemią będzie panować jej prawowity władca.

- Wy i prawowity władca – zachnąłem się. – Przecież to będzie katastrofa dla wszystkich ludzi żyjących na świecie.

- O nie, - uśmiechnął się Salieri – ludzie otrzymają tylko to, na co zasługują.

Przecież i tak nie przestrzegają Dekalogu. Sam pan wie, co się obecnie dzieje na świecie.

Damy im religię, która odpowiada wojowniczej naturze człowieka, jego wrodzonej skłonności do przemocy, destrukcji, kłamstwa i okrucieństwa. Nasz Pan to sobowtór waszego Boga tyle tylko, że odrzucił cały fałsz, który jest sprzeczny z prawami rządzącymi tym światem. Niech

pan pomyśli, gdzie na świecie tak naprawdę istnieje dobro, litość, czy też współczucie. Ludzie nie zostali stworzeni na obraz i podobieństwo Boga, bo w przeciwnym wypadku na Ziemi byłoby jak w biblijnym raju.

Śniady zaczął coś mówić, ale Salieri uciszył go gestem ręki. Od razu było widać kto tutaj rządzi. Powiedział do niego coś w nieznanym mi języku, na co Śniady pochylił z szacunkiem głowę i cofnął się o krok.

- Mój brat mówi, żebyśmy się spieszyli – powiedział widząc moje pytające spojrzenie. - Nasz transport będzie tutaj za kilkanaście minut. Może się pan pożegnać z żoną i córką. Niedługo ruszamy w drogę.

Podszedłem do moich dziewczyn i przytuliłem je mocno. Widząc łzy w ich oczach siłą zmuszałem się, aby samemu się nie rozkleić.

- Co będzie z moim mężem? - spytała Gosia. - Kiedy wróci do domu?

- To nie od nas zależy - odparł Salieri. - Pani mężowi przypadnie w udziale wielki zaszczyt. Z jego pomocą powróci na Ziemię nasz pan. I to on zdecyduje co będzie dalej.

- Co ja mam z tym wspólnego? - przypomniałem sobie informacje, jakich niedawno udzielił mi Castellani i poczułem nagły niepokój.

- Gdy przyszedłem do pana z Castellanim pytał pan o rytuał, który ma zostać odprawiony w celu powrotu Pana na Ziemię. Pamięta pan co odpowiedziałem?

- Mówił pan coś o zaklęciach, ogniu i krwi. Tyle pamiętam.

- Dokładnie tak mówiłem. Te zaklęcia, to pradawna inwokacja, która wraz z ogniem przywoła Pana do bramy. Do jej otwarcia jest potrzebna krew Syna Bożego i krew niewinnego człowieka, która wsiąknie w ziemię i zniszczy zaporę, która uniemożliwia naszemu Panu powrót na ten świat. Tak się składa, że tym człowiekiem jest pan, panie Skłodowski.

- Dlaczego właśnie ja?!

- Bo był pan posiadaczem Klucza do bramy. Tak mówią nasze pisma. Potrzebna jest krew pana i waszego zbawiciela.

- Nigdzie z wami nie pojedę – warknąłem i ruszyłem w stronę Salieri.

W ciszy jaka panowała w pomieszczeniu szczęk przeładowywanej broni był głośniejszy niż grom i równie jak on przerażający. Śniady

trzymał na wysokości oczu pistolet maszynowy wycelowany w Amelkę. Podniosłem ręce w geście poddania i cofnąłem się o dwa kroki.

- Właśnie, że pan pojedzie i to zupełnie dobrowolnie – spokojnym głosem oświadczył Salieri. - Chyba, że nie zależy panu na życiu córki, ale wtedy i tak zabierzemy pana z sobą bez względu na protesty. A dodatkowo będzie ją pan miał na sumieniu.

- To znaczy, - byłem zupełnie zrezygnowany – że raczej nie mam szans na powrót do normalnego życia. Tak sobie myślę, że ciężko jest żyć nie mając w sobie krwi użytej do przywołania jakiegoś demona.

- Licz się ze słowami! - Salieri w jednej chwili przestał być miły. - O ile istnieją jakieś demony, to w tej chwili leżą u stóp naszego Pana i są gotowe służyć mu na każde skinienie. - Na jego twarzy znowu pojawił się uśmiech. - Jak wcześniej powiedziałem, to nasz Pan zdecyduje co się stanie po jego powrocie na ziemię. Do otwarcia bramy potrzebujemy pańskiej krwi, ale nie będziemy pana przecież zarzynać. Nie jesteśmy barbarzyńcami. Potrzeba nam do rytuału dosłownie kilku kropel. Dlatego właśnie musi pan z nami pojechać.

- A tak na marginesie to gdzie jedziemy?

- Niezbyt daleko stąd, jakieś sto kilometrów, jest jedna z bram. Mówił panu o tym Castellani. Od kilku godzin nasi ludzie pracują tam w pocie czoła. Gdy dotrzemy na miejsce wszystko będzie gotowe na przybycie Pana.

- Obiecuje pan, że moje dziewczyny zaraz wrócą do domu?

- Tak, obiecuję – odparł. - Pańska żona z córką zostanie tutaj. Kiedy my się oddalimy będą mogły wrócić do domu. Zostawimy jej telefon.

- Nie obawia się pan, że zawiadomi kogoś? - spytałem podejrzliwie.

- W momencie, kiedy będzie mogła kogokolwiek zawiadomić, my będziemy już bardzo daleko. A później nie będzie to już miało żadnego znaczenia.

- Zgoda, - westchnąłem – pojedę z wami. - Tak, jakbym miał inne wyjście niż z nimi jechać, pomyślałem ponuro.

W tej chwili jedyną nadzieją na wyjście z tej sytuacji obronną ręką był Castellani i jego ludzie. Jadąc ze Śniadym w to miejsce śledziłem

drogę i byłem pewien w stu procentach, że program zainstalowany przez Małą w telefonie Gosi wskazał właściwą lokalizację budynku. Prawdopodobnie Castellani był gdzieś w pobliżu. Wyglądał na fachowca i na pewno będzie wiedział jak nas uwolnić. No chyba, że ..., zwątpiłem przez chwilę. Nie, to niemożliwe, żeby współpracował z Salieri i tą bandą. Przecież ta cała heca z porwaniem byłaby wtedy niepotrzebna. No i nie zabijaliby własnych ludzi. Uspokoilem sam siebie, ale wątpliwości powróciły jak bumerang. Było przecież możliwe, że właśnie w ten sposób postanowili pozbyć się towarzyszących im ludzi wiernych Watykanowi.

Niczego już nie byłem pewien. Ciekawe swoją drogą, jak Salieri chce stąd wyjechać i nie obawia się, że Gosia ściągnie mu na głowę policję. Z tego co mówił, to liczy, że dostanie się do bramy bardzo szybko. Spytałem go o to.

- Za parę minut sam pan zobaczy – odparł z tajemniczą miną.
- Dysponujemy kilkoma nowinkami technicznymi.
- Mogę pożegnać się z żoną i córką?
- Proszę bardzo. Nie ma przeszkód.

Podszedłem do Gosi i Amelki. Wziąłem Małą na rękę i przytuliłem Gosię. Miałem ich głowy przy swojej twarzy.

- Słuchajcie dziewczyny, - szepnąłem – prawdopodobnie w pobliżu jest już pomoc.

Amelko, gdyby coś się działo trzymaj się blisko mamy. Gosiu, schowajcie się gdzieś, gdyby coś się działo i pod żadnym pozorem nie wychodźcie, bo może tutaj dojść do jakiejś strzelaniny.

Nie odpowiedziały nic, ale wiedziałem, że dokładnie rozumiały o co mi chodzi.

Mogłem już tylko czekać na dalszy rozwój wypadków i liczyć, że wyjdziemy z tego bez szwanku.

- No, koniec tych czułości panie Skłodowski – odezwał się Salieri. - Musimy się zbierać. Transport jest już prawie na miejscu.

Śniady złapał mnie za ramię i szarpnięciem pociągnął w stronę drzwi. Wyszliśmy przed dom. Za nami z drzwi rudery wyłonił się Salieri i

dwaj pozostali mężczyźni. Kątem oka zauważyłem, że Gosia stanęła w progu trzymając Amelkę za plecami. Szliśmy w stronę bramy. Salieri był tuż za mną, a Śniady trzymał mnie za rękaw, jakby się obawiali, że mogę spróbować ucieczki. Akurat w tych okolicznościach było to jakby nieco utrudnione, pomyślałem z goryczą. Leśny dziadek otworzył drewniane wrota i poszedł gdzieś w kierunku domu. Zapłonęły lampy umieszczone wzdłuż krawędzi dachu i załąły cały teren dość intensywnym światłem. Zauważyłem, że dwaj partnerzy Śniadego stanęli przy Vito i spoglądali w niebo, gdzieś nad murem otaczającym budynek. Podążyłem wzrokiem w tym kierunku. Początkowo nie widziałem niczego poza ciemnym i bardzo rozgwieżdżonym niebem, ale po chwili usłyszałem szum, jakby gdzieś w oddali zerwał się wiatr. Zaraz później na tle nieba pojawił się jakiś ciemny kształt, który wyraźnie zbliżał się w naszym kierunku i w końcu zawisnął na wysokości kilku metrów tuż za otwartą bramą.

Zerwał się wiatr, który poderwał z ziemi śnieg. Jego tumany zacinały w twarz jak podczas zamieci śnieżnej. Patrzyłem w niebo ze zdziwieniem, bo wyraźnie widziałem lądujący w pobliżu domu niewielki śmigłowiec, ale miałem wrażenie, że oglądam to na niemy filmie, bo oprócz szumu wiatru nie było słychać żadnego innego odgłosu. Jakby leciał nie mając włączonego silnika. Wiele lat temu, będąc w wojsku miałem okazję oglądać z bliska lądujący śmigłowiec i dokładnie pamiętam, że huk jego silnika był wprost ogłuszający.

Ten, któremu przyglądałem się w tej chwili był jakiś dziwny. Cały kadłub miał smoliście czarny i składał się z wielu płaszczyzn ustawionych pod niewielkim kątem względem siebie. Przypominał trochę budowę pokazywany w jakimś programie naukowym samolot niewidzialny dla radaru. Widząc jak wyciszony został w nim odgłos motoru nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby miał też takie właściwości.

Salieri popchnął mnie w kierunku bramy. Obejrzałem się, chcąc po raz ostatni spojrzeć na Gosię i Amelkę. Zamarłem widząc, że żołnierze Śniadego, którzy wcześniej stali przy Mercedesie idą w ich kierunku. Wyglądało na to, że Salieri nie ma zamiaru dotrzymać danego mi słowa. W tym momencie poczułem, że w plecy wbija mi się jakiś twardy

przedmiot. Śniady postanowił nie dopuścić do jakichkolwiek komplikacji. Szczerze mówiąc miałem to w głębokim poważaniu. Z półobrotu odepchnąłem mu broń i prawym sierpowym uderzyłem go z całej siły w głowę. Twardy był skurwiel. Gdybym zainkasował takie uderzenie, to leżałbym na ziemi podziwiając dwa razy większą liczbę gwiazd niż w rzeczywistości, a on nawet nie mrugnął okiem. Walnął mnie na odlew w twarz i byłbym padł w śnieg, gdyby nie przytrzymał mnie Salieri stojący kilka kroków dalej. Śniady ruszył w moją stronę i w tym momencie zdarzenia potoczyły się w tempie pociągu ekspresowego.

Jego głowa rozprysła się niczym dojrzały melon. Upadł bezwładnie z śniegu, który natychmiast zabarwił się na czerwono. Z kilku miejsc nad ogrodzeniem rozległ się huk wystrzałów. Po raz pierwszy znalazłem się w takiej sytuacji, ale odruchowo padłem na ziemię i spojrzałem w stronę moich dziewczyn. Wyszły z rudery na zewnątrz, a teraz widząc zbliżających się do nich żołnierzy Śniadego wycofywały się z powrotem. Usta rozwarły mi się do krzyku, bo zobaczyłem jak dwaj mężczyźni podnoszą broń. Kolejne strzały rzuciły nimi o ścianę budynku. Na placu boju pozostałem więc sam z Salieri, który leżał za sporą hałdą odgarniętego śniegu i spoglądał w górę. Sytuacja wyglądała na opanowaną, ale w tym momencie sprawy przybrały niekorzystny obrót. Śmigłowiec poderwał się niczym spięty ostrogą, pod jego kadłubem pojawił się snop białego światła, który omiótł teren za murem i po chwili rozległ się grom wystrzałów. Nie wiem jaka broń znajdowała się na jego wyposażeniu, ale z całą pewnością nie było to zwykłe działko. Z mojej perspektywy widziałem potężny strumień wylatującej spod jego kadłuba płonącej stali, który przy akompaniamencie basowego grzmotu wyrывał ogromne dziury w ceglany murze i podrywał gejzery ziemi zmieszanej ze śniegiem. Ogień przeniósł się w głąb lasu i po kilkunastu sekundach zapanowała cisza aż dzwoniło w uszach. Przerwało ją głucho podwójne szczekanie. Zza domu wybiegły dwa wielkie niczym niedźwiedzie czarne psy. Biegł za nimi Leśny Dziadek, który najwyraźniej słysząc odgłosy walki, postanowił przyjść swym kompanom z odsieczą. Zdążyłem już o nim zapomnieć, bo nie wydawał się zbyt groźny, ale wypuszczone przez

niego bydlaki były cholernie niebezpiecznymi przeciwnikami. Poczulem dreszcz przerażenia widząc jak jeden z potworów po jakiejś wydanej przez niego komendzie biegnie w moim kierunku, gdy zobaczyłem leżący w śniegu pistolet maszynowy Śniadego. Niewiele się zastanawiając chwyciłem broń i wycelowałem w stronę psa. Prawie mi się udało. W chwili gdy naciskałem spust dopadł do mnie i zacisnął zęby na moim barku. Przypuszczam, że był odpowiednio wyszkolony i chciał chwycić mnie za kark, ale zdążyłem się lekko obrócić.

Ból był nie do opisania. Poczulem jak jego zęby zacisnęły się z siłą prasy i zgrzytnęły o kość. Na moje szczęście pistolet był załadowany i odbezpieczony. Seria wystrzałów z przyłożenia odrzuciła psa na dobre kilka metrów. Gdy podniosłem się z ziemi Leśny Dziadek i drugie bydlę zbliżali się do moich dziewczyn. Wrzasnąłem, żeby zwrócić na siebie uwagę, ale było za późno. Gosia odepchnęła Amelkę w stronę drzwi domu i w tym momencie pies runął na nią całym impetem przewracając na ziemię. Zacząłem biec w jej kierunku podnosząc jednocześnie broń, ale z moimi umiejętnościami strzeleckimi mogłem narobić więcej szkody niż pożytku. Dotarcie do niej zajęło mi kilka sekund. Bydlę odwróciło się i rzuciło na mnie. Pociski dosięgły go w locie. Odskokczyłem i pies upadł martwy w miejscu gdzie przed chwilą stałem.

Gosia leżała na plecach. Cały przód kurtki miała zakrwawiony. Rana na jej szyi była ogromna. Rzuciłem się do niej próbując tamować krwawienie szalikiem, ale zdałem sobie sprawę z bezskuteczności tych zabiegów. Zielone, piękne oczy zachodziły mgłą. Nie oddychała i nie wyczułem pulsu. Wiedziałem, że to koniec. Ogarnął mnie szal. Podniosłem się i z całej siły walnąłem kolbą pistoletu Leśnego Dziadka w zęby. Upadł, a wtedy przyłożyłem mu do głowy broń i nacisnąłem spust. Usłyszałem tylko cichy trzask iglicy uderzającej w pustą komorę naboju. Strzelając do psów zużyłem całą amunicję. W tym momencie poczułem na skroni dotyk czegoś zimnego. Salieri wyjął mi z rąk pistolet i pchnął w kierunku stojącej nieruchomo Amelki. Biedne dziecko wpatrywało się rozszerzonymi z przerażenia oczami w leżącą na śniegu Gosię. Przytuliłem ją mocno brudząc jej włosy na czerwono. Dopiero w

tym momencie zauważyłem, że cały rękaw kurtki mam zakrwawiony. O dziwo bark mnie już nie bolał. Gdy dotknąłem tego miejsca dłonią okazało się, że rana zdążyła się już zasklepić.

- Kto to był?! - Salieri patrzył na mnie zimnym wzrokiem i celował mi między oczy z trzymanego pewną ręką pistoletu.

- Twój kolega Castellani, dupku! - splunąłem mu w twarz.

Skierował broń w stronę Amelki patrząc na mnie z wyzwaniem. Zastoniłem ją swoim ciałem. Roześmiał się szyderczo. Zdawał sobie sprawę, że ma przewagę.

- Nie doceniłem was – powiedział. - Ale teraz to już nieistotne.

- Weź nóż! - warknął w stronę Leśnego Dziadka. W jego ręce natychmiast pojawił się olbrzymi nóż, a w oczach nadzieja, że będzie mógł natychmiast z niego zrobić użytek.

Chciał się pewnie zemścić za zabicie psów i za to, że oberwał w zęby. O ile to możliwe na takim mrozie, zrobiło mi się jeszcze chłodniej. Patrzył na Salieri niczym głodny pies na właściciela, który nakłada mu jedzenie do miski i nie pozwala do niej podejść. - Odetnij mu ten zakrwawiony rękaw kurtki i podaj mi! Szybko!

Leśny Dziadek był rozczarowany, ale polecenie wykonał bez wahania. Salieri wziął podany mu fragment kurtki, zwinął go i schował do kieszeni.

- Co teraz? - spytałem.

- Teraz mam już wszystko, a ciebie nie potrzebuję. Mam klucz i twoją krew, choć szkoda, że dopiero teraz wpadłem na taki pomysł. Powinienem zabić was od razu po przyjeździe.

Machnął ręką w kierunku wiszącego tuż za bramą śmigłowca. Pilot opuścił go delikatnie i wylądował.

- Żegnam pana, panie Skłodowski. Zostawiam was pod opieką mojego przyjaciela, który umili wam ostatnie chwile życia. Ja lecę wypełnić misję Bractwa. Może lepiej, że tego nie doczekacie. Obawiam się, że nie czułby się pan dobrze w nowym porządku, jaki zapanuje niebawem na świecie. - Podał swój pistolet Leśnemu Dziadkowi, który patrzył na mnie i Małą oblizując usta. Przypuszczam, że odczuwał

rozkosz na samą myśl o tym, co z nami zrobi za moment.

Patrzyłem na odlatujący śmigłowiec. Salieri wymknął się zabierając z sobą wszystko, co w jego mniemaniu pozwoli uwolnić z wygnania przedwieczne zło. Jeżeli mu się uda, to może faktycznie lepiej, że nie będę tego świadkiem.

- Uklęknij i połóż ręce na kark – odezwał się nasz oprawca, gdy śmigłowiec zniknął na tle rozgwieżdżonego nieba. Zafascynowały go pewnie filmy sensacyjne i chciał zrobić widowisko na własny użytek. - Ty umrzesz pierwszy. Później pobawię się trochę z dziewczyną. Niech przed śmiercią poczuje jak to jest być kobietą. - Cofnął się stojąc jakieś pięć kroków ode mnie i trzymając w ręce broń.

Przesunąłem się w bok, żeby Amelka nie stała ze mną, zacząłem podnosić ręce, jakbym miał zamiar położyć je na karku i zgiąłem nogę w kolanie pozorując, że klękam, podczas gdy szukałem dla stopy pewniejszego punktu podparcia. Miałem się już na niego rzucić, gdy padł strzał.

Podnosił się z wysiłkiem. Był oszołomiony od huku wybuchających jeszcze niedawno dookoła pocisków. Jakimś cudem miejsce, w którym siedział zakryty zwisającymi w dół, ciężkimi od śniegu świerkowymi gałęziami ocalało nietknięte. Grad ognia przesunął się w odległości niecałego metra od tego schronienia i pomknął dalej. Przy podziurawionym jak sito murze leżały ciała żołnierzy. W większości zostały zmasakrowane do tego stopnia, że z trudem można było się w nich dopatrywać ludzkich kształtów. Obok ktoś jęknął i spod gałęzi wysunął się człowiek. Prawie o nim zapomniał.

- Paolo, jesteś cały? – Zdążył już szczerze polubić tego Włocha. Był to pierwszy przedstawiciel tej nacji, którego miał okazję poznać. Zawsze myślał, że oni tylko potrafią dużo gadać, a z konkretnym działaniem radzą sobie raczej słabo.

- *Si* – usłyszał odpowiedź. – W porządku, tylko boli mnie ręka. Chyba dostałem.

- Pokaż. Ale raczej cię nie trafili, bo jakbyś dostał z tego czegoś,

czym grzali ze śmigłowca, to byś już tej ręki nie miał. Widziałeś, co to robiło z ludźmi?

- Widziałem. Cholera, chyba wszyscy nie żyją. Nie wysuwaj się tak bardzo, bo ten helikopter jeszcze wisi w powietrzu. Mogą cię zobaczyć.

- Dobrze, przecież uważam. No pokaż w końcu tą rękę. – Pochylił się nad Castellanim i dotknął wskazanego miejsca. Paolo syknął z bólu.

- No i co? – spytał.

- Faktycznie oberwałeś, ale nie pociskiem – odparł.

- To czym?

- Masz tutaj wbity kawałek gałęzi. Musiała się odłamać gdy pocisk trafił w drzewo.

Chyba jest wbita tylko w mięsień. Nie powinno być źle, ale trzeba to będzie usunąć.

- Nie teraz. Widzisz może, co się dzieje przy domu.

- Nie widzę. Trochę za daleko.

- Weź to – Castellani podał karabin Sako z lunetą, który leżał w pokrowcu pod drzewem. – Tylko uważaj, bo jest załadowany.

Biorąc karabin drgnął, bo od strony domu rozległy się strzały z broni automatycznej. Dwie dość długie serie i cisza.

- Jak się go obsługuje Paolo? – spytał z determinacją w głosie.

- A miałeś już styczność z bronią?

- Miałem i to nawet ze snajperską, tylko nie z taką. To był rosyjski Mosin z lunetą.

- To jakby co dasz sobie radę. Budowa jest podobna, tylko w magazynku masz aż dziesięć naboju.

Podniósł karabin i spojrzał przez lunetę. Przez chwilę regulował ostrość i spojrzał w głąb podwórza. Zaklął w myślach „cholera, jest źle”. Śmigłowiec w tym momencie wylądował i na kilka chwil zastonił mu widok. Skulił się instynktownie, gdy po chwili wystartował i przeleciał nad jego stanowiskiem. Ponownie przyłożył lunetę do oka. Scena, którą zobaczył spowodowała, że skóra ścierpła mu na plecach. Miał niewiele czasu.

Pozycja była niezła, tylko ta odległość i szmat czasu odkąd trzymał

broń w rękach. Ma tylko jedną jedyną szansę i nie może jej zmarnować za żadne skarby świata. Skierował krzyż celowniczy na klatkę piersiową celu, wstrzymał oddech i wolnym ruchem ściągnął spust. Szybkim ruchem przeładował karabin, ponownie spojrzął w lunetę i po chwili wstał z szelmowskim uśmiechem spoglądając na leżącego w śniegu pod gałęzią świerku Paolo Castellani.

Słyszając wystrzał pomyślałem, że już po mnie i zamknąłem oczy jakby to miało w czymś pomóc, nie poczułem jednak bólu. Spojrzałem widząc, że Leśny Dziadek leży na boku z wyrazem bezgranicznego zdziwienia na obłej gębie. Broń wypadła mu z ręki, a na śniegu wokół niego rosła w szybkim tempie kolejna plama czerwieni. Sprawdziłem co z Amelką. Stała nieruchomo spoglądając na niego w napięciu. Widząc, że nic nam nie grozi chwyciła mnie za rękę i powiedziała zupełnie spokojnie.

- Tato, musimy ratować mamę.

- Amelko, ja chyba..., ja nie wiem, czy damy radę. Widzisz, bo mama... .

- Co mama? – usłyszałem znajomy głos przerywany kaszlem. Odwróciłem się tak gwałtownie, że razem z Małą upadliśmy w śnieg.

Moja Gosia właśnie klęczała na ziemi, wypluwała z ust krew i próbowała wstać.

Wyglądała na oszołomioną i nic poza tym. Przód jej kurtki wyglądał paskudnie z krwawą plamą sięgającą do pasa i rozszarpanym materiałem pod szyją. Szyją, na której nie było najmniejszego śladu po olbrzymiej ranie wygryzionej przez psa. Wyglądało na to, że potrafiłem działać lepsze cuda niż uzdrawianie nieuleczalnie chorych ludzi.

Moja szanowna małżonka musiała czuć się całkiem dobrze, bo spojrzęła z niesmakiem na swoją odzież, później na brudne ręce i skwitowała, że wygląda jak jeden z głównych bohaterów filmu o zombie. Kontemplację nowego *image* Gosi przerwał radosny kwik Amelki.

- Dziadek! Dziadek idzie!

- Cześć ptaszyno – przywitał się nonszalancko tata Marian, który szedł od bramy w naszym kierunku trzymając oparty o ramię karabin z

lunetą. Wyglądał niczym John Wayne w finałowej scenie westernu. Ze zboląłą miną człapał za nim Paolo Castellani trzymając się za rękę.

- Tato, to ty strzelałeś?! - spytał patrząc z niedowierzaniem na trzymany przez niego karabin.

- Nie! Duch Święty! – odparł z zawadiackim uśmiechem, który znikł mu z twarzy, gdy usłyszał ostrzegawcze chrząknięcie Castellani'ego. – Przecież mówiłem ci, że byłem w wojsku snajperem, ale oczywiście staremu człowiekowi nikt nie wierzy. Jak mam trochę więcej lat od was młodych, to w waszym mniemaniu muszę już mieć Alzheimera, Parkinsona, demencję starczą, problemy z prostatą i nietrzymanie moczu. Wasz staruszek jest jeszcze całkiem do rzeczy, no nie?

- Córeczko kochana, a jak ty wyglądasz?- spytał patrząc na Gosię. – Czy ty przypadkiem kogoś nie zjadłaś żywcem?

- Nie tato, ja tylko piłam krew. Robię to każdej nocy, tylko ty już śpisz i tego nie widzisz – odparła. – A tak na poważnie, to chyba twój kochany zięć potrafi wskrzeszać zmarłych, bo to bydlę, które tutaj leży – wskazała na martwego psa – najnormalniej w świecie mnie zagryzło. Cholera, czułam się jakby mnie tygrys upolował. Uderzył we mnie z siłą samochodu i od razu rzucił się do gardła. Bolało jak diabli, dusiłam się, po chwili zapadła ciemność, ale zaraz później ocknęłam się i znowu jestem wśród was. - Chyba chciała jeszcze coś powiedzieć, ale tylko potrząsnęła głową i zamyśliła się.

- Wojtek, - powiedział tata Marian trzymając cały czas karabin na ramieniu i spoglądając na mnie z niedowierzaniem – weź zrób te swoje czary mary panu Castellani, bo wbiła mu się w rękę gałąź.

Faktycznie Paolo miał wbity w przedramię kawałek pokrytego korą konaru. Dotknąłem tego miejsca czekając na dobrze znane wyładowanie, ale niczego nie poczułem. Dotknąłem ponownie i znowu nic. Patrzyłem w napięciu na ranę. Powinna już się sama oczyścić i właśnie zaczynać goić. Nic z tego nie rozumiałem. Może to wynik zmęczenia ostatnimi wydarzeniami.

- Daj Wojtek, - odezwała się Gosia – ja to opatrzę. W tej ruderze jest apteczka, to jakoś prowizorycznie zabezpieczymy tą ranę i wracamy do

domu.

- Panie Wojtku, - usłyszałem pełen napięcia głos Paolo – a co z Krwią Pańską? Czy Salieri ją zabrał?

- Niestety tak.

- Nic mu to nie da. Żeby odprawić rytuał musiałby mieć jeszcze pana krew. Nie mówiłem o tym wcześniej, żeby pana niepotrzebnie nie denerwować.

- Tak się składa, że zabrał z sobą rękaw kurtki zaplamiony moją krwią panie Castellani.

- No to przegraliśmy – powiedział z rezygnacją. – I to na całej linii. To będzie koniec świata, jaki znamy. - Przez moment myślał nad czymś intensywnie. - Idziemy do naszych samochodów. Mam tam telefon satelitarny. Nawiążę łączność z Watykanem. Może jednak nie wszystko jest stracone. No i trzeba zrobić tutaj porządek. Nasi żołnierze nie zasłużyli, żeby ich ciała poniewierały się po lesie.

- Niech pan pokaże tą ranę panie Castellani, bo jak się wda zakażenie to dopiero będzie koniec świata – wtrąciła moja niezwykle praktyczna małżonka, która właśnie do nas przyszła niosąc niewielką apteczkę. Spojrzała na Paolo z dezaprobatą, gdy skrzywił się i zacisnął zęby.

- Mężczyźni – westchnęła. – Gdybyście mieli rodzić dzieci, to trzeba by wam podawać narkozę.

Pomimo powagi sytuacji uśmiechnąłem się pod nosem. Scena z zombie z wykształceniem medycznym opatrującym rannego, nie pasowałaby do żadnego filmu grozy.

Pół godziny później siedzieliśmy w Land Rowerze Castellaniego. Gosia pozbyła się zakrwawionej kurtki i ubrała należącą do któregoś z nieżyjących żołnierzy Świętego Przymierza. Paolo złożył meldunek, wysłuchał dyspozycji i teraz oparł głowę o zagłówek zamykając oczy. Widać było, że intensywnie o czymś myśli. Nikt z nas mu nie przerywał.

Po dość długim czasie spojrzał na mnie.

- Prawie się nam udało załatwić tą sprawę na miejscu panie Wojtku. Salieri jest pewien, że wygrał, ale nie spodziewa się, że znamy ich dalsze

plany.

- Jak to, nie spodziewa się? Przecież kiedy do mnie wczoraj przyszliście, to oboje mówiliście, że tych bram jest kilka na całym świecie, a najważniejsza znajduje się koło Jerycha. Później Salieri mówił jeszcze o jednej gdzieś niedaleko. Skąd w takim wypadku zna pan jego plany?

- Salieri, jak na pewno się pan zorientował był swojego rodzaju agentem Bractwa w naszych szeregach. Tak się składa, że my również od dawna mamy swojego człowieka na dość wysokim szczeblu w ich organizacji. Jerycho, to najbardziej znana brama i prawdopodobnie chciał nas wszystkich zmylić podając tą lokalizację. Rozmawiając z Ojcem Świętym dowiedziałem się właśnie, że Salieri będzie zmierzał do punktu położonego na terenie Polski.

- To znaczy gdzie?

Paolo wyjął ze schowka mapę samochodową Polski i studiował ją przez chwilę.

- O, tutaj – wskazał palcem jakiś punkt na północy kraju.

- Co to za miejsce?

- Miejscowość nazywa się Odry. W położonym niedaleko lesie znajdują się pradawne kamienne kręgi. Najprawdopodobniej, jak zresztą w przypadku wszystkich tego rodzaju obiektów, istnieje wiele hipotez na temat ich pochodzenia i przeznaczenia. Tak naprawdę są one jednak swojego rodzaju zabezpieczeniem istniejącej w tym miejscu bramy. Zamykają dostęp zła do naszego świata. Jeżeli Salieri odprawi tam rytuał, zamek zostanie otwarty, brama się rozpadnie, później otworzą się pozostałe na całym świecie, zło rozejdzie się jak robactwo i będzie naprawdę źle.

- Jak bardzo źle? – spytała Gosia, która odrobinę była zorientowana w tym co się ostatnio wydarzyło.

- Świat, jaki wszyscy znamy przestanie istnieć. Będzie tak, jak w jednej z przepowiedni: „ci, którzy przeżyją, będą zazdrościć tym, którzy umarli”. Przez chwilę w aucie było cicho jak makiem zasiał. Milczenie przerwał tata Marian.

- Słuchajcie, a może ktoś by wytłumaczył biednemu, staremu człowiekowi, o co tutaj chodzi?

Opowiadanie zajęło Castellani'emu trochę ponad kwadrans. Teść pod koniec miał oczy jak dwa spodki. Chciał jeszcze o coś spytać, ale kiedy otworzył usta zadzwonił telefon satelitarny. Castellani rozmawiał z kimś po włosku, przytaknął kilka razy i wyłączył aparat.

- Ja jadę w to miejsce, o którym mówiłem. To około 130 kilometrów. Za niecały kwadrans będzie tutaj nasza ekipa, która posprząta cały teren, a w rejon kamiennych kręgów za parę minut poleci jednostka specjalna waszej Policji z małym oddziałem Świętego Przymierza, który został przysłany do Polski jako odwód przez papieża Benedykta XVI.

- To po co pan tam jedzie? – spytałem. – Przecież oni doskonale dadzą sobie radę, o ile oczywiście można będzie jeszcze coś zrobić.

- Chcę być na miejscu, kiedy to się skończy - odparł. – Tutaj nie chodzi już tylko o Graala panie Wojtku. Chcę widzieć koniec Bractwa i dostać w swoje ręce tego zdrajcę Salieri. Przez niego zginęło tylu moich ludzi. A Ojciec Święty tak mu ufał. – Zamyślił się przez moment, ale zaraz na jego twarz powrócił wyraz zdecydowania. – Wam proponuję powrót do domu. Odstawię was po drodze do waszego samochodu.

- Nie panie Castellani – odezwała się Gosia. – My też mamy z nim swoje rachunki do wyrównania.

Popatrzył na nas w skupieniu, jakby rozważając, czy się zgodzić. Po chwili skinął głową na znak zgody.

- W porządku – zdecydował. - Jedziemy wszyscy. Aha, skończmy z tymi panami.

Jestem Paolo, przyjaciele. - Zabrzmiało to pompatycznie, ale zdałem sobie w tym momencie sprawę, że Castellani zaakceptował nas jako współników w tej walce. Było to bardzo przyjemne uczucie.

Spojrzałem na moją rodzinę. Tata Marian przybrał ponownie wyraz twarzy luzaka czule tuląc do siebie karabin, a Gosia i Amelka miały wzrok jak John Rambo na widok zniechęconych żołnierzy Specnazu. Wojowniczkę cholera jasna się znalazły.

- Słuchajcie, - przerwałem ciszę, jaka zapadła w aucie – minęła

północ. Jutro jest już Nowy Rok. Mam nadzieję, że do końca dnia będziemy już w domu i zapomnimy o całej tej sprawie.

- A ja mam nadzieję, że twoje życzenie się spełni – odparł Paolo. - Obyś się nie mylił Wojciech – powiedział to takim tonem, że poczułem ciarki na plecach.

ROZDZIAŁ VII

Bory Tucholskie są jednym z piękniejszych zakątków Polski. To wielkie obszary gęstego lasu, tylko miejscami naznaczonego śladami cywilizacji. Latem ściągają tutaj rzesze wczasowiczów, których wabią malownicze polodowcowe jeziora, ale zimą ta kraina ma również swój niepowtarzalny urok z tym, że panuje wtedy cisza jakby nawet przyroda czekała w uśpieniu na początek wiosny. Na południowym skraju ogromnego lasu znajduje się niewielka wieś Odry, a w jej pobliżu obiekt, który pamięta początki osadnictwa na tych terenach. Gdy pojawili się tutaj pierwsi przodkowie Słowian, był już bardzo stary. Czas, w jakim powstał datowany jest co prawda na początek naszej ery, tak przynajmniej określili to archeolodzy, ale jego historia sięga dalszych, bardziej mrocznych czasów. Podobną zagadkę stanowi jego przeznaczenie. Różni mądrzy ludzie twierdzą, że miał czcić pamięć zmarłych, że był swojego rodzaju kalendarzem lub też, że pomagał w obserwacjach ruchu ciał niebieskich. Wśród najstarszych, rdzennych mieszkańców tego terenu funkcjonuje stara, przekazywana ustnie z pokolenia na pokolenie legenda, jakoby Bóg dawno temu strącił w tym miejscu do podziemia szatana, a aniołowie przypieczętowali je kręgiem głazów, aby nie zdołał się wydostać. Opowieść tą można usłyszeć tylko w kręgu zaufanych przyjaciół lub najbliższej rodziny i to jedynie w zaciszu domowym. Nikt nigdy nie opowiada tej historii głośno i nigdzie nie została spisana. Podobno mówienie o tym, a już szczególnie nocą w trakcie nowiu przynosi straszliwego pecha, a nawet może przywołać diabła. Będąc nocą w pobliżu kręgów podobno można usłyszeć niekiedy, jak ryczy pod ziemią z wściekłości i tęsknoty za utraconą wolnością.

Kamienne kręgi, bo pod taką nazwą reklamowane jest to miejsce jako obiekt turystyczny, zajmują spory obszar wśród lasu. Kręgów tych jest dziesięć, a każdy kamień ułożono w ściśle określonym i

przeznaczonym tylko dla niego miejscu. Szczególnie wrażliwa osoba odczuwa tam nieokreślone bliżej wrażenie napięcia, jakby powietrze naładowane było jakąś niezemską energią. Siła ta działa odmiennie na różnych ludzi.

Niektórzy czują się tam lepiej, ustępują ich dolegliwości i nabierają energii, a inni marzą tylko, aby to miejsce jak najszybciej opuścić.

Zimą zwiedzających było jak na lekarstwo, ale od kilku dni panowała tutaj cisza nienaturalna nawet jak na tą porę roku. Wydawało się, że ostatnio zwierzęta i ptaki omijały z daleka stojące w kręgach głazy. Przyroda jakby na coś czekała, a w tym oczekiwaniu wyczuwało się wielkie napięcie i strach przed czymś bardzo złowrogim, ale nie do końca zdefiniowanym.

Księżyc, jeszcze trzy dni temu w pełni, nie zdążył jeszcze stracić wiele ze swej błyszczącej tarczy. Teraz jednak przykryły go gęste i ciemne chmury. Wiejący jeszcze kilka godzin temu dość silny wiatr ucichł i nienaturalnej ciszy ciemnego lasu nie zakłócał teraz żaden odgłos.

Jacek Kowalski mieszkał we wsi od czterech lat. Pochodził z Trójmiasta, ale z tą okolicą związała go służba. Był emerytowanym pilotem wojskowym. Stacjonował przed dość długi czas na nieczynnym obecnie lotnisku w odległym o kilka kilometrów Borsku.

Pamiętał jak bardzo uwielbiał starty swym Su-22, gdy po poderwaniu maszyny z pasa przelatywał nad niewielkim zagajnikiem i natychmiast znajdował się nad taflą jeziora Wdzydze. Czuł się wtedy jakby startował z lotniskowca. W wolnych chwilach przemierzał okolicę na rowerze i po kilku latach znał ten teren jak mało kto. Przy okazji pokochał Kaszuby i gdy tylko przeszedł na emeryturę znalazł dom w Odrach, kupił go za niewielkie pieniądze i przeniósł się tutaj z żoną. Prawie rok trwało zanim doprowadził go do przyzwoitego stanu, ale przecież w tym czasie i tak nie miał nic innego do roboty. W sumie, nie licząc własnej pracy dom kosztował go mniej niż połowę obecnej wartości.

Szkoda tylko, że obecnie był sam. Z Zosią, dziewczyną pochodzącą z Sopotu, poznał się w trakcie jednej z wędrówek po okolicy. Po urlopie

wróciła do domu, później trochę do siebie pisali, ale coraz rzadziej. Znajomość zakończyłaby się jak wiele innych wakacyjnych zauroczeń, gdyby nie spotkali się przypadkiem gdy był u rodziców. Spędzili z sobą upojny tydzień, a później po krótkiej rozłące przyjechała do niego. Zamieszkali razem w Czersku, gdzie Zosia znalazła pracę. Kolejne lata spędzili w kilku garnizonach rozrzuconych po całym kraju i w końcu, gdy zdecydował się przejść na emeryturę osiedli tutaj. Nie mieli dzieci, ale uważali się za szczęśliwe małżeństwo. Prawie nigdy się nie kłócili, mieli wspólne zainteresowania i na ogół w ważniejszych kwestiach dotyczących ich wspólnego życia takie samo zdanie.

Sielanka zakończyła się ponad rok temu. Zosia uwielbiała zbierać grzyby.

Traktowała to zajęcie jak hobby, bo oboje nie lubili ich jeść. Sznureczki z wysuszonymi prawdziwkami rozdawali później znajomym i rodzinie. Podobnie było z jego pasją łowiecką. Udzielał się w miejscowym Kole Łowieckim i brał udział w polowaniach, podczas gdy oboje byli zatwardziałymi wegetarianami. Tamtego dnia miał trochę roboty przy naprawie dachu nad gankiem i Zosia nie chcąc mu przeszkadzać poszła do lasu. Na odchodne powiedziała, że wróci najdalej za dwie godziny, bo chciałaby jeszcze pojechać na zakupy. Zajęty pracą spostrzegł, że nie ma jej, gdy słońce było już nisko nad lasem.

Kiedy nie wróciła do wieczora zawiadomił policję. Kazali czekać do rana. Całą noc jeździł po okolicy i nie natrafił na jej ślad. Wczesnym rankiem w jednej z przecinek znalazł koszyk, z którym Zosia wyszła z domu. Okazało się, że przecinka prowadziła w miejsce, gdzie wśród drzew znajdowały się kręgi ułożone z głazów. Na skraju polany znalazł Zosię.

Nigdy nie zapomni wyrazu przerażenia, jaki zastygł na jej twarzy i w szeroko otwartych martwych oczach. Policjanci powiedzieli, że Zosia zmarła na zawał serca, jednak on wiedział swoje. Jego żona umarła ze strachu. Nie wiedział, co ją przestraszyło, nie słyszał nigdy legend o kręgach, ale na wszelki wypadek trzymał się z daleka od tego miejsca.

Kręgi od jego domu dzieliło półtora kilometra. Siedział na werandzie, której okna na zimę były szczelnie pozamykane i w ciemności palił papierosa. Czuł od jakiegoś czasu zmianę w otoczeniu. Jakby nad okolicą unosił się niewidoczny trujący smog. Wszystko było jakoś dziwnie przytłoczone i nieruchome. Tak przynajmniej to odczuwał. Ostatnimi czasy wiele razy zastanawiał się nad sprzedażą domu i przeniesieniem w inne strony, gdzie nic nie będzie mu przypominało żony. Tutaj każde miejsce wiązało się z jakimiś wspomnieniami, a te wspomnienia bardzo bolały. Pomyślał, że chyba już pora położyć się do łóżka, bo czuł się zmęczony. Postanowił, że dokończy papierosa, wypije kawę i pójdzie do łazienki. Rozmyślając wpatrywał się w czerń za oknami, gdy poczuł coś dziwnego.

Miał wrażenie, że dom delikatnie drży w posadach. Zastanawiał się, czy to nie złudzenie, ale w tym momencie usłyszał delikatne dzwonienie łyżeczki leżącej na spodku. Jakby gdzieś blisko przejeżdżał jakiś ciężki pojazd. Wyszedł na zewnątrz nasłuchując, ale nic się nie działo. Wtedy dostrzegł, że nad lasem pojawiła się delikatna na początku, ale z każdą chwilą coraz jaśniejsza łuna. Światło było jakieś dziwne, takie zimne i obce, niepodobne do niczego, z czym się do tej pory zetknął. Widział parę razy płonący las, wtedy jednak łuna była zupełnie inna. Stopami czuł wyraźne drgania gruntu, które nasilały się i w pewnym momencie dołączyło do nich niskie dudnienie dochodzące do uszu na progu słyszalności. W tym kierunku był tylko las i położone wśród drzew kręgi. Kiedy to sobie uzmysłowił wrócił do domu, założył kurtkę i buty, załadował sztucer i poszedł w stronę coraz bardziej intensywnego światła, którego blask padał już teraz na nisko zawieszane chmury.

Komisarz Leon Zawada nie lubił latać. Nie przyznawał się do tego nikomu, ale już dość dawno doszedł do wniosku, że po prostu się boi. Strach tkwił gdzieś głęboko w jego podświadomości. Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć w żaden racjonalny sposób, bo odkąd pamiętał wspinał się w górach, mógł bez zawrotów głowy chodzić wzdłuż krawędzi dachu, czy zejść po linie do położonego niżej okna budynku. Jednak już samo wejście do samolotu, czy śmigłowca powodowało

szybsze tętno i nieprzyjemne odczucie zaniepokojenia. Z czasem nauczył się z tym żyć, bo sytuacje gdy ze swym oddziałem musiał przemieszczać się drogą powietrzną zdarzały się dość często. Wcale nie oznaczało to jednak, że polubił latanie.

Miał mieć dzisiaj wolne. Zdążyli już nawet z chłopakami z oddziału złożyć sobie życzenia noworoczne. Gdy w środku nocy obudził go telefon wiedział już, że z leniuchowania w domu nici. Dźwięk tego konkretnego telefonu zawsze oznaczał, że gdzieś czeka na nich jakaś robota. W czasie gdy był w łazience, żona zdążyła już mu zrobić kawę i kilka kanapek. Przez dziesięć wspólnie spędzonych lat przyzwyczała się do specyfiki jego pracy. Pół godziny później był w jednostce, a w ciągu kolejnych pięciu minut pojawili się tam wszyscy jego ludzie. Była to zgrana ekipa. Wszyscy mieli do siebie pełne zaufanie.

Gdy obejmował dowodzenie tą grupą, było w niej kilku ludzi, którzy ewidentnie tutaj nie pasowali. Uporządkowanie tej kwestii zajęło mu dwa miesiące i od tej pory nie miał ze swoimi podwładnymi żadnych problemów.

Gdy dziesięć minut później weszli w umundurowaniu do sali odpraw, pierwszy raz od bardzo dawna przeżył szok. Odprawę prowadził sam Komendant Główny, ale dodatkowo w sali była grupa dwudziestu mężczyzn ubranych i uzbrojonych jak żołnierze sił specjalnych, którzy porozumiewali się między sobą po włosku. Obie grupy otaksowały się spojrzeniem. Zawada zwrócił uwagę, że tamci byli uzbrojeni jakby jechali na wojnę.

Każdy wyposażony był w amerykański karabin szturmowy M16 z podwieszonym 40 mm granatnikiem M203. Niezbyt pasowało to do zadań, które podejmował jego oddział. Zajęli miejsca i rozpoczęła się odprawa. To co usłyszał w ciągu kolejnych kilkunastu minut było najdziwniejszą rzeczą z jaką zetknął się w całym swoim życiu.

- Witam panów – rozpoczął komendant, po czym jeden z Włochów zaczął tłumaczyć jego słowa swoim ludziom. - Załatwimy formalności szybko, chociaż sprawa jest bardzo poważna, może nawet najpoważniejsza ze wszystkich, z którymi dotychczas się zetknęliśmy. Na

wstępie informuję, że udział w akcji jest zupełnie dobrowolny. Każdy, kto nie zechce w niej uczestniczyć opuści tą salę i nie poniesie z tego powodu żadnych konsekwencji. Macie na to moje słowo. Na razie mogę powiedzieć tylko tyle, że macie wziąć udział w utajnionej operacji o wysokim stopniu ryzyka - potoczył wzrokiem po zebranych. - Teraz czekam na panów decyzję.

Cisza w sali odpraw trwała około minuty. Zawada był dumny ze swych ludzi.

Żaden z nich nie wyszedł. Wszyscy zdecydowanym wzrokiem patrzyli na oczekującego ich decyzji komendanta.

- Zatem dobrze – przerwał milczenie. - Możemy w związku z tym przejść do konkretów. Nie muszę przypominać, że obowiązuje was zachowanie tajemnicy. Tak na marginesie akcja, w której będziecie uczestniczyć ma klauzulę „Ścisłe tajne”. Działacie na podstawie specjalnego upoważnienia udzielonego przez Prezesa Rady Ministrów.

Weźmiecie w niej udział jako zabezpieczenie głównego oddziału – wskazał głową na Włochów. - Ci panowie to oddział watykańskiej elitarniej jednostki specjalnej, Świętego Przymierza. Wykonują na terenie naszego kraju zadanie zmierzające do wyeliminowania pewnego zagrożenia, które mogłoby spowodować negatywne skutki dla całego świata.

Pełnicie głównie rolę rozpoznawczą i walkę podejmujecie tylko w ostateczności.

Zasadnicze zadania bojowe w razie potrzeby podejmie lotnictwo i oddziały wojska, które niedługo będą gotowe do przemieszczenia w rejon działań. Zanim przybliżę wam szczegóły, chcę uprzedzić, że to co powiem może zabrzmieć jak fantastyka, jednak wszystko, co do najdrobniejszych szczegółów jest prawdą.

Komendant mówił przez piętnaście minut, a gdy skończył Zawada i jego ludzie mieli miny, jakby przez salę przeleciała czarownica na miotle. To, co usłyszeli brzmiało dla nich równie nieprawdopodobnie.

- Czy są jakieś pytania? - komendant przerwał milczenie jakie zapadło, gdy skończył mówić.

- Komisarz Zawada, panie komendancie mam pytanie – odezwał się wstając z krzesła.

- Niech pan usiądzie komisarzu. Słucham.

- Jak wygląda kwestia dowodzenia?

- Racja. Tego nie powiedziałem. Pan i pańscy ludzie podlegają bezpośrednio pod kapitana Angelo Castellani – z grupy Włochów wstał mężczyzna, który tłumaczył słowa komendanta. - Pan ma prawo wydawać polecenia tylko w przypadku zerwania i niemożności nawiązania ponownie łączności z panem Castellani albo w razie bezpośredniego zagrożenia dla życia lub zdrowia. Tak na marginesie, na naszym terenie działa już oddział dowodzony przez jego brata.

- Proszę mi wybaczyć panie komendancie, - odezwał się zastępca Zawady, sierżant Marek Chojnicki – ale jakoś nie wierzę w te bzdury.

Komendant spojrzał na niego nic nie mówiąc, za to głos zabrał Angelo Castellani.

Wstał, podszedł do Chojnickiego i spojrzał mu prosto w oczy.

- Myślisz, że twoja wiara ma jakieś znaczenie? Rozbitek dryfujący na tratwie po oceanie też może nie wierzyć, że istnieją rekiny, ale czy to uchroni go przed tymi drapieżnikami? To, z czym możemy się tam zetknąć istniało, zanim nasi przodkowie zeszli z drzew. To siła mogąca zniszczyć całe życie na Ziemi i prawdopodobnie, gdy już zdoła się uwolnić, nikt nie zdoła jej pokonać.

Chojnicki patrzył na niego dłuższy czas, ale w końcu opuścił wzrok. To, co powiedział Castellani miało głęboki sens, ale dopiero w tej chwili wszyscy obecni na sali zdali sobie sprawę powagi sytuacji.

Odezwał się telefon. Angelo Castellani stojąc jeszcze przed Chojnickim rozmawiał z kimś przez chwilę, wytłumaczył coś członkom swojego oddziału i odezwał się po polsku.

Jego twarz rozjaśniał szeroki uśmiech.

- Panowie, uzyskałem właśnie bardzo ważną informację. Dzwonił mój brat Paolo, który jest na terenie waszego kraju. Okazuje się, że Bractwo nie jest jednak w posiadaniu Krwi Pańskiej, a w związku z tym wszystkie działania, jakie podejmą są najprawdopodobniej z góry

skazane na niepowodzenie. Podkreślam, najprawdopodobniej, bo nie mam co do tego stuprocentowej pewności. Nawet zakładając, że tak właśnie jest, cel naszej misji pozostaje bez zmian. To jedyna okazja do wyeliminowania raz na zawsze tej organizacji, bo zbierze się tam cała jej elita. Dlatego podejmiemy działania w miejscowości Odry dokładnie według planu przedstawionego przez pana komendanta. Jeśli się nie mylę, to jedyne zagrożenie czeka na nas ze strony ludzi, a z nimi, choćby byli najlepiej wyszkoleni damy sobie radę, bo do tego zostaliśmy przygotowani. Żadna pomoc wojska nie powinna być nam potrzebna.

Odpowiedzią na jego słowa było trzydzieści uśmiechniętych twarzy. Żołnierze Świętego Przymierza i polscy policjanci byli teraz jednym oddziałem, gotowym do walki i zdecydowanym ją wygrać za wszelką cenę.

Śmigłowce Mi-8 podchodziły do lądowania i Zawada znowu poczuł tę nieokreśloną obawę przed czymś, co może się zdarzyć. Szperacze oświetliły teren na uboczu wioski.

Jako pierwszy wylądował Angelo Castellani z częścią oddziału. Zawada widział ze swego miejsca jak jego ludzie sprawnie opuścili maszynę, rozbiegli się na boki i zabezpieczyli teren. Byli na wysokości może dwudziestu metrów, gdy usłyszał dźwięk, jakby kamienie uderzały o ściany śmigłowca. Ze zdziwieniem spostrzegł jak klatka piersiowa jego kolegi i podwładnego Darka Kalinowskiego wybucha krwawym gejzerem. Cholera, pomyślał, strzelają do nich. Tylko z czego, że pocisk przeszedł na wylot przez kamizelkę?

Śmigłowiec wpadł w niekontrolowany piruet. Ziemia zbliżała się w zawrotnym tempie.

Zawada zdążył pomyśleć, że na jawie spełnia się jego najgorszy koszmar, gdy niedaleko coś wybuchło w jasnym rozbłysku, żołądek podszedł mu do gardła, helikopter uderzył o ziemię przechylając się na lewy bok i zapadła cisza. Nie mógł widzieć z kabiny, że przed chwilą zza lasu zbliżył się do nich od tyłu mały, czarny i nieoświetlony helikopter, natychmiast otwierając ogień z wielolufowego działka, które wysunęło się z zasobnika. Na szczęście dla nich i trzeciego Mi-8, który też był

jeszcze w powietrzu, Angelo Castelani wykazał się niezwykłą przytomnością umysłu. Wycelował swój M-16 w rozbłyśki działka i wystrzelał w tym kierunku cały magazynek. Kompozytowo-aluminiowa, pochłaniająca fale radarowe skorupa śmigłowca nie była żadną przeszkodą dla pocisków, które przeszły ją jak papier. Z trzydziestu naboju o kalibrze 5,56 mm dwadzieścia trafiło w cel, piętnaście w kabinę, a pięć bezpośrednio w pilota, który zmarł w ciągu kilku sekund.

Maszyna pochyliła się nosem ku ziemi i bezwładnie zwała w dół eksplodując natychmiast po zderzeniu.

Zawada widząc, że Kalinowskiemu nie można już pomóc wyszedł na zewnątrz przytrzymując się pochylonej ściany kabiny. Przeliczył wzrokiem swoich ludzi. Wyglądało na to, że pozostałym nic się nie stało. Jeden z pilotów prawdopodobnie miał złamaną nogę.

Jego kolega obiecał, że zajmie się nim i oboje pozostaną przy śmigłowcu, po czym komisarz z oddziałem ruszył w drogę. Czas na rozpamiętywanie strat miał przyjść później.

Teraz najważniejsze było zadanie i wszyscy jego ludzie mieli tego pełną świadomość.

Szli dość szybko w kierunku celu, do którego mieli niecały kilometr i wtedy to poczuli. Angelo Castellani dał sygnał do zatrzymania się oddziału. Dostownie przed chwilą gdzieś przed nimi pojawiła się z każdą sekundą coraz bardziej intensywna łuna. Teraz poczuli delikatne drgania ziemi i usłyszeli ciche dudnienie. Najwyraźniej dobiegało od strony kręgów. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami podzielili się na trzy grupy. Każda miała podejść do celu z innego kierunku. Przypomnieli opracowane wcześniej zasady łączności, jeden z ludzi Castellani'ego wypuścił w powietrze miniaturowego, zdalnie sterowanego robota zwiadowczego i rozeszli się.

Zawada szedł przez cichy i ciemny las na czele ośmioosobowego oddziału w kierunku coraz jaśniejszego światła, które teraz zaczynało przebijać się między ośnieżonymi drzewami. Próbował się skupić na zadaniu, ale bez przerwy myślał o tym, co usłyszał na odprawie z komendantem głównym. Jeśli będzie tak, jak to przedstawiono w

najgorszym założeniu, może być niedobrze. Pocieszające było jednak, że Angelo Castellani jest dobrego zdania i twierdzi, że ci źli, na których szli zapolować nie mają relikwii, która pozwoli im uwolnić tego diabła, czy co tam ma siedzieć pod ziemią.

Korzystając z ciemności przeżegnał się ukradkiem nie chcąc, aby ktoś z oddziału to zobaczył i uznał za oznakę słabości.

Pędziliśmy z zawrotną jak na warunki drogowe prędkością. Nie miałem zaufania do wytworów przemysłu motoryzacyjnego Wielkiej Brytanii, dlatego przekonałem Paolo, żeby przesiąść się do mojego Jeepa. Straciliśmy niewiele czasu, bo trzeba było tylko trochę się cofnąć i przeladować broń, i inne bambetle z Land Rovera. Na nowiutkich oponach zimowych i włączonym napędzie na cztery koła mogłem miejscami przekroczyć setkę.

Amelka pomimo wcześniejszego wojowniczego nastawienia, zasnęła po kilku minutach i chrapała cichutko oparta o ramię teścia. Gosia w milczeniu patrzyła w okno, a Paolo z ożywieniem dyskutował ze mną na temat tego, co możemy zastać, gdy dojedziemy na miejsce.

- Swoją drogą, trochę mnie zaskoczyłeś tym, co powiedziałaś.

- Nie zrozum mnie źle, ale to jakoś samo przyszło. Pewnego dnia naszła mnie myśl, że ta rzecz jest bardzo ważna i za wszelką cenę musi być zabezpieczona, aby nie wpadła w niepowołane ręce. Ten sam głos podpowiedział mi, żebym tego nie wyjawiał, gdy pojawiłeś się u mnie razem z Salieri.

- Widocznie Bóg tak chciał – skomentował moje słowa z zagadkową miną i wskazał palcem w górę – i postanowił tak tobą pokierować.

- Trochę mnie tylko męczy świadomość, że twoi ludzie zginęli z przeświadczeniem, iż walczą o odzyskanie Krwi Pańskiej.

- Głupoty opowiadasz Wojtek. Moi ludzie zginęli w obronie słusznej sprawy.

Chronili wasze życie, a to obowiązek każdego chrześcijanina. Uwierz mi, że gdyby mieli wybierać czy najpierw chronić was, czy Krew Pańską, to bez wahania wybraliby ciebie i twoją rodzinę.

- No to trochę mnie uspokoiłeś, bo miałem cholerne wyrzuty

sumienia. A powiedz mi jeszcze, czy to, że nie mają relikwii naprawdę uniemożliwi im otwarcie bramy?

- Wojtek, wszystko co wiemy na ten temat pochodzi z bardzo starych zapisków i dokumentów. Nie mam pojęcia, czy zostały one spisane przez kogoś, kto miał rzeczywistą wiedzę na ten temat, czy też zasłyszał jakieś opowieści. To, co mówił ci Salieri jest zbieżne z informacjami, które posiadamy, można więc przyjąć, że w pozostałych kwestiach też się nie mylimy.

- A to znaczy?

- A to znaczy, że zabraknie im jednego, najważniejszego elementu do otwarcia szatanowi bramy na ten świat.

- A jak złączą odprawiać te swoje czary mary, to coś się będzie działo, czy nic się nie stanie?

- Nie wiem. Prawdopodobnie ważna jest kolejność tego, co będą robić. Podobno najpierw będą musieli przywołać szatana do bramy przy pomocy zaklęć i ognia, nie wiem jak to ma dokładnie wyglądać. Ma to sprawić, że zło będzie gotowe do wyjścia ponownie na ten świat w chwili, gdy otwarte zostanie zamknięcie. To z kolei wymaga użycia Krwi Pańskiej, którą oni nazywają kluczem i krwi niewinnego, czyli ostatniego posiadacza relikwii, który został obdarzony jej boską mocą.

- A jak zamknięcie się nie otworzy, to nic złego się nie wydarzy?

- Chyba nie, nie wiem. Jedziemy, żeby to sprawdzić, a przy okazji zniszczyć tą ich przekłętą organizację. Wiem, że brzmi to źle w ustach chrześcijanina, ale niekiedy tak trzeba. Tych ludzi nie da rady sprowadzić ze ścieżki zła modlitwą, ani dobrym słowem.

Można ich porównać do raka toczącego ciało. Niekiedy jedynym wyjściem jest jego definitywne wycięcie, żeby uratować zdrową resztę.

- Myślisz, że tych ludzi z Bractwa będzie tam wielu?

- Hm..., pewnie tak. Ale rozpoznaniem zajmie się mój drugi oddział. Powinni już tam być, albo właśnie docierać na miejsce. Na pewno będzie tam cała tak zwana Wielka Trójca na czele z Wielkim Mistrzem, poza tym jacyś mniejsi rangą bracia i trochę ludzi ochrony. Pewnie około dwudziestu, trzydziestu osób się tam zbierze.

Paolo mówiąc te słowa zamyślił się i nagle bez widocznego powodu wybuchnął głośnym śmiechem. Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

- Przepraszam – powiedział. – Właśnie coś mi się przypomniało i jeśli to prawda, to bracia przeżyją zawód większy niż nieudane wypuszczenie na wolność tego ich ukochanego szatana.

- Co masz na myśli?

- Widzisz, czytałem dość dawno temu bardzo stare opracowanie na temat Bractwa.

Wynikało z niego, że Wielką Trójcę, bo tylko oni mają prawo wypowiedzenia inwokacji przywołującej zło z wygnania, ma spotkać wielka nagroda. Jeśli napisano tam prawdę, to mają oni otrzymać dar nieśmiertelności, aby wspólnie z szatanem panować na wieki nad całą Ziemią. Jeżeli to jest prawda, to mogą czuć się troszkę zawiedzeni, gdy ich plany nie wypalą.

Oboje parsknęliśmy śmiechem. Z tylnej kanapy dołączył chichot Gosi i rubaszny rechot taty Mariana. Taka chwila odprężenia była nam bardzo potrzebna. Według GPS do celu zostały dwa kilometry i wtedy ujrzałem łunę nad lasem.

- Zaczęło się – powiedział Paolo, patrząc do przodu z wielkim napięciem na twarzy.

- To znaczy, że im się udało? – spytała Gosia zatrwożonym głosem.

- Dzięki fortelowi Wojtka raczej nie, ale na pewno próbują już coś zrobić, żeby ich prorocтва się wypełniły. Ta łuna nie wróży niczego dobrego.

- Jedziemy dalej? – spytałem zwalniając.

-Myślę, że to nie jest zbyt bezpieczne, bo nie możemy obserwować niczego poza drogą przed samochodem – odparł Paolo. – Dalej będzie lepiej iść pieszo.

- W porządku – powiedziałem zatrzymując auto na odśnieżonym fragmencie pobocza. – Ale zabieram z sobą moją zabawkę. – Mówiąc to wyjąłem spod fotela pistolet maszynowy, który wcześniej należał do Śniadego i znalezione przy nim dwa zapasowe magazynki.

- Ja też nie idę bez mojego przyjaciela Sakusia – teść tulił do siebie karabin jak maskotkę.

- Jesteście jak dzieciaki – skomentowała Gosia, kręcąc głową z politowaniem.

- Myślałam, że chociaż ty tato jesteś trochę poważniejszy.

- Gdyby nie Sakuś, to byś już była wdową – odparł tata Marian wywołując na twarzy Gosi dziwny grymas podobny do uśmiechu.

- Chodźcie już – ponaglił nas Paolo, patrząc na Gosię i trzymając w objęciach broń podobną do mojej. Swój chłop. Ledwie nas poznał, a już ma poczucie humoru jakby wychował się w tym kraju.

Śmigłowiec wylądował na skraju lasu. Pilot nie używał zewnętrznego oświetlenia, kierował się wyłącznie podczerwienią i systemami radarowymi. Salieri nie czekając, aż wirnik zwolni wyskoczył z kabiny i podszedł do stojącej kilkanaście metrów dalej grupy mężczyzn.

- Witaj Wielki Bracie – przywitał się z jednym z nich, chyląc głowę.

- Witaj bracie, gratuluję sukcesu. Nie myliłem się, kiedy popierałem twoją kandydaturę do Wielkiej Trójcy. Teraz jestem pewien, że miałem rację co do ciebie. Pokaż mi klucz.

- Proszę Mistrzu – powiedział Salieri podając zawinięty w woreczek kawałek drewna.

Wielki Mistrz wziął go w obie dłonie i trzymał przez chwilę, jakby na coś czekając, a następnie schował do kieszeni płaszcza.

- Aż trudno uwierzyć, że tak niepozorna rzecz ma moc otwarcia bramy dla naszego Pana. Ale chodźmy już, bo najwyższa pora odprawić rytuał i dopełnić przeznaczenia.

Dołączył do nich trzeci mężczyzna i razem ruszyli w głąb lasu. Śmigłowiec wzniósł się w powietrze. Miał zabezpieczać przedstawienie od góry. Tuż za nimi szło czterech uzbrojonych żołnierzy stanowiących gwardię przyboczną Trójcy.

Po kilku minutach marszu dotarli do kręgu głązów oświetlonego przenośnymi lampami akumulatorowymi. Dwunastu niższych rangą braci zdążyło przygotować już miejsce na przybycie Pana. W środku kręgu ułożyli stos pakunków wysoki prawie na dwa metry. Przy jednym z

głazów stał zwykły składany stolik, a na jego blacie leżał bogato zdobiony, zakrzywiony nóż, zwykła plastikowa miska i pojemnik z wodą.

- Zaczynamy! – zdecydował Wielki Mistrz. Podszedł jeden ze stojących z tyłu braci i podał członkom Trójcy niewielkie zawiniątka z szatami liturgicznymi. Gdy założyli je na siebie wyglądali jak przefarbowani na czarno członkowie Ku Klux Klanu. W spiczastych czapkach wyglądali jednocześnie groteskowo i złowrogo. Na znak dany przez Wielkiego Mistrza zapłonął ogień, a pozostali członkowie grupy, która tu przybyła, cofnęli się na skraj polany. W ułożonych w centrum kręgu paczkach znajdowała się mieszanka tlenku żelaza i sproszkowanego aluminium, popularnie nazywana temitem, dająca najwyższą możliwą do uzyskania konwencjonalnymi metodami temperaturę ponad 3000 stopni Celsjusza. Białe światło załaziło okolicę i jego blask szybko rósł. Salieri z dwoma towarzyszami zbliżył się do olśniewającego płomienia, po czym rozpoczęli inwokację.

Słowa dawno niesłyszanego, starszego niż cywilizacja ludzka języka przebijają się przez syk ognia, niosąc w sobie wielką moc.

- *Therr sati pierr! Theierr thorst!* – zaintonował Wielki Mistrz.

- *Korti tinah mirr! Sur war en u axin!* – dokończyli jego towarzysze.

Ziemia zadrżała i gdzieś z jej głębi dobiegło głucho westchnienie. Brzmiało ono, jakby jakiś olbrzym przebudził się głęboko pod ziemią z długiego snu. Drgania stawały się coraz silniejsze, jakby do tego miejsca zbliżał się niewidoczny jeszcze pociąg.

- *Therr sati pierr! Theierr thorst!* – kontynuowali już teraz razem wezwanie. – *Korti tinah mirr! Sur war en u axin! Tu narr e korudem! Orr mirr u thirr!*

Podłoże drgało coraz mocniej i rozległ się narastający odgłos podobny do niezwykle odległego bicia w bęben. Dudnienie stopniowo nabierało siły, jego amplituda rosła do nieprawdopodobnego tempa i w jednej chwili zapadła całkowita ciemność. Lampy zgasty jakby wyłączone wspólnym przyciskiem. Chemiczny ogień, jeszcze przed sekundą oślepiający, otoczyła woalka czarnego wirującego w szaleńczym tańcu dymu tłumiąc całe światło.

- *Tu narr e korudem! Orr mirr u thirr! Tu narr e korudem! Orr mirr u thirr! Tu narr e korudem! Orr mirr u thirr! Tu narr e korudem! Orr mirr u thirr! Tu narr e korudem! Orr mirr u thirr!* – niosło się jak mantra w ciemnościach i w tym momencie ogień zapłonął na nowo. Stojące w kręgu głazy poruszyły się, uniosły nad ziemię i również zaczęły wirować niczym olbrzymie śmigło.

Płomień uniół się i zawieszony w powietrzu rozgorzał jeszcze intensywniej, a ziemia wewnątrz kręgu tańczących gładów zmieniła się w ciemną, szybko poruszającą materię podobną do dymu. Towarzyszyło temu ponowne dudnienie, które nagle ucichło, a gdzieś spod ziemi odezwał się podobny do gromu głos, który wstrząsnął całą okolicą.

- *War korudem narr?!*

- *Korudem sati!* – odpowiedzieli zakapturzeni mężczyźni.

Salieri podszedł do stolika, z pojemnika wlał do miski wodę i zamoczył w niej zakrwawiony kawałek materiału. Już po chwili zabarwiła się na czerwono. Następnie wyjął z folii drewniany klocek i leżącym na stole ozdobnym nożem zeszkrobał warstwę z jednej ścianki uważnie patrząc, aby wszystkie fragmenty wpadły do miski. Z namaszczeniem uniół ją ze stołu i niosąc przed sobą podszedł do kręgu.

- *Orr mirr u tir sati!* – krzyknął przeciągle i chlusnął wodą z miski w środek wiru, jakby opróżniał ją po zakończonym praniu.

Mgła w kręgu zawirowała szybciej i wybrzuszyła się, jakby wypychana od środka wielką siłą. Jeden z kłębów wypętlzył na zewnątrz okręcając się wokół Salieri, który obserwował to zjawisko z radosnym uniesieniem. Dwa kolejne pasma zmierzały w kierunku pozostałych uczestników tego czarnego sacrum, którzy oczekiwali na nie z widocznym napięciem, gdy spod ziemi dał się słyszeć potworny ryk zawodu i wielkiej złości. Przez podłoże przebiegł skurcz, jakby gwałtownego tąpnięcia gdzieś w otchłani i wszystko ucichło. Głazy pozbawione napędzającej je mocy upadły w kręgu, płomień zgasł, a czarny dym ponownie zamienił się w ziemię, z tym, że przypominającą teraz ogromne zryte kretowisko.

- *Co się stało?!* – przerażonym głosem spytał Wielki Mistrz zdejmując spiczastą czapkę. Na jego twarzy widoczny był strach.

- Nie wiem – odparł Salieri patrząc z niedowierzaniem w nieruchomy krąg gładów.

W tym momencie jego uwagę zwróciło coś bardzo dziwnego, co pojawiło się na jego piersi.

I nagle dokoła rozpętało się piekło.

Jacek Kowalski szedł w stronę wyraźnie widocznej między drzewami łuny. Nie czuł lęku. Był zdecydowany wyjaśnić to, co nie dawało mu spokoju od ponad roku i co zrujnowało jego życie pozbawiając go jedynej osoby, którą kochał. Nawet gdyby była to ostatnia rzecz, jaką miałby zrobić. Czuł, że dzisiaj ma ku temu jedyną i niepowtarzalną okazję. Las był cichy i ciemny. Zdawał sobie sprawę, że to nienaturalne, ale było mu wszystko jedno. W powietrzu czuło się napięcie, jakby przechodził w pobliżu przewodów elektrycznych. Powodowało, że całe ciało pokrywało się gęsią skórą. Śnieg skrzypiał pod butami i co dziwne jak na tą porę roku, i tak niską temperaturę, pomiędzy drzewami kłębiła się miejscami dość gęsta mgła. Jej jęzory oplatały pnie drzew tuż przy ziemi, owijały się wokół pozbawionych liści krzaków i wychodziły na ścieżkę, którą szedł ku nieznanemu.

Zatrzymał się nasłuchując. Gdzieś w pewnym oddaleniu słyszał narastający dźwięk silników, po chwili stłumiony wybuch i jakiś głos. I to głos bardzo znajomy i bardzo kochany, który pochodził z przeszłości.

- Jacek – szeptało gdzieś w nieokreślonym miejscu. Mogło to dochodzić z każdego punktu. – Jacek!

- Zosia? – był pewien, że to głos jego żony.

- Jacek, to ja. Tak bardzo tęskniłam kochany – na ścieżce przed nim pojawiła się niewyraźna sylwetka. Szła w jego stronę. Zmrużył oczy i patrzył w napięciu.

- Zosia, to ty? Naprawdę to ty?

- Tak Jacku. Przyszłam, żeby cię zobaczyć i opowiedzieć, co się wtedy stało.

- Co się stało kochanie? – nie wierzył własnym oczom, ale to była bez wątpienia ona. Znał przecież własną żonę. Tylko dlaczego chodzi po lesie z koszykiem? Dlaczego w letniej sukience? Przecież zmarznie i się

rozchoruje.

- Powiedzieli ci kochanie, - mówiła Zosia – że nie żyję.

- Tak mówili.

- Kłamali Jacku, kłamali. Przecież jestem tutaj. Widzisz mnie. Kłamali, żeby nas rozdzielić, żebyś się martwił i płakał po nocach. Ci policjanci kłamali Jacku. Oszukali ciebie i mnie. Ale my się w końcu spotkaliśmy i nic nas już teraz nie rozdzieli.

- Ale jak to zrobili? – jego umysł stopniowo otaczał senny opar. Zacierała się różnica między jawą i snem. – Dlaczego tak mówili, Zosiu?

- Zazdrościli nam. Zazdrościli, że się Kochamy. Zrobili to, żebyśmy cierpieli nie mając siebie.

- Ale już teraz będziemy zawsze razem, prawda?

- Będziemy Jacku, ale musisz im się odwdziżyć za naszą krzywdę. Za nasze cierpienie. Muszą ponieść karę za to, co zrobili.

- Powiedz mi, co mam robić.

- Idź przed siebie. Tam spotkasz tych policjantów. Są w lesie dookoła kręków.

- Pójdę Zosiu. Spytam ich.

- Nie pytaj ich o nic. Są źli. Przebrali się, żebyś ich nie poznał. Ale to oni. Musisz ich ukarać. Pamiętaj Jacku, oni muszą umrzeć!

- Nie ma innego wyjścia?

- Nie ma. Muszą umrzeć. Jeżeli mnie kochasz, zrób to Jacku. Pomścij naszą krzywdę. Niech wiedzą jak smakuje cierpienie.

- Zrobię to Zosiu. Już idę. A ty pójdziesz tam ze mną?

- Ja zaczekam tutaj. Później przyjdę do ciebie i będziemy razem już na zawsze.

Ściskając w dłoniach sztucer ruszył dalej w stronę błyszczącego niedaleko światła.

Wiedział już, co ma robić.

Poruszali się dwuosobowymi zespołami. Las był dziwnie cichy i ciemny, ale cel widzieli wyraźnie, bo światło przebijało między pniami drzew. Komisarz Zawada miał w zasięgu wzroku dwie grupy idące po jego obu stronach. Wiedział, że trochę dalej zacierają w tym samym

kierunku ludzie kapitana Castellani. Mieli dojść do kręgów w tym samym czasie i dopiero po rozpoznaniu sytuacji podjąć decyzję, co robić dalej. Działania podejmowane z tak wielką ilością niewiadomych, nie były możliwe do wcześniejszego dokładnego zaplanowania.

Żołnierz obsługujący robota zwiadowczego zaklął szpetnie. Przez chwilę oglądał na przenośnym terminalu oświetlone jasnym płomieniem ustawione w krąg głazy i stojących dookoła ludzi. Włączając termowizję obejrzał cały otaczający ten teren obszar i był zupełnie pewien, że wszyscy zebrali się wokół celu. Jedynymi źródłami ciepła poza polaną byli ludzie z oddziałów Zawady i Castellani'ego. Wracając obiektywem kamery na polanę wyłączył czuły na podczerwień przetwornik, aby uniknąć jego uszkodzenia. I wtedy nagle obraz zaśmiał się i znikł. Kontrolki monitorujące pracę kanałów urządzenia zapaliły się na czerwono i już wiedział, że stracił robota.

Jako pierwszy dostrzegł go sierżant Chojnicki, który szedł w parze z Zawadą.

Mężczyzna stał w niedbalej pozie oparty o drzewo i palił papierosa. Na ramieniu miał przewieszony sztucer i jakoś tak śmiesznie podnosił głowę do góry wypuszczając dym ku niebu.

- Dzień dobry panom policjantom – odezwał się na ich widok. – Czekałem na was.

- Jak to? – Zawada był zaskoczony jego słowami.

- Zosia mówiła, że tutaj będziecie.

- Jaka Zosia? Nie wiem, o czym mówisz człowieku.

- Dobrze wiesz. Podejź, to ci pokażę.

Widząc, że mężczyzna trzyma broń na ramieniu Zawada podszedł bliżej i w tej samej chwili pomyślał, że ten człowiek jest szybki jak błyskawica. Ledwie dostrzegalnym ruchem odbił się od ziemi i runął na niego przewracając na ziemię. Dostrzegł błysk noża i poczuł uderzenie w klatkę piersiową. Kamizelka wytrzymała, ale nerwy puściły Chojnickiemu. Pojedynczy huk strzału rozległ się w lesie z mocą gromu. Głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu, trysnęła krew i upadł bezwładnie w śnieg.

Z góry ta scena wyglądała dziwnie. Jacek Kowalski widział leżącą na

ziemi postać.

Wydała mu się znajoma. Obok stali dwaj ubrani w czarne mundury mężczyźni. Przyjrzał się dokładniej i ze zdziwieniem poznał, że to on leży w śniegu z przestreloną głową. Ale jak to możliwe? Poczł, że ktoś chwytą go za rękę.

- Chodź! - usłyszał.

- Zosiu, gdzie idziemy?

- Tam gdzie trzeba – głos miała jakiś szorstki, niepasujący do tego, jaki zapamiętał.

- Czekają za nami. Pospiesz się!

- Poczekaj, - zawahał się – powiedz mi najpierw, co się stało.

- Sam za chwilę zobaczysz. Teraz idziesz ze mną. – To nie była jego żona. Znajoma twarz przeobraziła się. To, co ciągnęło go w stronę płonącego ognia było straszne. Ta istota pochodziła w najgorszych koszmarów, po których człowiek budzi się zlany potem i później długo nie może zasnąć. Szarpał się, ale to coś było silne. O wiele za silne dla niego. Nagle na twarzy potwora pojawił się strach. Skurczył się, zwinął w sobie niczym kartka papieru i zniknął, a obok niego pojawiła się Zosia. Prawdziwa Zosia, był tego pewien. Człł bijącą od niej dobroć i wielką miłość jaką zawsze go darzyła. Jej postać otaczała świetlista aureola.

- Chodź Jacku – powiedziała cichutko. – Już dobrze, nic ci już nie grozi. Chodź ze mną.

Poddał się jej, gdy chwyciła go za rękę i poprowadziła świetlistą wstęgą gdzieś w górę. Przy końcu tej drogi czekało na nich szczęście. Już nigdy nie będzie samotny, pomyślał w zadowoleniu i po raz pierwszy od bardzo dawna się uśmiechnął. Witąły go same przyjazne twarze ludzi, których kochał, a którzy wiele lat temu odeszli.

- Leon, zgłoś się – odezwał się głos w słuchawce radiostacji, którą miał wetkniętą w ucho.

- Zgłaszam się – odparł Zawada rozpoznając Angelo.

- Jesteś już na skraju polany?

- Właśnie dochodzimy.

- Zatrzymajcie się i nie próbujcie tam wchodzić.

- Przyjąłem. A możesz powiedzieć, co się dzieje?

- Coś zagraża nam drogę. Jakby niewidoczna ściana. Widzę przez nią, co się tam dzieje, ale nic nie słychać i nie można przejść dalej.

Zawada zderzył się z czymś i prawie upadł. Castellani mówił prawdę. Jakaś niewidzialna bariera zamykała im dostęp do kręgów. Ze swej pozycji widział w białym blasku ognia płonącego w kręgu głazów kilkunastu mężczyzn stojących w grupach na polanie i trzech ubranych w czarne szaty i dziwne spiczaste czapki. Czując wyraźny opór niewidzialnej zapory zbliżył się na ile to było możliwe i poczuł się jakby oglądał film.

Stojące do tej pory nieruchomo kamienie zaczęły wirować w powietrzu, ogień zapłonął nad nimi, a ziemia wewnątrz wiru zmieniła się w czarny dym.

Jeden z przebierańców podszedł do stojącego obok stolika, coś tam robił, a później podszedł do kręgu ze zwykłą miską w rękach i wylał z niej coś wprost w wirujący opar.

Ziemia zadrżała, coś huknęło donośnie i kamienie spadły. Opór niewidocznej bariery w tej samej chwili zniknął.

- Leon zgłoś się - usłyszał w radiostacji.

- Zgłaszam się.

- Bądź gotowy, wchodzimy do akcji. Najpierw my, a zaraz później ty z oddziałem.

Pamiętaj, że nikt nie może się stąd wydostać. Tak jak uzgadnialiśmy, w przypadku jakiegokolwiek oporu możecie strzelać, żeby zabić. Koniec zabawy. Przyjąłeś?

- Przyjąłem. Bez odbioru.

Z pomiędzy drzew wysunęły się ciemne sylwetki, laserowe wskaźniki celu zapłonęły na stojących przy kamieniach postaciach.

- Stój, policja! Nie ruszać się! Jesteście otoczeni! – krzyknął i nagle rozpętała się strzelanina jak na wojnie.

Widział ze swej pozycji, że członkowie Bractwa stojący na polanie padli na ziemię i rozpoczęli systematyczny ostrzał lasu z broni

automatycznej. Byli z całą pewnością dobrze wyszkoleni, bo zrobili to niemal mechanicznie. Kilka zabłąkanych pocisków przeleciało bardzo blisko komisarza. Odruchowo skulił się i opuścił głowę. Żołnierze Angelo Castellani'ego zajęli pozycje wśród drzew chowając się za ich pniami i metodycznie ostrzeliwali przeciwników. Byli w o wiele lepszej sytuacji, bo tamci nie mieli żadnej osłony. Jeden z ubranych w czarne szaty mężczyzn pochylił się i podniósł z ziemi karabin któregoś z martwych żołnierzy. Zawada wycelował swój MP5 posyłając w jego kierunku krótką serię i z zadowoleniem odnotował kilka trafień. Jego ludzie widząc, że rozpoczął ostrzał, też włączyli się do walki. W krótkim czasie na polanie nikt się nie ruszał, a cisza jaka zapadła po ogłuszającej kanonadzie aż raziła uszy.

- Leon zgłoś się – Angelo był zupełnie spokojny, jakby przed chwilą relaksował się na leżaku.

- Zgłaszam się.

- Wychodzimy na polanę i sprawdzamy teren, tylko ostrożnie. Pamiętajcie o wzajemnym ubezpieczeniu.

Krajobraz wyglądał jak po bitwie. Kilkanaście ciał leżało w zabrudzonym na czerwono śniegu. Zawada odnotował, że większość miała rany postrzałowe na głowach.

Strzelcy po ich stronie nie pozostawili niczego przypadkowi. Bracia mogli również używać kamizelek. W kręgu głązów nic się nie ruszało, tylko ziemia wyglądała tam jak po ostrzale artyleryjskim.

- No to po wszystkim – powiedział Angelo podchodząc do Zawady.
– Poszło o wiele łatwiej niż się spodziewałem. Mamy tutaj ich szefostwo, tak zwaną Wielką Trójkę i sporo ważniejszych członków organizacji. To dotkliwy cios dla Bractwa, o ile nie druzgocący.

- Co dalej? – spytał komisarz.

- Udokumentujemy to wszystko i urządzimy gdzieś tutaj pochówek. To byli źli ludzie, ale nie godzi się zostawiać ciał byle jak.

- A nie musi tutaj ktoś przyjechać, zrobić jakieś czynności? Trzeba by zawiadomić prokuraturę.

- Słuchaj Leon, wiem, że jako policjant masz wpojone pewne

procedury, ale tej akcji oficjalnie nie było. Nas tutaj nie było. Zakopimy zwłoki, zamaskujemy wykopaliska śniegiem, opracujemy jakąś wiarygodną legendę i po wszystkim. Wracamy do Warszawy, zdajemy relację z akcji, a później lecimy do Watykanu. I oficjalnie nigdy nas, ani was tutaj nie było.

Oboje podskoczyli, bo za ich plecami rozległy się strzały. Odwrócili się patrząc ze zdumieniem, jak jeden z członków Trójcy idzie przed siebie z otworem po kuli nad lewym okiem i wali z karabinu do ich ludzi. Widząc, że kilku upadło, Zawada podniósł MP5 i otworzył ogień. Trafił go, bo ubrany w czarną szatę mężczyzna zachwiał się, ale szedł dalej nic sobie z tego nie robiąc. Castellani puścił krótką serię z M16, ale z podobnym rezultatem. Salieri uśmiechnął się okrutnie, szczerząc przy tym szyderczo zęby i powoli odwrócił w ich kierunku unosząc lufę karabinu. Zawada patrzył jak Castellani przeladowuje zamocowaną pod lufą M16 grubą rurę granatnika M203. Z głośnym pufnięciem granat pomknął do celu. Zdali sobie sprawę, że Salieri był zbyt blisko, gdy fala uderzeniowa rzuciła ich obu na ziemię i ogłuszyła. Trwało kilkanaście sekund, zanim byli w stanie się podnieść. W głowach pulsowała krew i ledwie słyszeli, co się wokół dzieje.

Zawada spojrzał w miejsce, gdzie stał Salieri i zwymiotował. Głowa i kończyny leżały oddzielnie, a reszta ciała przypominała świeżą produkcję olbrzymiej maszyny do mięsa.

Odezwało się radio. Castellani słuchał meldunku i na jego brudnej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Leon, zaraz poznasz mojego brata Paolo i człowieka, od którego to wszystko się zaczęło. Właśnie tutaj idą.

Na polanę wszedł uzbrojony w pistolet maszynowy mężczyzna podobny do Angelo jak dwie krople wody, jakaś para prowadząca za ręce chudą jak patyk dziewczynę i starszy człowiek niosący na ramieniu karabin snajperski. Popatrzyli na polanę i uśmiechnęli się, jakby oglądali coś przyjemnego.

- Bardzo to wszystko dziwne, - pomyślał Zawada. - A myślałem jadąc na odprawę, że znowu będziemy łapać jakichś handlarzy narkotyków i

tłumaczyć się ze zniszczonych drzwi, i okien, a napakowanym sterydami idiotom tłumaczyć ich prawa. - Ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że chętnie zamieniłby swoją pracę na służbę w Świętym Przymierzu.

Powrót do domu zajął nam ponad dwie godziny, bo warunki na drodze nadal były trudne. Gosia i Amelka spały na tylnej kanapie chrapiąc jak niedźwiedzie. Teść siedział obok mnie z miną dzieciaka, któremu zginęła ulubiona zabawka, bo Paolo Castellani za nic w świecie nie chciał mu zostawić na pamiątkę karabinu. Słuchałem radia, właśnie nadawali poranne wiadomości, w których relacjonowali najważniejsze wydarzenia nocy. Było trochę o utrudnieniach na drogach w całym kraju, o kilku wypadkach i jakimś niegroźnym w skutkach pożarze budynku. Spiker zaczął mówić o jakiejś katastrofie. Podgłosiłem radio.

- „... nad ranem w okolicach miejscowości Odry w województwie pomorskim miała miejsce katastrofa dwóch śmigłowców, które najprawdopodobniej zderzyły się w powietrzu. Według naszych informacji jeden ze śmigłowców należał do lotnictwa policyjnego. Anonimowe źródło poinformowało nas, że nie żyje jeden policjant, a kilku jest lekko rannych. Prawdopodobnie szczątki maszyn upadły na teren muzeum Kamiennych Kręgów, które jest jedynym tego typu obiektem w Polsce. Dalsze szczegóły postaramy się podać w późniejszych wydaniach wiadomości.”

Tata Marian, który też słuchał tej informacji tylko pokręcił głową i mruknął.

- Anonimowe źródło, dobre sobie. I możesz tu człowieku wierzyć mediom.

Przecież kłamią jak z nut.

ROZDZIAŁ VIII

Dziesiątki petard wybuchaly nad domem. Świetliste kolumny w sykiem i gwizdem startowały w niebo, wydawało się, że niektóre dolatują do chmur. Pióropusze, fontanny i rozpryski różnokolorowego ognia pokrywały dużą połąć nieboskłonu. Całe widowisko było tylko naszym dziełem, bo najbliższe zabudowania znajdowały się ponad pół kilometra dalej. Amelka stała oczarowana z głową zadartą ku górze. Tata Marian nie pozwolił, żeby ktokolwiek mieszał się do odpalania rakiet. Twierdził, że to rekompensata po tym, jak Paolo wczoraj rano zabrał mu ukochanego *Sako*. Piętnaście minut temu zaczął się Nowy Rok 2013. Byliśmy szczęśliwi jak dzieci, że nasze życzenia spełniły się i możemy znowu cieszyć się sobą.

- Chodźcie dzieci – powiedział teść po odpaleniu ostatniej racy. – Idziemy do domu, bo zimno jak diabli, Nalejemy sobie szampana, a później może zięciu coś mocniejszego? Po tych wydarzeniach należy się nam, prawda Gosiu?

- Każdy powód jest dobry, żeby usprawiedliwić nadużywanie alkoholu – najwyraźniej doszła już do siebie, bo znowu szukała zaczepki.

- A co tam – udał, że się nad czymś zastanawia. – Najwyżej pójdziemy w przyszłym tygodniu z Wojtkiem i zapiszemy się na zajęcia grupy „AA”. A poza tym nie mam zamiaru słuchać złośliwych uwag kobiety-zombie. - Chciał jeszcze coś dodać, źle uciszyła go celnie rzucona przez Gosię śnieżka.

Kilka minut później siedzieliśmy w salonie sącząc alkohol z kieliszków. Teść dłubał coś przy ręce.

- Wojtek, możesz dotknąć mi tego palca. Chyba poparzyłem sobie zapalniczką. Na mrozie nie czułem, ale teraz boli jak cholera.

- Daj – dotknąłem wskazanego miejsca ponownie nie czując tak dobrze znanego wyładowania. – Tata, to chyba przestało działać.

- Pokażcie – Gosia wepchnęła się między nas patrząc na palec teścia. – Faktycznie, nic się nie dzieje.

- Pamiętajcie, po raz pierwszy nie wyszło wczoraj, jak próbowałem wyleczyć Paolo.

I teraz znowu nic.

- No trudno, - Gosia jak zwykle twardo stąpała po ziemi – zrobiłeś tyle dobrego, że to już chyba nie zrobi ci różnicy?

- W zasadzie nie – odparłem. – Tylko, co powiem ludziom, jak znowu jutro pojawią się przed domem.

- Biorę to na siebie – zaoferowała i byłem jej za to wdzięczny. Może należał mi się już powrót do normalnego życia.

Kilka dni później Gosia w tajemnicy przed wszystkimi poszła do lekarza i okazało się, że Amelka będzie miała rodzeństwo. Teść był gotów nosić ją wszędzie na rękach, jakby ciąża była chorobą. Po tygodniu pacjenci przestali przyjeżdżać pod dom. Informacja na facebooku dotarła do wszystkich zainteresowanych. Trochę mi tego brakowało, ale w końcu mogłem zająć się rzeczami, na które ostatnio nie miałem czasu. Wczoraj poszedłem po raz pierwszy na trening *Krav Magi*, prowadzony przez bardzo sympatycznego i zbudowanego niczym Herkules Pawła Wełnickiego, kuzyna mojego pierwszego pacjenta - Krystiana.

Dotarło do mnie, że świat pełen jest czyhających dookoła niebezpieczeństw i chciałem umieć obronić siebie, i dziewczyny w razie jakiegoś zagrożenia. Moja kondycja była w opłakanym stanie i pomimo ulgowego potraktowania przez Pawła miałem dzisiaj takie zakwasy, że ledwo mogłem się ruszać. Miałem wrażenie, że bolą mnie nawet włosy i paznokcie. Zdolności leczenia znikły tak nagle, jak się kiedyś pojawiły. Podjąłem próbę ich przywrócenia, ale bez efektu. Gosia studiowała swoje ukochane pielęgniarstwo z wielkim zaangażowaniem, a tata Marian codziennie wymykał się z domu z Amelką i wyjeżdżali razem jego ukochanym Passatem na basen. Stwierdził, że też będzie dbał o kondycję, a Amelce przyda się opieka nad wodą, żeby nie zaczepiali jej przypadkiem jacyś adoratorzy.

Urodziny Gosi przypadły w sobotę. Mijał właśnie czwarty tydzień nowego roku.

Szybciutko zjedliśmy obiad. Był wyśmienity, bo dziewczyny przygotowały makaron z warzywami i łososiem, a później wynieśliśmy ze spiżarni tort śmietankowy będący dziełem wspólnym Amelki i teścia, złożyliśmy Gosi życzenia i oznajmiliśmy, że w ramach prezentu jedziemy po południu na zakupy, to zasponsorujemy jej taki, jaki sobie sama wybierze. Amelka miała dość tajemniczą minę. Widocznie kombinowała, że przy okazji wydębi coś dla siebie.

- Chyba pod dom podjechały jakieś samochody – powiedział teść nastawiając uszy jak nietoperz. – Na pewno kilka. Czyżby dalsi pacjenci?

- Już lecę do okna – krzyknęło nasze dziewczusko biegnąc do kuchni, skąd najlepiej było widać furtkę. – To pan Paolo! – wrzasnęła. – Już otwieram.

Zanim doszliśmy do drzwi, usłyszeliśmy pisk Małej i zobaczyliśmy, że rzuca się z impetem na szyję stojącego w progu Paolo Castellani'ego, który z trudem złapał równowagę.

- Witam – odparł, gdy udało mu się wyswobodzić z objęć naszej pociechy. – Cieszę się, że was widzę całych, zdrowych, no i szczęśliwych.

- Wchodź – zaprosiłem go do domu. – Co tak stoisz, jakbyś był u obcych? Gosia ma urodziny to załapię się na tort.

- Zaraz wchodzę, tylko otwórzcie bramę. Przywiozłem wam specjalnego gościa i chcę, żeby jego samochód wjechał przed dom. Głupio, żeby wchodził do was z ulicy.

- Kogo do nas przywiozłeś? – spytał podejrzliwie tata Marian. – Może mojego Sakusia? – zrobił oczy jak kot ze Shreka. On jednak nigdy nie spoważnieje.

- Marian, Marian – Paolo pokręcił głową. – Przyjedź do mnie, to poćwiczysz sobie na strzelnicy. Jeszcze ci się ten karabin znudzi. No, otwierajcie tą bramę, bo nie wypada, żeby taki gość czekał w samochodzie.

Nacisnąłem klawisz mechanizmu bramy i po chwili pod dom zajechała elegancka limuzyna z ciemnymi szybami. Otoczyli ją mężczyźni

w czarnych garniturach wyglądający jak ochrona prezydenta, otworzyli tylne drzwi i na widok ubranej w białą szatę osoby, która wysiadła, szczęka mi opadła.

- Jezu, przecież to... - Gosia nie była w stanie dokończyć zdania.

- O cholera! – teść najdokładniej opisał to co czuliśmy, z tym, że słownictwo niezbyt pasowało do sytuacji.

- Przecież to papież! – wyrwało się Amelce.

- Dzień dobry kochani. Mogę wejść? – spytał Benedykt XVI stając przed drzwiami naszego domu i tarmosząc czuprynę Małej, która wpatrywała się w niego jak w obrazek.

- Eeee..., yyy... - odparłem bardzo przytomnie, wywołując salwę śmiechu wśród papieskiej ochrony.

- Zapraszamy, Wasza Świątobliwość. – Gosia jako pierwsza odzyskała rezon.

Papież wszedł i Gosia z teściem poprowadzili go do salonu, a Paolo spytał szeptem.

- Jesteście sami?

- Tak, tylko Gosia, Amelka i teść, nie ma nikogo obcego.

- Dobrze, zostawię swoich ludzi na zewnątrz, a w środku zostanę sam. Może być?

- Paolo, czuj się jak u siebie w domu. Przecież ty jesteś jak rodzina. Teść ostatnio kombinował, że jak chcesz to ciebie adoptuje Paolo uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem, wydał jakieś dyspozycje mężczyznom w garniturach i poszliśmy do salonu. Gosia posadziła Ojca Świętego w fotelu na honorowym miejscu i przez chwilę panowała niezręczna cisza. Przerwał ją nasz gość.

- Nie krępujcie się państwo moją obecnością. Jeśli można napiłbym się herbaty i skosztował tego ciasta – wskazał stojący na ławie tort. – Przepraszam, czy to jakaś specjalna okazja?

- Tak, - odparłem – żona ma dzisiaj urodziny.

- A, to życzę wielu łask Bożych pani Małgorzato. I dużo zdrowia.

Gosia aż pokraśniała na twarzy słysząc, że papież zna jej imię. Atmosfera w ułamku sekundy stała się luźna. Okazało się, że Benedykt

XVI jest przesympatycznym, dowcipnym i bardzo ciepłym człowiekiem. Przy okazji potwierdziła się stara jak świat prawda, że nic tak nie zbliża ludzi jak wspólny posiłek.

- Świetne ciasto – pochwalił papież pałaszując spory kawał tortu z ogromnym apetytem i popijając go herbatą.

- Dziękujemy – odparł teść. – Zrobiłem go razem z wnuczką – nie byłby sobą, gdyby się nie pochwalił.

Doskonale zdawałem sobie sprawę, że ktoś tak ważny nie przyjechał do nas na kawę, ale postanowiłem cierpliwie poczekać na dalszy rozwój spotkania. Paolo w ogóle się nie odzywał, całą uwagę skupiając na jedzeniu. Okazało się, że miałem rację.

- Przejdźmy do rzeczy – powiedział Ojciec Święty odstawiając talerz i uśmiechając się. – Zdajecie sobie państwo sprawę, że nie przyjechałem do was na ciasto. – Papież mówił po polsku płynnie, choć z wyraźnym obcym akcentem.

- Tak sobie pomyśleliśmy – potwierdził tata Marian.

- Zanim zaczniemy, czy byłaby możliwość, żebyśmy rozmawiali bez udziału państwa córki. Bez obrazy, młoda panno, – dodał widząc foch na twarzy Małej – ale to są sprawy, które możemy omawiać tylko w gronie dorosłych.

- To ja pójdę do swojego pokoju – o dziwo zgodziła się bez kłótni. Widocznie działały na nią autorytety.

- Zanim zacznę, chciałbym, aby wszystko co tutaj zostanie powiedziane pozostało w najgłębszej tajemnicy. Ale w tym mogę chyba na państwa liczyć. Przede wszystkim chciałem wam podziękować w imieniu własnym, jak i w imieniu wszystkich ludzi, którzy zawdzięczają wam, że nasz świat się nie zmienił – zaczął papież, gdy tylko wyszła.

- Zrobiliście dużo dobrego, może nie do końca zdając sobie sprawę z powagi sytuacji. A pan, panie Wojciechu, – spojrzał na mnie uważnie – obcując z mocą, jaka udzieliła się w zetknięciu z Krwią Pańską, okazał się prawdziwym chrześcijaninem i wspaniałym człowiekiem. Znalazł pan w sobie miłość do innych ludzi i nie skupił tylko na sobie.

- Jaki tam ze mnie chrześcijanin – zaoponowałem. – Nawet rzadko

chodzę do kościoła – zdumiała mnie moja szczerość.

- Niech pan sam sobie odpowie na pytanie, czy to takie ważne – odparł, śmiejąc się serdecznie. – Samo chodzenie do świątyni, jak myśli wielu ludzi, nie zrobi z nikogo dobrego człowieka. Nasz Pan powiedział „po czynach poznacie ich” i to cała kwintesencja pańskiego podejścia do bliźnich. Chcę panu za to podziękować. Poza tym, bardzo pomogliście w rozbiciu najbardziej nieprzyjaznej i zagrażającej ludziom organizacji, jaka istniała na tym świecie od zarania dziejów. Wszystko wskazuje na to, że Bractwo nie da rady w najbliższym czasie się odrodzić, o ile będzie to możliwe kiedykolwiek. Akcja Świętego Przymierza i polskiej Policji doprowadziła do likwidacji całej ich elity. Ośmieliło to na tyle rządy wielu krajów, w których jak się okazuje mieli potężne wpływy, że właśnie trwają rozwinięte na szeroką skalę aresztowania i zajęcia ogromnego majątku Bractwa.

Zastosowanie znalazły tutaj przepisy dotyczące terroryzmu i zbrodni popełnianych przeciwko ludzkości. Moim zdaniem jak najbardziej słusznie, bo realizacja ich planów spowodowałaby straszną katastrofę i to w skali ogólnoświatowej. Przy okazji odkryto, że żadna kluczowa dziedzina będąca podstawą istnienia naszej cywilizacji nie oparła się Bractwu. Mieli swych przedstawicieli na bardzo wysokich stanowiskach w rządach, międzynarodowych organizacjach, korporacjach i bankach.

- E tam – tata Marian machnął ręką, jakby Benedykt XVI mówił tylko do niego.

- Proszę nie być tak skromnym panie Marianie. Wszystkim wam należą się podziękowania, a szczególnie panu Wojciechowi. Bez jego fortelu Bractwo zrealizowałoby swój plan, a gdyby zdołali uwolnić zło to żadna ludzka siła, żadna armia nie zdołałaby go pokonać. Z tego, co wiem od moich ludzi, to do końca byli przekonani, że mają prawdziwą Krew Pańską i to ich zgubiło. Proszę mi powiedzieć jak pan to zrobił panie Wojciechu – spoczęło na mnie badawcze spojrzenie o niezwyklej sile.

- Kiedy znalazłem Ojce Święty w ziemi urnę z relikwią, -

rozpocząłem opowieść - początkowo nie wiedziałem z czym mam do czynienia. Pamiętam, że po jej otwarciu poczułem się bardzo dziwnie, ale nie skojarzyłem tego z późniejszymi zdarzeniami. Na poważnie zacząłem się zastanawiać nad przyczynami tych, można powiedzieć niecodziennych umiejętności, gdy byłem już pewien, że to ja potrafię czynić takie cuda.

Skojarzenie faktów zajęło mi trochę czasu, ale w końcu wydedukowałem, że jedyną przyczyną mógł być kontakt z tym zagadkowym kawałkiem drewna z urny. Nadal nie wiedziałem, czym on jest, bo usłyszałem to dopiero od Paolo, gdy przyjechał do mnie z Salieri, ale postanowiłem go zabezpieczyć gdzieś w pobliżu siebie. Nie wiem, dlaczego tak zrobiłem, ale przygotowałem podobny klocek, sztucznie go postarzyłem bejcą i pochlapałem na jednej ścianie pokostem. Później schowałem go do urny, która została w piwnicy naszego starego mieszkania. Paolo nazwał to działaniem opatrności Bożej.

- A ten kawałek drewna, który zabrałeś jadąc na spotkanie z porywaczami Gosi i Amelki? – spytał Paolo.

- To była nieudana wersja kopii Krwi Pańskiej, która leżała sobie spokojnie w garażu, bo zapomniałem ją wyrzucić. To dlatego zwróciłeś mi wtedy uwagę, że ten kawałek drewna jest zaskakująco podobny do relikwii. Faktycznie widziałeś tylko dwie kopie wykonane z resztek, jakie zostały po budowie domu.

- Czyli panie Wojtku, - papież starał się nadażyć – zrobił pan dwie kopie Krwi Pańskiej. Jedną trzymał pan w urnie w piwnicy i z nią właśnie Salieri miał wrócić do Watykanu, a drugą podłożył pan do urny jadąc do tych ludzi po żonę i córkę? Tak było?

- Dokładnie tak – potwierdziłem.

- I to ta pierwsza kopia została wzięta przez Salieri za oryginał?

- Zgadza się. I jak sobie to wszystko przemyśle, to nie miał innego wyjścia jak tylko być tego pewnym Wasza Świątobliwość. Wszystko na to z jego punktu widzenia wskazywało. Widział, że kawałek drewna wyjęty z urny został mu przekazany przez Paolo i miał go dostarczyć do Watykanu, a do urny włożyliśmy podobny, który przyniosłem z garażu.

- No dobrze, rozumiem. A może mi pan w takim wypadku powiedzieć, gdzie jest oryginalny fragment krzyża z krwią Chrystusa?

- No jasne, że mogę. Do waszej Świątobliwości i Paolo mam stuprocentowe zaufanie. Na dobre wyszło, że nie zaufałem mu wtedy, gdy zjawiał się u mnie z Salieri, ale teraz to zupełnie inna sytuacja.

- No to gdzie to masz? – ponagliła mnie Gosia.

- Krew Pańska jest nie dalej jak dwa metry od nas – odparłem z zagadkową miną.

- Zaraz ją wyjmę, tylko potrzebny mi śrubokręt – spojrzwały na mnie cztery pary zdziwionych oczu.

Wciąż patrzyli podejrzliwie, gdy przyniosłem śrubokręt, zdjąłem ze ściany włącznik światła i zdemontowałem puszkę. Chwilę poszperałem w otworze, wysupłałem stamtąd cienką linkę i wyciągnąłem przywiązany do niej płócienny woreczek. Trzymając go w ręce usiadłem na kanapie.

- Tutaj mam relikwię – oznajmiłem wyjmując z wnętrza oryginalną Krew Pańską owiniętą w folię spożywczą. Od razu zrobiło mi się głupio, gdy Benedykt XVI i Paolo wstali, ukłonili się i klęknęli przed relikwią. Widząc to wszyscy postąpiliśmy tak samo.

Cisza trwała dość długo. Pierwszy odezwał się papież.

- Panie Wojciechu, - spytał – co chce pan zrobić z Krwią Pańską? Chce pan, żeby została tutaj?

- Już myślałem wiele razy na ten temat Ojciec Święty, ale dopiero teraz podjąłem decyzję.

- Jak ona brzmi?

- Chcę, aby Wasza Świątobliwość zabrał ją z sobą i sam zdecydował, gdzie jest jej miejsce. Myślę, że trafiła do mnie nie bez przyczyny. Prawdopodobnie stanowiłem część planu, który prowadził do konkretnego celu i moja rola się już skończyła.

- Liczyłem, że pan tak właśnie postąpi – powiedział Benedykt XVI i poczułem, że naprawdę jestem z siebie dumny.

Dał znak Paolo, który sięgnął do niewielkiej walizeczki, jaką miał przy sobie.

Wyjął ze środka tak dobrze mi znaną urnę z wrytymi na ściankach słowami magicznego kwadratu i otworzył ją stawiając na ławie.

- To ta sama - powiedział widząc moje zdumione i jednocześnie pytające spojrzenie. – Zabrali ją nasi ludzie, którzy robili porządki w tej ruderze pod Toruniem, gdzie więziona była Gosia i Amelka.

- Uważam, - wyjaśnił papież – że to jedyna urna, w której powinna być przechowywana Krew Pańska. W końcu chroniła tę relikwię przez wiele wieków. Dlatego zabraliśmy ją ze sobą panie Wojciechu. Jeżeli chce pan ją mi przekazać, to powinien pan ją sam do niej włożyć.

Wyjąłem drewnianą kostkę z woreczka. Chyba spodziewałem się takich sensacji, jak wiosną ubiegłego roku na budowie, ale niczego nie poczułem. Gdybym nie wiedział, co trzymam w ręce, nie zorientowałbym się, że to coś więcej niż kawałek drewna. Włożyłem ją do urny, zamknąłem wieczko i podałem ją Ojcu Świętemu. Trzymał ją przez chwilę, jakby na coś czekając, po czym schował do walizeczki.

- Pomyśleć, że historia tego kawałka krzyża sięga ponad dwóch tysięcy lat i jest na nim krew naszego zbawiciela. Nareszcie będzie tam, gdzie jej miejsce i gdzie powinna się znaleźć ponad osiemset lat temu. Tyle złego się działo na przestrzeni tych lat tylko dlatego, że ktoś chciał ją zawłaszczyć do swych niecznych celów.

- Nie rozumiem, co Wasza Świątobliwość ma na myśli? – miałem okazję dowiedzieć się czegoś więcej.

- Paolo Castellani z tego co wiem, opowiadał panu o okolicznościach, w jakich Krew Pańska trafiła na teren Polski. – Przytaknąłem. – Chodziło o zmylenie osób, którym na tej relikwii zależało i o przewiezienie jej w tajemnicy do Watykanu. Po tym jak zaginęła, informacja, że jest nadal gdzieś tutaj rozprzestrzeniła się na całą Europę.

Najprawdopodobniej wszystkie najazdy ze wschodu w średniowieczu, rozbiory, okupacja hitlerowców, a później Sowietów spowodowane były chęcią odnalezienia i zawłaszczenia Krwi Pańskiej. Powszechnie znana legenda o Świętym Graalu, a jest on synonimem Krwi Pańskiej mówi, że armia mająca go w swym posiadaniu jest

niezwyciężona. Jest to wielka pokusa, nieprawdaż?

- Ale przecież odnalezienie relikwii było zupełnym przypadkiem. Jak ktoś mógłby ją odszukać na tak wielkim terenie?

- Są pewne oznaki, które wskazują na bliskość Krwi Pańskiej. W jej pobliżu ludzie nie chorują, zwierzęta są niezwykle płodne, a ziemia rodzi swe plony o wiele lepiej niż gdzie indziej. Podobno nawet pogoda jest inna, niż gdzie indziej. Ktoś dysponujący dużą ilością czasu, zapalem i wieloma ludźmi mógłby ją odnaleźć. Na szczęście nikomu przed panem się to nie udało. Powiem więcej, według mnie to sam Bóg obdarzył pana swą łaską i umożliwił panu jej odkrycie realizując swój wtedy jeszcze tajemniczy plan.

Pokiwałem ze zrozumieniem głową, bo papież potwierdził to, co uzmysłowiłem sobie wcześniej, że pomysł budowy domu, wybranie lokalizacji, później tej działki, której za nic w świecie wcześniej nie chcieliśmy, wyznaczenie miejsca budowy domu i znalezienie relikwii właśnie w tym miejscu, było zbyt nieprawdopodobne jak na zwykły zbieg okoliczności.

- Co dalej się stanie z tą relikwią? – spytałem. - Czuję, jakby stanowiła część mnie.

Ponadto za jej przyczyną nasze życie zmieniło się na lepsze i dlatego wiele jej zawdzięczamy.

- Zabiorę ją do Watykanu.

- I będzie w jakimś skarbcu albo archiwum? – zabrzmiało to trochę jak zaczepka.

- Wcześniej pewnie bym tak zdecydował – papież zasmucił się.

- Ale widzicie moi drodzy, Watykan nie jest miejscem tak idealnym, jak wyobrażają sobie rzesze wiernych na całym świecie. Proszę, aby to, co powiem pozostało w tajemnicy. Ostatnie zdarzenia, o których zapewne słyszeliście ze środków masowego przekazu obnażyły to, co działo się w kuluarach stolicy Piotrowej. Watykańscy dostojnicy oderwali się od rzeczywistości.

Przestali żyć dla wiernych, a skupili się jedynie na swych karierach i personalnych gierkach. Jeśli nie chcemy, aby kościół uległ rozkładowi od

środka, musimy to zakończyć.

Utworzyłem grupę osób, których celem na najbliższy czas jest głęboka reforma kościoła.

Ma ona ukrócić dążenie sług Bożych do bogactwa, wpływów i przepychu, i spowodować ich powrót do korzeni chrześcijaństwa. Głównym naszym celem ma być służba wiernym i zintegrowanie się z nimi, a także dbałość o ich życie w zgodzie w Boskimi przykazaniem.

Odejdziemy od modelu panowania nad ludem z wyżyn pałaców, a wrócimy do idei pasterzy mających pieczę nad swym stadem. Ja jestem już zbyt zmęczony na przeprowadzenie takiej reformy. Potrzebna jest świeża krew, która temu podoła. Uważam odzyskanie naszej najświętszej relikwii za sukces swego pontyfikatu i chciałbym prowadzić prace nad możliwością wykorzystania jej w polepszeniu relacji pomiędzy kościołem i wiernymi, a także innymi religiami.

- Co to znaczy? – spytałem. – Jak pogodzić obowiązki głowy kościoła z taką działalnością?

- To na razie wielka tajemnica, ale mam zamiar złożyć rezygnację z urzędu papieża.

I to jeszcze przed Świętami Wielkiej Nocy.

- To jest taka możliwość? – spytałem, bo zabrzmiało to nieprawdopodobnie i nigdy nie słyszałem, aby jakkolwiek papież abdykował.

- Jest, tylko, że żaden papież od kilkuset lat z niej nie skorzystał. Kościół musi poprowadzić w dalszą drogę ktoś z poza kurii rzymskiej, ktoś zaangażowany w sprawy i problemy zwykłych ludzi. Takiego kogoś obecnie potrzeba kościołowi i ludziom. Ja nie dam rady podołać tym zmianom, stąd moja decyzja. Niedługo zresztą ogłoszę ją publicznie. Obecnie wiedzą o niej cztery osoby nie licząc was i mojego dzielnego Castellani'ego.

- Szkoda – powiedziałem myśląc jednocześnie, że Benedykt XVI rzeczywiście wygląda na zmęczonego. Widząc jego radość z odzyskania Krwi Pańskiej mogłem być pewien, że prowadzenie prac, które miał w planach przyniesie mu wiele satysfakcji.

- Panie Wojciechu, mam do pana jedno pytanie, bo Paolo wspominał mi o takim dziwnym zdarzeniu w nocy przez Nowym Rokiem, kiedy pana rodzina została uprowadzona.

- Proszę pytać.

- Podobno po tym, jak zdołał pan wskrzesić żonę, nie był pan w stanie uleczyć rany, jakiej Paolo doznał w starciu z Bractwem?

- To prawda i do dzisiaj nie potrafię uleczyć nawet małego zadrapania. Absolutnie nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje. A Wasza Świątobliwość wie może co się ze mną stało?

- Mogę tylko przypuszczać, bo czytałem na ten temat kilka starodruków. Stare przekazy wspominają, że posiadacz Krwi Pańskiej, który obdarzony zostanie jej mocą, może jeden jedyny raz przywrócić życie zmarłemu. Wtedy jednak na zawsze traci dar leczenia, który już nigdy do niego nie powróci. Pana przypadek uwiarygodnił dawne przekazy, a to ułatwi nam dalsze badania. Trudno to przyznać, ale niedawne zdarzenia pozwoliły dowiedzieć się wiele na temat Krwi Pańskiej od członków Bractwa.

- Hm, tak się zastanawiam nad jedną kwestią Ojcie Świąty – postanowiłem głośno poruszyć kwestię, która nurtowała mnie od dawna.

- Panie Wojciechu, może pan pytać o co chce.

- Tak się zastanawiam nad wielką mocą, jaką musiał władać Jezus Chrystus, skoro kilka kropel jego krwi sprawiło, że dokonywałem istnych cudów. I to po prawie dwóch tysiącach lat.

- I co, - Benedykt XVI czytał w moich myślach – chciałby się pan dowiedzieć jaki był naprawdę i jak żył?

- Właśnie o to chciałem zapytać. O ile oczywiście Wasza Świątobliwość wie i zechce mi to powiedzieć.

- Kochani moi, - papież chwilę się zastanawiał – nie wiem od czego zacząć. Może od tego, że powszechnie znany jest wizerunek Jezusa podawany w ewangeljach. Sam muszę przyznać, że wytworzony w nich obraz Syna Bożego jest, jakby to powiedzieć, trochę oderwany od rzeczywistości i nierealny, bo przecież Chrystus żył i nauczał wśród zwykłych ludzi. Trudno więc, aby odróżniał się znacząco od środowiska, z

którego pochodził.

- Jeśli wolno spytać, to Jezus miał żonę? – nie wytrzymał tata Marian, który swojego czasu zachwyił się bardzo „Kodem Da Vinci”.

- Widzę, że interesuje się pan dość specyficzną literaturą sensacyjną – papież uśmiechnął się ze zrozumieniem. – Odpowiem panu. Miał żonę i faktycznie była nią Maria Magdalena, z której później dla podkreślenia boskości Jezusa zrobiono nierządnicę. We wczesnych wiekach chrześcijaństwa popełniono wiele błędów, które pokutują do dzisiaj w naszej świadomości i myślę, że nie są możliwe do sprostowania za życia jednego pokolenia. Spowodowałyby to zbyt duży szok u większości wiernych.

- To znaczy, że prowadził zupełnie normalne życie? – spytałem.

- Nie wiem, czy można je nazwać zupełnie normalnym. Jezus prowadził je bardzo intensywnie. W archiwach watykańskich mamy wiele dokumentów opisujących to w miarę dokładnie i potwierdzających jego boskość, bo ostatnimi czasy poddawano ją w wątpliwość. Wiemy na pewno, że nie potrzebował snu, potrafił się przemieszczać w ułamku sekundy w miejsca oddalone o wiele kilometrów i leczył chorych, ale to pan na pewno wie. Poza tym wskrzeszał zmarłych, czyli robił to, co pan mógł wykonać tylko jeden raz, wpływał na pogodę i zamieniał jedne różne w zupełnie inne, tak jak w przypadku wody i wina. Chcąc odnieść Jezusa do czasów współczesnych, można by go chyba porównać tylko do jakiegoś super bohatera. Od wielu lat pracujemy nad potwierdzeniem jeszcze jednej, bardzo intrygującej cechy, którą najprawdopodobniej Jezus posiadał.

- Cóż to takiego?

- Otóż stare pisma koptyjskie mówią, że Jezus Chrystus zmieniał swój wygląd.

Czasami miał postać młodzieńca, kiedy indziej starca, mógł być wysoki lub niski.

Prawdopodobnie ta właśnie umiejętność spowodowała, że Judasz musiał Jezusa jakoś wskazać Rzymianom, którzy nie potrafili go rozpoznać pomimo, że był osobą powszechnie znaną.

- I jest to prawdą?
- Myślę, że tak, ale badania trwają panie Wojciechu.
- A samo wydanie Jezusa Rzymianom i jego ukrzyżowanie. Wiemy czy wyglądało to tak, jak w powszechnie znanej wersji?
 - To kolejny problem, z jakim przyjdzie się nam zmierzyć. Początki chrześcijaństwa to czasy rządów Rzymian. Propagowanie idei głoszonych przez Jezusa odbywało się więc niejako pod wpływem płynącego z nich strony zagrożenia i ciężko było, tak mi się przynajmniej wydaje, uczynić ich jedynymi winnymi śmierci Zbawiciela. Dlatego postanowiono większość winy zrzucić na Żydów, nie przewidując, że będzie to w przyszłości miało tak znamienny i zły wpływ na losy tego narodu. Podobnie było z dopasowaniem obecnie obchodzonych świąt do pogańskich, w rezultacie czego niezgodnie z prawdą mamy na przykład Boże Narodzenie w grudniu. Zdaję sobie sprawę, że niektóre z tych przeinaczeń zbyt mocno wrosły w tradycję, aby je zmieniać, ale z tymi szkodliwymi należy się prędeż, czy później uporać. A wracając do Rzymian. Wiemy, że było wśród nich wielu chrześcijan. Jedna z wersji wydarzeń mówi nawet, że sam Poncjusz Piłat był gorącym zwolennikiem Jezusa Chrystusa do tego stopnia, że w nocy przez ukrzyżowaniem przyjął go na wieczerzy i zaoferował, że zamiast niego pośle na śmierć swojego syna.

Jezus miał odmówić tłumacząc, że gdyby tylko chciał, to sam mógłby uniknąć ukrzyżowania. Na potwierdzenie tych słów miał na kilka minut stać się niewidzialnym.

Zastrzegam jednak, że to tylko jedna z niepotwierdzonych wersji tamtych wydarzeń.

- A to, co Wasza Świątobliwość mówił o niezwyciężonej armii, która niesie przed sobą Krew Pańską?

- To nieprawda, podobnie jak identyczne właściwości Arki Przymierza i Włóczni Przeznaczenia.

- A skąd ta pewność?

- Bo jedno i drugie jest od wielu lat w naszym posiadaniu.

- A jeszcze jedno.
- Słucham pana.
- Salieri do przeprowadzenia obrzędu potrzebował Krwi Pańskiej i tej, która krąży w moich żyłach. Zgadza się?
- Tak. Zgadza się.
- To jak ten rytuał miał się odbyć w średniowieczu?
- Z tego co wiem, pan jako trzecia osoba od ukrzyżowania Jezusa został obdarowany Boską mocą relikwii. Pierwsza była Cesarzowa Helena żyjąca w czwartym wieku, która odnalazła krzyż Jezusa, natomiast drugą nieznaną z imienia krewna cesarza Fryderyka I Barbarossy, która podobno posiadała niezwykle moce i około roku 1193 zaginęła w nieznanych okolicznościach. Przypuszczam, że zbiegło się to w kradzież Krwi Pańskiej na tym terenie i też stało za tym Bractwo.
- Paolo mówił, że relikwia była wtedy pod pieczęcią jakiegoś księcia.
- Tak, Władysława Białego, którego zamek stał około pięćdziesięciu kilometrów stąd. Wiemy, że po kradzieży relikwii książę postradał rozum i najprawdopodobniej w końcu popełnił samobójstwo rzucając się na swój miecz, bo nie mógł znieść myśli, że nie ochronił Krwi Pańskiej. Czy odpowiedziałem wam na wszystkie pytania? - papież spojrzał na nas kolejno.
- Chyba tak – odparłem. - Chociaż pewnie znalazłoby się ich tyle, że nie wystarczyło by całego dnia.
- Benedykt XVI uśmiechnął się ze zrozumieniem.
- Musi pan przyznać panie Wojciechu, że pańska rodzina i wiele innych osób odniosło wielką korzyść przez to, że Bóg obdarzył pana swą łaską. - Mogłem tylko przytaknąć. - A pani, - spojrzał na Gosię – o ile się nie mylę, jest drugą wskrzeszoną osobą po Łazarzu.
- Nie mówiłam tego wcześniej, - powiedziała Gosia po chwili zastanowienia – ale tej nocy przeżyłam coś naprawdę wspaniałego. Kilka razy się zbierałam, żeby to opowiedzieć i chyba teraz właśnie jest ku temu okazja.
- Spojrzała na nas, jakby obawiając się, że będziemy się śmiać z tego co powie, ale słuchaliśmy jej uważnie.

- Zaraz po tym, - kontynuowała – jak ten wielki pies rzucił się na mnie i straciłam świadomość, zobaczyłam z góry całe podwórze przy tej ruderze. To było tak, jakbym wisiała na wysokości kilku metrów nad ziemią. Wyraźnie widziałam, jak Wojtek strzelał do psa, jak uderzył tego obleśnego dziada w zęby i jak podszedł do niego Salieri z pistoletem.

I pamiętam przerażenie w oczach Amelki. - Zamilkła na chwilę, jakby szukając słów.

- Później stało się coś bardzo dziwnego. Zobaczyłam taką dziwną świetlistą jakby ścieżkę biegnącą gdzieś w górę. Coś mnie tam ciągnęło, ale to było bardzo przyjemne odczucie.

Odbierałam je jako zachętę i obietnicę czegoś wspaniałego, co czeka mnie na końcu tej ścieżki. Szłam i po jakimś czasie zobaczyłam, że ktoś na mnie czeka u jej kresu. To byli Wojtek twoi rodzice i moja babcia. Poznałam ich, chociaż nigdy się nie spotkaliśmy.

Poprowadzili mnie dalej. Czułam, że zbliżamy się do miejsca, z którego emanowało niewyobrażalnie wielkie dobro i miłość. I wtedy zobaczyłam postać pięknego mężczyzny o promieniejącym obliczu, ubranego w świetlistą szatę. Myślę teraz, że to mógł być sam Jezus. Zbliżyłam się do niego, spojrzał mi głęboko w oczy i przemówił. Przywitał mnie w domu. Tak właśnie określił to miejsce. Obiecał, że kiedyś przyjdę tutaj na stałe, ale jeszcze nie przyszedł mój czas i muszę wracać na ziemię. Przyznam, że zrobiło mi się z tego powodu przykro. Chciałam tam zostać, ale zdałam sobie sprawę, że tęsknię za wami i mam jeszcze tutaj coś do zrobienia. Wtedy właśnie dowiedziałam się, że będę miała dziecko.

Idąc do lekarza, doskonale wiedziałam co powie i nie było to dla mnie żadnym zaskoczeniem. Gdy tylko zapragnęłam powrotu na ziemię, coś pociągnęło mnie w dół, otworzyłam oczy i usłyszałam, jak Amelka mówi do ciebie Wojtek, że musicie mnie ratować. Po tym wszystkim jedno wiem na pewno. Gdy przyjdzie mój czas, żeby odejść, to absolutnie nie będę się tego obawiała. Wiem, że trafię do miejsca, gdzie jest dobrze i gdzie w końcu wszyscy pójdziemy. Tak samo nie będę już nigdy żałowała, że ktoś zmarł, bo śmierć to tylko przejście do innego, lepszego

etapu życia.

Gdy skończyła, przez dość długi czas panowała cisza. Każdy z nas przetrawiał w milczeniu to, co właśnie usłyszeliśmy.

Klękaliśmy przed drzwiami. Benedykt XVI wychodząc z domu pobłogosławił nas życząc wiele szczęścia i zapraszając do Watykanu. Postanowiliśmy, że skorzystamy z zaproszenia i latem tam pojedziemy. Gosia miała termin porodu wyznaczony na sierpień i spokojnie na początku wakacji mogliśmy zrobić sobie taką wycieczkę. Teść od razu umówił się z Paolo, że skorzysta z okazji i pojedą sobie na strzelnicę. Wytłumaczył, że zwiedzanie raczej go nie pasjonuje, a nie zostanie przecież sam w domu, kiedy wyjedziemy, bo by się zanudził. Po kilku minutach staliśmy przed domem patrząc na odjeżdżające samochody. Gosia po chwili zastanowienia stwierdziła, że takiego prezentu urodzinowego jak wizyta papieża w naszym domu, nie mogła sobie nawet wymarzyć.

Chwilę później dodała jednak, że czego jak czego, ale zakupów i wyboru prezentu w materialnej postaci to nam absolutnie nie podaruje.

ROZDZIAŁ IX

Do ostatniej chwili nie mogliśmy się zdecydować, jaki wybrać środek transportu. Ja i Amelka chętnie pojechalibyśmy samochodem, bo trasa przez pół Polski, Czechy i Austrię wydawała się nam nad wyraz ciekawa i atrakcyjna. Przy okazji moglibyśmy zwiedzić Wiedeń, a później przejechać Alpy. Z możliwościami trakcyjnymi Jeepa nie obawiałem się żadnej, nawet najtrudniejszej trasy, a prowadzić mogłem na zmianę z teściem. Ostatecznie jednak przeważały argumenty Gosi. Za dwa miesiące miała urodzić, dlatego obawiała się, że tak długa podróż może okazać się niezbyt przyjemna dla jej obolałych ostatnio pleców, a nawet niezbyt zdrowa dla dziecka. Postanowiliśmy więc polecieć do Rzymu samolotem.

Może w przyszłości pojedziemy tam raz jeszcze, to wtedy już na pewno wybierzemy drogę lądową. Zarezerwowaliśmy bilety i za dwa dni z niewielkim bagażem wyruszyliśmy na lotnisko do Warszawy. Samochód zostawiłem na pobliskim parkingu strzeżonym, zapłaciłem za tydzień z góry i jednocześnie umówiłem się, że w przypadku dłuższego pobytu za granicą dopłacę różnicę przy odbiorze. Tata Marian i dziewczyny prawie popłakali się ze śmiechu, gdy odchodząc od auta obejrzałem się z rozrzewnieniem w oczach i wróciłem do biura parkingu. Dopłaciłem trochę gotówki i po chwili przestawiłem Jeepa pomiędzy dwa słupy, gdzie żadna oferma nie mogła go zarysować wyjeżdżając swoim samochodem.

Był to nasz pierwszy lot samolotem. Wybraliśmy linie Airitalia, które może nie były najtańsze, ale zapewniały przyzwoity komfort podróżowania. Mała zagroziła buntem, jeśli nie pozwolimy jej siedzieć przy oknie. Zajęliśmy miejsca i po krótkim czasie rozpoczęło się kołowanie. Podróżowaliśmy w ten sposób po raz pierwszy i chyba było to

bardzo widoczne, bo przechodząca obok nas w trakcie lotu stewardesa uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Gosia przespała prawie cały lot, tata Marian siedział z miną jakby za kilka minut miał zostać rozstrzelany, ja chyba wyglądałem niewiele lepiej, a Amelka cały czas miała nos przyklejony do szyby. Lądowanie było chyba najgorsze i kiedy samolot wreszcie się zatrzymał odetchnąłem z ulgą.

Na lotnisku *Fiumicino* odczułem po raz pierwszy jak dobrze jest być obywatelem Unii Europejskiej. Formalności, którym zostaliśmy poddani były wręcz symboliczne, natomiast pasażerowie z poza Unii musieli tłoczyć się do odprawy.

Paolo był bardzo słowny. Przed lotniskiem czekała na nas Alfa Romeo, przy której stał ubrany w garnitur, radośnie uśmiechnięty kierowca. Zapakowaliśmy się do samochodu i ruszyliśmy. Po długości trasy jaką przebyliśmy, bo przecież z lotniska do Watykanu nie jest aż tak daleko wnioskuję, że pojechał okrężną drogą chcąc, żebyśmy zobaczyli jak najwięcej już pierwszego dnia. Potwierdziłem to później sprawdzając na planie miasta, że Koloseum faktycznie znajduje się lekko w bok od najkrótszej trasy.

Kierowca uśmiechał się pod nosem ze zrozumieniem patrząc na nasze twarze przyklejone do szyb samochodu. Kilka razy wiozł osoby, które nigdy wcześniej nie były w Rzymie i wszystkie zachowywały się identycznie. Jego rodzina od pokoleń mieszkała w tym mieście, sam uważał je za najpiękniejsze na świecie i takie zachowanie odbierał prawie jak komplement.

Zatrzymaliśmy się tuż przed placem Świętego Piotra, wysiedliśmy z samochodu i zamarłem z zachwytem. Wiele razy widziałem to miejsce w relacjach telewizyjnych, ale widziany własnymi oczami robi niesamowite wrażenie. Wpatrywałem się w potężny masyw bazyliki, na tle której wznosiła się ku niebu strzelista kolumna z zamocowanym na szczycie krzyżem. Podobno schowane są w nim relikwie z krzyża Chrystusa, ale akurat ten fragment historii Watykanu bardzo mnie bawił. Byłem tak zaabsorbowany widokiem, że spostrzegłem Paolo dopiero kiedy stanął przed nami.

- Dzień dobry kochani – przywitał się, ściskając nas serdecznie. - Jesteście zmęczeni podróżą?

- Nie Paolo, tylko chciałabym się odświeżyć, bo bardzo tu u was gorąco – odparła Gosia.

- To mam propozycję. Zaprowadzę was teraz do kwater i tak za godzinę pójdziemy na obiad. Później oprowadzę was po Watykanie, a wieczorem macie spotkanie z kimś ważnym, ale niech to będzie niespodzianka.

Paolo zakwaterował nas w Domu Świętej Marty, co oznaczało, że mamy status bardzo wyjątkowych gości. Faktycznie zjawiał się po godzinie. Obiad zjedliśmy w pobliskiej restauracji, a później rozpoczęło się zwiedzanie. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego przepychu, takiej ilości dzieł sztuki i nie byłem w miejscu, które miałyby tak uduchowioną atmosferę. Tego dnia zdołaliśmy jedynie obejrzeć Bazylikę, Kaplicę Sykstyńską, gdzie odbywają się konklawe i muzeum. Paolo był wspaniałym przewodnikiem. Wydawało się, że zna tutaj każde miejsce i każdy szczegół, a przy tym opowiadał tak ciekawie, że nim się spostrzegliśmy spojrzeliśmy na zegarek i powiedział, że mamy pół godziny do spotkania. Zaprowadził nas do kwatery i na odchodne przyjrzał się badawczo Gosi.

- Coś nie tak, Paolo? - spytała.

- Nie, ale na to spotkanie musisz się przebrać.

- Jak to? - stanęła przed lustrem oglądając się od stóp do głowy.

- Jesteśmy w miejscu, gdzie istnieją pewne wymogi dotyczące stroju.

- Zawahał się przez chwilę. - Po prostu masz za krótką sukienkę. Powinna być za kolana. No i lepiej, żebyś nie miała dekoltu i zasłonięte ramiona.

Kiedy wyszedł Gosia coś tam marudziła pod nosem, ale ubrała się zgodnie z wytycznymi. Ponieważ nie miała dłuższej sukienki, ubrała się w spodnie ciążowe, które kupiła niedawno i na szczęście zabrała ze sobą.

Przeszliśmy do budynku usytuowanego za Kaplicą Sykstyńską. Paolo poprowadził nas schodami, później szerokim korytarzem o bogato zdobionych ścianach i przy pięknej fontannie skręcił we wnękę, gdzie

znajdowały się ogromne drzwi. Po drodze dołączyli do nas dwaj gwardziści, których stroje kojarzyły mi się ze średniowiecznymi piżamami.

- To gabinet papieża – poinformował nas i zapukał.

- *Avanti!* - rozległo się ze środka i Paolo otworzył potężne skrzydło. Weszliśmy, a gwardziści stanęli na zewnątrz.

Znajdujące się za drzwiami pomieszczenie wyglądało jak komnata na zamku.

Podłogę pokrywał czerwony marmur, na ścianach znajdowały się wspaniałe freski, a we frontowej były wielkie łukowato zakończone okna, z których roztaczała się panorama Placu Świętego Piotra. Na środku pomieszczenia, pod największym żyrandolem jaki kiedykolwiek widziałem stali dwaj odziani w białe szaty mężczyźni. Uśmiechali się serdecznie. Nie czekając, aż podejdziemy Benedykt XVI i papież Franciszek ruszyli w naszym kierunku. Po krótkim przywitaniu Paolo zaoferował, że będzie tłumaczem, bo papież nie zna języka polskiego, ale Benedykt XVI ubiegł go.

- Witajcie kochani – powiedział. - Paolo Castellani chyba zapomniał, że znam dobrze wasz język i nie potrzebuję tłumacza.

- *Buona sera* – papież Franciszek przywitał się z tym samym serdecznym uśmiechem, który zapamiętałem z telewizyjnej relacji tuż po jego wyborze na głowę Kościoła.

Usiedliśmy wokół stolika ustawionego przy bocznej ścianie. Głupio mi się do tego przyznać, ale o ile Benedykt XVI zdobył nasze serca szturmem, to papieżowi Franciszkowi ten szturm zajął dwa razy mniej czasu. Okazał się również przesympatycznym, otwartym i skłonnym do żartów człowiekiem. Nasza rozmowa przeciągnęła się do późna. Papież podziękował nam wszystkim za wkład w ostateczną likwidację Bractwa i powiedział na koniec, że w Watykanie zawsze będziemy mile widziani i wręczył nam specjalne identyfikatory umożliwiające wstęp do miejsc niedostępnych dla zwiedzających.

Wyglądało na to, że papież Franciszek realizuje dokładnie te założenia co do polityki Watykanu, które przedstawił Benedykt XVI, gdy

był u nas w domu.

Stali w bezruchu, bo tego wymagał od nich regulamin pełnienia służby. Pomimo pstrokatych uniformów byli świetnie wyszkolonymi zawodowcami, obeznanymi z każdą bronią i technikami walki wręcz. Marco Jung rozmyślał intensywnie nad tym, co czeka go dzisiejszej nocy. Po dość długich staraniach zdołał się wreszcie umówić na randkę z poznaną tydzień temu Valerią Ferri. Mieli spotkać się o godzinie dwudziestej trzeciej w *Ristorante Life*. Do spotkania pozostało niewiele ponad półtora godziny, ale Marco wiedział, że papież nigdy nie przeciągał spotkań poza godzinę dwudziestą drugą. O tej właśnie godzinie kończył dzisiaj służbę, był więc spokojny, że nie spóźni się na randkę.

Zatopiony we własnych myślach nie zwrócił uwagi na wolny ruch ręki jego towarzysza. Strzał z pistoletu, którego lufa zakończona była karbowanym cylindrem, nie był głośniejszy od stłumionego kichnięcia. Marco zmarł natychmiast nie zdając sobie sprawy z tego co się stało. Pocisk trafił go idealnie w prawą skroń.

Spotkanie dobiegło końca i na znak Paolo podnieśliśmy się z krzesel. Odgłos otwieranych drzwi gabinetu papieskiego spowodował, że odwróciliśmy się wszyscy w ich stronę. Gwardzista stał w otwartych drzwiach z wycelowanym w naszym kierunku pistoletem. Paolo krzyknął do niego po włosku, ale ten tylko roześmiał się szyderczo i odpowiedział mu wyraźnie akcentując poszczególne słowa.

- Czego on chce! - spytałem Paolo.

- Mówi, że jest członkiem Bractwa i chce wyrównać rachunki. Ma tutaj wszystkich, których chciał ukarać i teraz nas zabije – odparł z napięciem w głosie. Byłem pewien, że intensywnie myśli jak rozbroić gwardzistę, ale nawet taki laik jak ja widział, że sytuacja jest beznadziejna.

Gwardzista skierował broń w stronę Paolo, najprawdopodobniej chcąc go wyeliminować jako pierwszego. Widziałem jak na zwolnionym filmie jego palec zaciskający się na spuście i w tym momencie stało się

coś niebywałego.

- Nie! - krzyknęła Gosia wyciągając przed siebie obie ręce.

Koniec lufy skierowanego w naszą stronę pistoletu rozbłysnął wystrzałem, który w zamkniętej przestrzeni zabrzmiał niczym grom. Paolo zamknął oczy, ale po ułamku sekundy otworzył je ponownie. Kolejne strzały rozlegały się w krótkich odstępach czasu.

Jeden z nich pochodził z broni Paolo, który wyjął ją spod marynarki i szybkim ruchem wycelował w kierunku stojącego przy drzwiach gwardzisty.

Zapadła cisza. Staliśmy wszyscy w bezruchu. Martwy gwardzista upadł na podłogę trafiony przez Paolo w głowę. Na nieskazitelnej marmurowej posadzce rozlewała się spora kałuża krwi. Z korytarza dobiegały wydawane po włosku komendy, jakieś krzyki i coraz bliższe odgłosy ludzi biegnących w stronę gabinetu papieża. Spojrzałem na Gosię i zdębiałem. Stała cały czas z rękoma wyciągniętymi przed siebie i zamkniętymi oczami, a niecały metr od nas na podłodze leżało nieruchomo kilkanaście pocisków wystrzelonych z pistoletu gwardzisty.

PROLOG

Całą okolicę w ciągu ostatniej doby przykryło ponad dziesięć centymetrów świeżego śniegu, a temperatura spadła do dwudziestu stopni poniżej zera. Do lasu w pobliżu kręgów wróciło życie. Ptaki uwijały się wokół gałęzi drzew szukając pod śniegiem pokarmu, a warstwa białego puchu poznaczona była setkami krzyżujących się zwierzęcych tropów. Przyroda wyczuwała, że nie ma już w tym miejscu żadnego niebezpieczeństwa.

Ziemia zamarzła na głębokość ponad trzydziestu centymetrów. W jednym miejscu na skraju polany gleba była świeżo wzruszona, bo skrywała pod ponad dwumetrową warstwą ciała braci poległych w noc przed Sylwestrem. Miała już na zawsze otulać ich szczątki, nawet gdy zostaną tutaj tylko kości, które z czasem zamienią się w proch.

Przebudzenie połączone było ze strasznym bólem. Pomyślał, że tak jak podczas porodu cierpienie zwiastuje nadejście nowego życia, tak jest też w tym przypadku.

Pamiętał, że coś poszło niezgodnie z planem. Ich wielki plan nie powiódł się, ale i tak otrzymał od swego Pana nagrodę. Umarł, ale odrodził się na nowo. Jednak coś było nie tak, jak powinno. Miejsce, w którym się znajdował było jakieś dziwne. Dookoła znajdowała się tylko zimna, ciężka ciemność. Ciemność wilgotna i przytłaczająca, zupełnie niepasująca do wizji nowego, wiecznego życia. A na domiar tego wrażenie stałego nacisku i jakby wielkiego ciężaru. Salieri nie czuł swego ciała. Ból pulsował w jego głowie. Pozostałe zmysły niczego nie rejestrowały. Wtedy zrozumiał. Chciał krzyczeć, lecz usta wypełnione ziemią nie wydały z siebie żadnego dźwięku. Nie mógł odetchnąć, gdyż jego płuca rozszarpane eksplozją granatu leżały kilka metrów dalej wśród nierozpoznawalnych strzępów ciała. Zdał sobie sprawę, że

oczekiwany z niecierpliwością dar wiecznego życia stanie się odtąd jego przekleństwem. Będzie tutaj już zawsze, mogąc jedynie przeklinać nagrodę, jaką otrzymał od swego Pana i żyć odległymi wspomnieniami.

Niczego innego nie mógł oczekiwać, a wieczność to naprawdę ogromny szmat czasu.

Mógł mieć tylko nadzieję, że koszmar skończy się, gdy jego szczątki zmienią się w nicłość w objęciach mokrej ziemi.

Gosia obudziła mnie tuż przed czwartą nad ranem. Miała bóle co pół godziny, dlatego zapakowałem ją do Jeepa i łamiąc wszelkie ograniczenia prędkości zawiozłem do szpitala. Zatelefonowałem już w drodze do doktora Malickiego, który prowadził ciężę kasując nas przy tym jak za zboże. Muszę mu oddać, że zobowiązał się być przy porodzie i faktycznie dotarł do szpitala piętnaście minut po nas. Bałem się jak cholera. Ale gdy mała różowa istotka, która pojawiła się przed chwilą na świecie zaczęła wrzeszczeć jakby obdzierano ją ze skóry, poczułem wielką ulgę. Gosia aż się popłakała ze szczęścia.

Szczerze mówiąc, nie zastanawiałem się wcześniej czy chciałbym mieć drugą córkę, czy też syna, a Malicki miał kategoryczny zakaz informowania nas o płci dziecka. Spojrzałem na tą awanturującą się osobkę i poczułem radość, że mieszka z nami tata Marian. Gdyby nie on, byłbym sam jak palec pomiędzy trzema babami.

Malicki zawołał mnie do przecięcia pępowiny. Ręce trzęsy mi się, jakbym miał zaawansowanego Parkinsona. Jakaś przesympatyczna położna uśmiechająca się ze zrozumieniem dla męskich słabości podała mi nożyczki i przytrzymała pępowinę, bo nie mogłem jej z nerwów chwycić. Nie wiem jak to się stało, ale przy okazji ciachnąłem położną solidnie w palec. Krew leciała, jakbym odciął jej pół dłoni.

- Proszę odejść od łóżka z tą krwawiącą ręką – powiedział do niej Malicki. – I niech na izbie panią opatrzą.

- Doktorze, - powiedziała z niedowierzaniem wpatrując się w swoją dłoń – niech pan spojrzy!

Popatrzyłem na rękę, którą podsuwała Malickiemu przed nos. Na krwawiącym jeszcze przed chwilą palcu nie było najmniejszego śladu po

ranie. Tylko przecięta rękawiczka potwierdziła, że ten wypadek mi się nie przywidział.

Moja nowo narodzona córeczka na chwilę przestała płakać. Spojrzałem na nią i dałbym głowę, że spojrzała na mnie, mrugnęła jednym okiem i uśmiechnęła się porozumiewawczo.

A może tylko mi się wydawało?